

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 7/586-8/587 1996



• « *La Culture* » • *Revue mensuelle* •

J. TRYBUSIEWICZ:

POLSKI RÓW TEKTONICZNY

T. ZATORSKI: **PODATEK KOŚCIELNY**

L. UNGER: **STYPA BEZ ŻAŁOBY**

T. WALAS:

KULTURA POLSKA PO KOMUNIZMIE

St. ABNER: **MIGAWKI BAŁTYCKIE**

SPIS RZECZY

Bolesław Drukier:	<i>Paradoksy powojennego 50-lecia</i> ..	3
Janusz Trybusiewicz:	<i>Polski rów tektoniczny</i>	17
Tadeusz Zatorski:	<i>Podatek kościelny</i>	26
Mariusz Wilk :	<i>Sołowki – kwiecień</i>	40

WIERSZE

Wojciech Kawiński:	<i>Światelko</i>	48
Mira Kuś:	<i>Ala ma kota</i>	48
Szymon Mucha:	<i>Opowieść Mistrza. – Capricornus. –</i> <i>...A teraz trzeba uważać</i>	49
Bolesław Taborski:	<i>Omamy I</i>	52
Siarhiej Zakonnikau:	<i>My</i>	53

ARCHIWUM POLITYCZNE

Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli. (Stypa bez</i> <i>żałoby)</i>	54
Stefan Abner:	<i>Bałtyckie migawki</i>	66

WYWIADY „KULTURY”

Urszula Zielińska:	<i>Literatura jest formą eksperymentu.</i> <i>(Rozmowa z B. Czaykowskim)</i> ..	79
Stefania Kossowska:	<i>O "Prosto z Mostu". (Rozmowa z</i> <i>J. Pietrkiewiczem)</i>	89

KRAJ

Tadeusz Chrzanowski:	<i>Polska powiatowa</i>	98
Krzysztof Wolicki:	<i>Koniec sezonu</i>	104
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	115

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

–	<i>Testament zamordowanego zakonni-</i> <i>ka</i>	128
---	--	-----

NOTATKI REDAKTORA

SPRAWY I TROSKI

Rafał Bubnicki:	<i>Niech „inni” nie będą „obcy”</i> ...	137
–	<i>Lista członków wspierających Tow.</i> <i>Opieki nad Archiwum Instytutu</i> <i>Literackiego w Paryżu</i>	145

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	147
Bohdan Osadczyk:	<i>Ukraińska droga do Europy</i>	153
Bogumiła Berdychowska:	<i>O studentach białoruskich w Polsce</i>	160

CI, CO ODESZLI

Adam Zagajewski:	<i>Książdz Zenon Modzelewski</i>	163
------------------	--	-----

Ciąg dalszy SPISU RZECZY na str. 224

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Lipiec/Sierpień-Juillet/Août 1996

INSTYTUT  **LITERACKI**

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Maria Andrzejczek, Perth, W.A., (Australia) – dla uczczenia pamięci zmarłych w Warszawie Stanisława Olczaka i Ludwika Lilpopa, przyjaciół T. Andrzejczaka i współtwórców w roku 1942 Ołtarza w Kaplicy w obozie jenieckim dla podchorążych w Hoffungstahl	F. 1.000,00
Andrzej Brzeski, Davis CA (USA) – po raz 79-y – dol. 200,00	F. 1030,00
Alice Catherine Carls, Jackson, TN (USA)	F. 1000,00
Karol J. Krótki, Edmonton, Alberta (Canada) – po raz 19-ty	F. 250,00
Kazimierz Mamak, Knutange, France – po raz 13-ty	F. 100,00
Bronisława Morelewska, Chicago IL (USA) – dla uczczenia 3-ej rocznicy śmierci mego Męża Jana Flawiana Morelewskiego, autora tekstów drukowanych w <i>Kulturze</i> i <i>Zeszytach Historycznych</i> – dol. 50,00	F. 265,00
Teodor Müller, Bad Homburg (Niemcy) – po raz 8-my	F. 100,00
Władysław J. Stankiewicz, Vancouver BC (Canada) – dol. can. 297,49	F. 1100,00
Tadeusz Wyrwa, Paryż – w 26-tą rocznicę śmierci śp. Ojca Józefa Wyrwy – pseudonimy „Furgalski”, „Stary”, jednego z najbliższych współpracowników „Hubala”, późniejszego dowódcy samodzielnego oddziału partyzanckiego i następnego dowódcy 2-go Batalionu 25-go pułku AK	F. 400,00
J.W., New York – na szkoły polskie na Wschodzie – dol. 57,00	F. 293,55

DZIĘKUJEMY

Paradoksy powojennego 50-lecia

Dwie przełomowe cezury wyznaczają ten okres: klęska i zejście ze sceny historycznej dwóch zrodzonych w XX wieku totalitaryzmów – hitleryzmu i sowieckiego komunizmu. W tym też okresie dokonał się ostateczny rozpad kolonializmu. Jest przy tym o tyle szczególny, że nie było w historii nowożytnej tak długiego okresu bez „wielkiej wojny”. Jest jednak pełen wojen lokalnych i konfliktów, zawiłych i sprzecznych trendów. Wśród nich takie, które zdają się być paradoksami historii. O niektórych – z konieczności pobieżnie – będzie tu mowa.

I POWOJENNY PARADOKS EKONOMICZNY

Można by powiedzieć „paradoks klęski”. W zdruzgotanych Niemczech i Japonii po trudnym okresie nastąpił dynamiczny rozwój (ostatnio zresztą przyhamowany). W rezultacie udział Japonii w produkcji światowej sięgnął ok. 15% ustępując jedynie USA – 25%), ale wyższy w przeliczeniu na 1 mieszkańca). Udział Niemiec – ok. 8% przewyższa udział Francji – 6% i W. Brytanii – 5%. Nawet niestabilne politycznie Włochy dorównują W. Brytanii. W innym ujęciu: najwyższy wskaźnik GNP na 1 mieszkańca ma Japonia – ok. 31 tys. dolarów, USA – ok. 25 tys., Niemcy – 23,5 tys., Francja – 22,5 tys. W. Brytania niespełna 20 tys¹.

1. Dane za 1993 r. wg *World Bank Tables*, 1995. GNP – Gross National Product. W *Roczniku statystycznym* 1995 r. zbliżony wskaźnik PKB – Produkt Krajowy Brutto.

ZSSR stał się po wojnie super mocarstwem, ale „kolosem na glinianych nogach” niewydolnej gospodarki. Na jego rozwalinach Rosja znalazła się w stanie chaosu politycznego i gospodarczego z gwałtownym spadkiem produkcji – GNP na 1 mieszkańca wynosił w 1993 r. niespełna 2,5 tys. dolarów. Porównanie ze średnią światową – ok. 4,5 tys. i krajów wysoko rozwiniętych – ponad 20 tys., mówi za siebie. Z trzech krajów należących do koalicji antyhitlerowskiej, ale okupowanych, Polska i Czechosłowacja znalazły się po wojnie w bloku sowieckim – z gospodarką, jak w całym bloku, niewydolną. Obecnie należą – w/g klasyfikacji Banku Światowego – do niższej grupy krajów średnio rozwiniętych, Polska z GNP na 1 mieszkańca ok. 2300 dolarów, Czechy ok. 2800, a Słowacja niespełna 2000 dolarów. Jugosławia wyłamała się wprawdzie z bloku sowieckiego, ale toczyły ją procesy rozkładowe, doprowadzając do rozpadu. Eks-Jugosławia znajduje się obecnie w głębokim kryzysie (Bank Światowy nie podaje danych).

Tak mniej więcej potoczyły się sprawy w powojennym 50-leciu w sferze gospodarczej.

II PARADOKSY KOMUNIZMU

W dużej skali historycznej paradoksalne było ustanowienie komunizmu – wbrew spodziewaniom Marksa – w zaco-fanej Rosji. Odtąd komunizm opanuje w warunkach wojny lub „wniesiony na bagnetach” (wyjątkiem Kuba) jedynie kraje zacofane i bez tradycji demokratycznych (wyjątkiem może Czechosłowacja). Paradoks narodzin systemu wyraża zwrot: „kapitalizm się rozwijał, komunizm był budowany”. Budowa ta ujawnia zaś kolejny paradoks: system proklamowany jako wyższy od „skazanego na śmierć” kapitalizmu „zapożycza się” u niego (technologia, kredyty, import zboża), co jest bez analogii w historii (kapitalizm-feudalizm). Konfrontacja niewydolnej gospodarki komunizmu z kapitalizmem stała się drastyczna w miarę postępu rewolucji naukowo-technicznej w kapitalizmie. Próba ratowania systemu-reformy Gorbaczowa była tym razem dalej idącym „zapożyczeniem” cząstkowych przynajmniej kapitalistycznych mechanizmów gospodarczych. Zakończyła się fiaskiem, nie zapobiegła załamaniu gospodarki

i rozpadowi państwa. To zaś nastąpiło swoiście paradoksalnie i bez analogii w historii. Dotąd bowiem formacje społeczne rozsadzane wewnętrznymi sprzecznościami, „przeżyte”, padały we wstrząsach (niewolniczy Rzym, rewolucje antyfeudalne). Komunizm w bloku sowieckim rozpadł się niejako sam z siebie wskutek procesów gnilnych, bez wielkich wstrząsów, można rzec – „pokojowo” (w krajach satelickich „okrągłe stoły”, „aksamitna rewolucja”).

Pozostały jednak reżimy komunistyczne w Chinach, Wietnamie, Korei Płn., na Kubie. Zachodzą w nich symptomy procesów w jakimś stopniu podobnych jak w ostatnich latach ZSSR, ale ewolucja ich pozostaje otwartą kartą. Ogrom zaś miliardowych Chin będzie wywierał istotny wpływ na „porządek świata”.

III PARADOKSY POSTKOMUNIZMU

W krajach postkomunizmu nastąpiło, paradoksalnie niejako, odwrócenie zwrotu: „kapitalizm się rozwijał, komunizm był budowany” – teraz „budowany” miał być kapitalizm na rozwalinach gospodarki komunizmu ale z pozostałościami jego struktur². W „pierwszej chwili” entuzjazmu, nie doceniano zapewne ogromu trudności, ale niebawem dały o sobie dobitnie znać. Pierwsze poczynania nowych ekip rządowych mniej lub bardziej (np. w Polsce) „szokowe” zapoczątkowały drogę do wolnorynkowej gospodarki kapitalistycznej, ale w warunkach kryzysu, po załamaniu się gospodarki komunistycznej, pociągnęły za sobą wysokie koszty społeczne. Na zasięg i tempo przeobrażeń wpływał, siłą rzeczy, stopień stabilizacji politycznej, ta zaś, jak zawsze w okresach przełomowych, była chwiejna. Zaciążył brak tradycji demokratycznych i kultury politycznej, jak i brak doświadczenia ekip rządowych, wywodzących się z byłej opozycji. Z drugiej strony hamująco działały pozostałości struktur komunistycznych oraz nawyki i postawy wdrażane przez dziesięciolecia. W sumie zakłócało to kształtowanie nowej państwowości i

2. Tytuł rozdziału w jednym z raportów ONZ brzmi: „Building capitalism”.

„społeczeństwa obywatelskiego”. Niemniej, postępowała bardziej lub mniej konsekwentna rekonstrukcja gospodarki, „przebiła się” ona poprzez zasieki polityczne i „odbijała się od dna”. Postępowała też budowa demokratycznych instytucji w oparciu o wielopartyjny system parlamentarny („wylęgło się zresztą aż nadto partii i partyjek”). Procesy te położyły kres komunizmowi i, wydawało się, obezwładniły siły zeń się wywodzące. Tak się jednak nie stało – rozpadły się wprawdzie partie komunistyczne, ale pozostali – jak „choroba popro-mienna” – ich spadkobiercy. Szybko, pod zmienioną postacią i nazwą, bardziej lub mniej odzegnując się od swego rodowodu, ekskomuniści powrócili na scenę polityczną. Niezadługo zaś obejmowali w swych krajach rządy. Fenomen historyczny, może zaskakujący, ale omal powszechny na obszarze b. bloku sowieckiego. Sprawa doczekała się licznych analiz – tu zatem tylko luźne uwagi. Wskazywano m.in., że po rozpadzie partii komunistycznych nie nastąpiła na ogół konsekwentna eliminacja ich aktywu (np. „gruba kreska” Mazowieckiego, ale dość rygorystyczna „lustracja” w Czechosłowacji). Sedno sprawy tkwi jednak głębiej – nastroje znaczącej części społeczeństwa nie szły w parze z przeobrażeniami i nie chciała ona ponosić ich kosztów. Rozwiewały się początkowe spodziewania o bezbolesnym okresie przejściowym i szybkim osiągnięciu dobrobytu. Reformy przyniosły pogorszenie dla dużych grup ludności (bezrobocie, spadek płac realnych, inflacja itd.). Nie rekompensowała tego nieznana dotąd obfitość towarów, po trudno dostępnych jednak cenach. Nie docierało na ogół do świadomości, że „winne” są nie tylko reformy, ale skutki kryzysu gospodarki komunistycznej. Za trudności obarczano winą nowe ekipy rządowe, każdy ich błąd pogłębiał nieufność i podrywał ich autorytet. Rosło rozdrażnienie przejawami „drapieżnego kapitalizmu”, spekulacją, aferami i mafiami. W nowych warunkach formowała się klasa średnia, ale drażniła polaryzacja społeczna, grupa „nowobogackich”, zagarnianie własności przez starą i nową „nomenklaturę”. Odczuciu materialnych trudności towarzyszyła często dezorientacja psychologiczna, niejako „zagubienie w wolności” jednostki – jej decyzji, odpowiedzialności, jak również niepewność „zdania się na siebie”. Trudności na dziś wypierały z pamięci trudności życia i brak

wolności w komunizmie. Pojawiały się uczucia, by tak rzec, „nostalgiczne” nie tylko u ludzi związanych z upadłym reżimem, ale i wielu zwykłych obywateli. Odzywały się wpajane od lat nawyki i reguły, które były – jak mówił Havel – „do tego stopnia trwałe, że dawały człowiekowi paradoksalne poczucie pewnego bezpieczeństwa”³. Dały o sobie też znać zardawnione postawy prymitywnego egalitaryzmu, o których powiedziano m.in., że „w kapitalizmie jest nierówny podział bogactw, w komunizmie równy podział nędzy”. Zrodzone z realnych trudności życia nastroje frustracji w znacznej części ludności stwarzały podatny grunt dla demagogii populistycznych programów, otwierając zarazem drogę ekskomunistom.

Dochodzili ekskomuniści do ujęcia rządów w krajach b. bloku sowieckiego – w nowej postaci, na ogół pod wezwaniem socjaldemokratycznym – drogą wyborów parlamentarnych, na tyle utrwaliła się demokracja. Dokonywała się, jak to ujął w przenośni Michnik, „aksamitna restauracja”. Jedynie w Rumunii połała się krew, ale władzę faktycznie od początku sprawowali eks-komuniści (Iliescu). W wyborach 1992 r. zyskali tylko 28% głosów, ale byli najsilniejszą partią, a wkrótce Iliescu został prezydentem (47% głosów). W 1993 r. ekskomuniści w Polsce uzyskali w wyborach do Sejmu tylko 20,5% głosów, ale jako największa partia utworzyli w koalicji z PSL rząd pozostający w konflikcie z prezydentem Wałęsą. W 1995 prezydentem został jednak przywódca eks-komunistów – Kwaśniewski (51,7% głosów). Po wyodrębnieniu się Słowacji jej premierem został eks-komunista Mečiar. W Bułgarii eks-komuniści zdobyli w 1994 r. 40% głosów, ich rząd pozostaje w konflikcie z prezydentem Żelewem – b. dysydem. Na Węgrzech eks-komuniści w wyborach 1992 r. stanowili nieznaczną siłę, ale w 1995 r. odnieśli zdecydowane zwycięstwo (54%). Jedynie granic Czech nie przekroczył ten pochod eks-komunistów. Osiągnęli tylko 14% w wyborach i nie zanoszą się, by powtórzyli sukces swych pobratymców. Najbardziej drastycznie zmanifestował się powrót ekskomunistów w Polsce i na Węgrzech. W Polsce po ogólnonarodowym, wielomilionowym ruchu Solidarności, który obalił ko-

3. *Kultura* nr 1/2 1996. Por. także W. J. Stankiewicz, „Czym jest post-totalitaryzm”, *Kultura* nr 3, 1996.

munizm, na Węgrzech, gdzie żyje jeszcze generacja, która na własnej skórze odczuła krwawy 1956 rok. Znamienne to, w sytuacji przełomu, przyczynki do wahliwości nastrojów i pa-mięci społecznej.

W krajach b. bloku sowieckiego w eks-Jugosławii u steru rządów pozostaje eks-komunista Milosevic, w Albanii eks-komuniści uzyskali wprowadzić w wyborach 1992 r. 41% głosów, ale rządu utworzyć nie zdołali. Nie omawiamy tu sytuacji w b. ZSSR – zbyt obszerny to temat w ramach tego artykułu. Odnotujmy jedynie, że w krajach nadbałtyckich, na Litwie eks-komuniści wcześniej, w 1992 r. doszli do władzy, natomiast Łotwa i Estonia tego uniknęła. W b. republikach sowieckich – przy znacznej różnorodności warunków – potoczyły się procesy w różnej mierze podobne, jak w europejskich krajach b. bloku. W b. republikach sowieckich zachodziły – w bardzo różnorodnych układach – procesy w pewnym stopniu podobne do tych w krajach b. bloku. W samej Rosji odbudowana partia komunistyczna uzyskała w 450-cio osobowej Dumie 158 mandatów a razem z sojusznikami 191, a jej przywódca kandyduje – nie bez szansy – na prezydenta. Partia nie zmieniła nazwy, wprowadzić deklaruje odmiennosc od poprzedniczki, ale nie wyrzeka się jej dziedzictwa ideowego, manifestuje z portretami (nie tylko Lenina ale i Stalina, dąży do przywrócenia Związku Sowieckiego) postuluje to niedawna uchwała Dumy. Dalszy rozwój sytuacji stanowi niewiadomą.

Na pytanie czy możliwe jest odrodzenie komunizmu, Havel w niedawnym wywiadzie dla *Le Figaro* odpowiedział przecząco, dodając przy tym, że zważywszy niepewną sytuację w Rosji, Zachód nie powinien zwlekać z przyjęciem krajów b. bloku sowieckiego do Wspólnoty Europejskiej i NATO.

W gospodarce po 5-ciu latach utrwalił się system wolno-rynkowy, dokonano, w różnym zasięgu i nie bez oporów, prywatyzacji – sektor prywatny w bardziej rozwiniętych krajach (m.in. w Polsce) daje ok. 50% produkcji. Powstała, wprowadzić często szwankująca, infrastruktura, m.in. bankowa. Nie bez oporów, następuje stopniowa rekonstrukcja i

modernizacja zacofanego na ogół rolnictwa (w Polsce indywidualnego, z przewagą mało wydajnych gospodarstw, w innych krajach kolektywizowanego). Trwa, w różnych rozmiarach, napływ inwestycji i kredytów, działają zagraniczne i mieszane firmy, nastąpiła reorientacja handlu zagranicznego. Bardziej rozwinięte kraje zabiegają o możliwie szybkie włączenie do Wspólnoty Europejskiej – sprawa ze względu na stan ich ekonomiki – wciąż borykającej się z dużymi trudnościami – nie jest prosta. Zapewne jednak nastąpi to w niedalekiej przyszłości, będą wprowadzić „najuboższymi krewnymi”, ale będzie to silny impuls rozwojowy⁴. Rządy eks-komunistów mogą – i zapewne będą – te procesy w pewnych aspektach hamować lub zniekształcać (rola państwa, tendencje centralistyczno-biurokratyczne, dotowanie przestarzałych i deficytowych zakładów – „mamutów” itd.), ale ich nie powstrzymają. W każdym razie opowiadają się programowo za ich kontynuowaniem.

Utrwalił się wielopartyjny system parlamentarny (na ogół o modelu prezydenckim) i pluralizm ideowo-polityczny. Działa swobodnie opozycja, panuje swoboda słowa (zniesiono cenzurę), wyjazdów itd. Nie ma procesów i więźniów politycznych (poza nielicznymi, zresztą z komunistycznego reżimu), niezależne staje się sądownictwo. Powstały takie instytucje demokratyczne jak Trybunał Stanu, Rzecznik praw obywatelskich itd. Rządy eks-komunistów mogą – i zapewne będą – manipulować regułami demokracji, ale nie mogą już zanegować ich. Nowe partie nie są jednolite, nacisk tendencji autorytarnych – jeśli byłby skuteczny – zmierzałby co najwyżej do jakiegoś modelu semi-demokracji, na to jednak się nie zanoszą. Przy tym partie te muszą się liczyć z koalicyjnymi partnerami, jak i z rozproszoną wprowadzić, ale silną liczebnie opozycją. Wybory ujawniły polaryzację polityczną społeczeństwa, niejako „przepełnienie” (Węgry, Polska, Bułgaria i in.), wprowadzając je w swoisty stan – jak to ujął Michnik – „zimnej wojny domowej”. W tym stanie będzie jednak

4. Wg. danych Banku Światowego za 1993 r. GNP na 1 mieszkańca w Polsce wynosił ok. 2300, w Czechach ok. 2800, na Węgrzech ok. 3300 dolarów. W najuboższych krajach WE – Grecji ok. 7000, Portugalii ok. 9000 dolarów, w najbardziej rozwiniętych – 20 000 dolarów.

kształtować się – może wolniej i bardziej zawile – demokratyczne „społeczeństwo obywatelskie”.

Wreszcie, *last but not least*: partie powołane do życia przez eks-komunistów są spadkobierczyniami dawnych partii komunistycznych, temu nie zaprzeczają, ale mają ambiwalentny stosunek do przeszłości i odrzekają się od dziedzictwa ideowego swych poprzedniczek. Faktem jest, że zmieniły nie tylko nazwę, ale i programowe założenia (jak w/w nie dotyczy to odtworzonej partii komunistycznej Rosji). Proklamują zbliżenie do socjaldemokracji zachodniej i szukają go (np. Oleksy uczestniczył jako obserwator na jej międzynarodowej konferencji). Uznają pluralizm polityczny, wielopartyjność parlamentarną i gospodarkę wolnorynkową. Jak zaś rządy eks-komunistów, które ubiegają się, i to uporczywie, o wejście do Wspólnoty Europejskiej i do NATO (!) miałyby odbudowywać jakikolwiek komunizm.

Swego czasu Komintern forsował „bolszewizację” młodych partii komunistycznych, szok postalinowski pchnął je do swoistej niejako „socjaldemokratyzacji” (eurokomunizm włoskiej partii, nawet bardziej ortodoksyjnej francuskiej i in.). Dziś historia zatoczyła koło: eks-komuniści mianują się – wyklętymi ongiś – socjaldemokratami. Za normalne uchodzi, gdy zachodnia socjaldemokracja „zarządza” kapitalistycznym państwem i pośrednio jego gospodarką, paradoksem wszelako jest, gdy wypada to czynić eks-komunistom. Obciążeni „dziezicznie” nie są po temu najlepiej dysponowani, rzecz w tym, czy i o ile, przekształcą się w cywilizowaną typy zachodniego socjaldemokrację, co nie obejdzie się bez wewnętrznych kontrowersji. Stoją przed dużymi trudnościami i jeśli się z nimi nie uporają, stopnieje ich elektorat, nastąpi zmiana rządu a oni przejdą do opozycji – roli bardziej im właściwej.

IV PARADOKSY WYZWOLENIA

Ostateczny rozpad kolonializmu w okresie powojennym stworzył nowe i trudne problemy. Zwłaszcza, że na pokolonialnych obszarach zapanował permanentny stan zapalny, głównie, ale nie tylko, w Afryce (powstało w niej kilkadziesiąt nowych państw). Dochodziło do starć między nowo narodo-

nymi państwami, ale bardziej gwałtowne i niszczycielskie są nieustanne walki plemiennie-religijne we wszystkich bodaj krajach (m.in. muzułmanie-chrześcijanie w Sudanie, Libanie). W pewnych okresach obserwatorzy doliczali się do kilkudziesięciu wojen lokalnych i walk wewnętrznych. Pochłaniają one wraz z towarzyszącymi epidemiami i głodem miliony ofiar, powodują milionowe fale uchodźców (ostatnio ludobójcze walki w Rwandzie).

Na pokolonialnych obszarach Azji walki etniczno-religijne nie przybierają takich jak w Afryce rozmiarów, ale toczą się z różnym napięciem – w wielu krajach (Sri-Lanka, Burma, Irak i in.). Tam zaś gdzie władzę wzięli komuniści legło ciężkie piętno na rozwoju tych krajów (Wietnam, Korea Płn., ludobójstwo w Kambodży). Wyjątkowa w perspektywie historycznej sytuacja powstała na pokolonialnym Bliskim Wschodzie. Odtworzone zostało państwo Izrael, które przestało istnieć przed tysiącami lat i na tymże obszarze formował się naród palestyński dążący do własnego państwa, które nigdy nie istniało. Co wiodło nieuchronnie do starć i wojen, którym kres ma położyć toczący się niełatwy proces pokojowy.

Nie omawiamy tu spraw b. ZSSR, ale prosi się o miejsce pewna uwaga. ZSSR był bowiem spadkobiercą zawojowanych przez carat krajów – faktycznie „kolonii”, tyle że na zwartym terytorium – późniejszych republik sowieckich. Z rozpadem ZSSR wyszły na powierzchnię antagonizmy narodowe prowadzące do wojen (Armenia-Azerbejdżan, Gruzja-Abchazja-Czeczenia) i licznych konfliktów etnicznych (Krym i in.). Przybrały też na sile konflikty w wieloetnicznych krajach b. bloku sowieckiego, w Jugosławii zaś doprowadziły do jej rozpadu i długotrwałej wojny.

Stan gospodarki krajów pokolonialnych – zwłaszcza Afryki – nie uległ od wyzwolenia znaczniejszej poprawie, w niektórych żadnej. Ogromna większość krajów Afryki należy do grupy „nisko rozwiniętych” (z GNP średnio 380 a nie przekraczającym 700 dolarów na mieszkańca, ale np. w Mozambiku wynosi... 85 dolarów). W wielu krajach następuje przy tym okresowo – czasem na długo – spadek dochodu narodowego. Mimo ubytku ludności wskutek walk, epidemii głodu, mimo wysokiej śmiertelności i krótkiego życia (w

wielu krajach poniżej 50 lat), ale dużej rozrodczości (średnio 6-7 narodzin na kobietę) ludność gwałtownie wzrasta. W publicystyce wszedł w użycie zwrot „bomba demograficzna”. Nawet w krajach względnie lepiej prosperujących dochód narodowy ledwie albo zgoła nie nadąża za wzrostem ludności. Bilanse handlu z krajami rozwiniętymi są z reguły niekorzystne – jak pisano „bogaci się bogacą, biedni biednieją” – w kołach lewicowych mówi się o neokolonializmie. Pomoc ONZ i krajów bogatych, choć często doraźna i po części marnotrawiona, stanowi jednak istotny bodziec rozwojowy. Notuje się pozytywne rezultaty w gospodarce, co nie zmienia jednak faktu, że obraz zwłaszcza tzw. „czarnej Afryki” pozostaje ciemny.

Tylko w nielicznych pokolonialnych krajach Azji gospodarka rozwijała się. Na ogromnym jednak obszarze utrzymuje się zacofanie i nędza (kraje półwyspu Indyjskiego z GNP 300-500 dolarów na mieszkańca), należy do nich również Hong-Kong i Korea Płd. Tu nasuwa się porównanie „systemowe”: w kapitalistycznej Korei Płd. GNP wynosi ok. 7700 dol. na mieszkańca, komunistycznej Korei Płn. statystyka Banku Światowego nie uwzględnia, ale należy ona do najniższej grupy, a obecnie gospodarczo jest w krytycznym stanie. Generalnie biorąc trwa, jeśli nie pogłębia się, tkwiąca w historii dysproporcja między krajami pokolonialnymi a krajami wysoko rozwiniętymi, zwłaszcza wobec postępu w nich rewolucji naukowo-technologicznej.

Wyzwolenie spod władzy kolonialnej nie przyniosło bynajmniej wyzwolenia społeczno-politycznego ludności. Od początku formowały się w pokolonialnej Afryce rządy autorytarne, jednopartyjne lub reżimy wojskowe. Niektóre przybrały zaś wręcz monstrualną postać (Amin w Ugandzie, „cesarz” Bokassa). W kilku krajach rządy zapatrzyły się w model sowiecki, mówiono o „afrykańskim socjalizmie”, ale szybko to przeminęło. Po kilku już 10-leciach ogólny obraz nie uległ istotnej zmianie. Wprawdzie organizacja *Freedom House* ocenia, że kilkanaście państw stało się semi-demokratycznymi, ale sytuacja w nich jest zmienna z periodycznymi zamachami stanu⁵. Istnienie parlamentów jest na ogół fasadą,

5. *Freedom Review* I-II 1995.

podobnie jak wybory, manipulowane, czasem zgoła karykaturalne (jak np. ostatnio prezydenckie w Zimbabwe z jednym kandydatem, przy... 30% frekwencji!). Opozycja jest z reguły brutalnie tłumiona (ostatnio np. egzekucje w Nigerii), działa jednak – w różnym stopniu aktywnie – dobijając się demokratycznych swobód i praw człowieka⁶.

Nie ma demokracji w żadnym z arabskich krajów pokolonialnych, panują w nich dyktatury (Libia, Syria, Irak), reżimy autorytarno-wojskowe (Algier, Egipt) bądź monarchie. Nie ma też demokracji w krajach pokolonialnych Azji – na ogół ustaliły się rządy autorytarne, jak w Burmiej, Indonezji i in. (niektóre jednak stały się przynajmniej semi-demokratyczne, jak Korea Płd., Filipiny po upadku dyktatury). Te zaś kraje, które opanowali komuniści, stały się totalitarne w pełnym tego słowa znaczeniu.

Drastyczna dysproporcja gospodarcza między afrozjatyckimi krajami biednymi (i mniej ale jednak biednymi wieloma krajami arabskimi) a bogatymi krajami wysoko rozwiniętymi, jest coraz częściej przedmiotem analiz ekonomicznych i politycznych. W publicystyce pojawiła się opinia, że po rozpadzie ZSSR główna dotąd oś kontrowersji globalnej Wschód-Zachód przesunęła się na oś Południe-Północ. Mieć trzeba wszelako na uwadze różnice tych „osi” – pierwsza przebiegała w klimacie „zimnej wojny”, grożącej rozgrzaniem, druga tego niebezpieczeństwa nie stanowi. Stwarza natomiast „napór migracyjny”, coraz bardziej uciążliwy dla krajów bogatych. Zważyć przy tym należy, że ta pierwsza „oś” nie całkiem zniknęła, rysuje się nowa, wybiegająca na Daleki Wschód.

W perspektywie historycznej walka wyzwolenicza nasycona jest zawsze nacjonalizmem – radykalną pochodną patriotyzmu lub aspiracji grup etnicznych. Jest to jeden z aspektów nacjonalizmu – w historii występuje on uniwersalnie z różnym natężeniem i w różnych wariantach jego składników. Z jednej strony jako agresywny, zaborczy szowinizm obrócony „na zewnątrz”, z drugiej obrócony „do wewnątrz” kraju przeciw „innym” i „obcym” jako ksenofobia i rasizm.

6. Zważmy, jak trudno jest budować demokrację w krajach masowego analfabetyzmu, który w wielu obejmuje 70-80% ludności.

O nacjonalizmie w pokolonialnej tzw. „czarnej Afryce” można mówić tylko umownie – raczej o „etniczności”. U początku dopiero jest bowiem kształtowanie się ze struktur plemiennych (w wielu krajach jest po kilkanaście plemion) państw narodowych⁷. Po wyzwoleniu, ów „nacjonalizm” prowadził do licznych wojen lokalnych, znamieny zaś jest jego obrót „do wewnątrz”. Dominujące grupy etniczne podporządkowały sobie, na ogół w walce, i dyskryminują inne (np. w Sudanie Arabowie Murzynów). Niekiedy dochodzi do wymiany dominacji, jak np. w ludobójczej walce Hutu i Tutsi w Rwandzie. W każdym razie temu splótowi walk etniczno-religijnych w pokolonialnej Afryce nie widać jeszcze końca. Nie tak powszechne, ale podobne są zjawiska w pokolonialnych krajach Azji (Indie – Sikhowie, Kaszmir, Sri Lanka – Tamilowie, Irak – Kurdowie).

W krajach b. bloku sowieckiego „pustkę ideologiczną” po krachu komunizmu wypełnił w świadomości znacznych odłamów społeczeństw nacjonalizm i stał się legitymacją ideową wielu partii politycznych. W wieloetnicznych krajach wyszły na powierzchnię podskórne antagonizmy i aspiracje dyskryminowanych mniejszości (w Rumunii – Węgrzy, w Bułgarii – Turcy i in.). W najbardziej homogenicznej Polsce nacjonalizm sprzęgnięty z religią (pod hasłem „Polak-katolik”, bardzo zresztą ostatnio nadwątlonym) zrodził paradoksalne przejawy „antysemityzmu bez Żydów”. Jedynie w Czechosłowacji nastąpił pokojowy „rozwód” Czechów i Słowaków.

W rozwalinach ZSSR pogrzebane zostały mity o „sowieckim patriotyzmie”, internacjonalizmie itp., burzliwą falą wypłynął zaś nacjonalizm w jego najbardziej agresywnej, szowinistycznej odmianie (z patologią Żyrynowskiego). W b. republikach sowieckich wybuch nacjonalizmu prowadził do wojen (Armenia-Azerbejdżan, Gruzja-Abchazja) i licznych konfliktów etnicznych (Krym, Przydniestrze, Tatarzy itd.), jak i problem 25 milionów Rosjan poza granicami Rosji. Wojna w Czeczenii nosi inny charakter – wynika z odradzających się imperialnych tendencji Rosji.

7. Olgierd Budrewicz podaje m.in., że w b. kolonii francuskiej – Kongo Brazzaville doliczyć się można kilkudziesięciu (!) szczepów. „Równoleżnik Zero”, Warszawa 1987, s. 53.

Nie omawiamy tu spraw Europy Zachodniej, w kontekście jednak nacjonalizmu nie od rzeczy będzie kilka uwag. Fale nacjonalizmu, jak na ogół stwierdzano, opadły po wojnie, ostatnio jednakże wyraźnie się wzniosły. Trwają etniczne ruchy separatystyczne, posługujące się terrorem w Hiszpanii i o mniejszym natężeniu we Francji (Korsyka). Napięte są stosunki dwóch członków NATO – Turcji i Grecji (Cypr). Nie jest wolna od konfliktów etnicznych Belgia, rozwiązywane są one tam jednak w sposób demokratyczny⁸. Jedynie Szwajcaria pozostaje tradycyjnie terenem pokojowego współistnienia trzech grup etnicznych. Najbardziej drastyczny jest stan w Płn. Irlandii, gdzie fanatyczne terrorystyczne działania pod religijnym wezwaniem nasuwają reminiscencję wojen religijnych sprzed kilku stuleci. Paradoks tym bardziej ponury, że ma miejsce w obszarze geograficznym, w którym dawno pojawiły się wczesne zarodki współczesnej demokracji parlamentarnej.

Również w Europie Zach. po wyciszeniu po wojnie nacjonalizmu „na zewnątrz” nastąpiło – w odmiennych oczywiście układach niż w krajach pokolonialnych – przesunięcie kierunku działania ugrupowań nacjonalistycznych „do wewnątrz” kraju przeciw „obcym” i „innym”. Napór migracyjny z krajów biedy i walk sprawił, że liczba cudzoziemskich robotników i uchodźców dosięgnęła kilkunastu milionów – tego rzędu co liczba bezrobotnych we Wspólnocie Europejskiej. Przejawy tego nacjonalizmu „do wewnątrz” przybierają obok zwykłej dlań ksenofobii bardziej agresywną – także terrorystyczną – postać zacieklego rasizmu z dodatkiem „tradycyjnego” antysemityzmu (partia Le Pena zdobyła we Francji znaczące wpływy, znamienna jest jego przyjaźń polityczna z Żyrynowskim).

V PARADOKSY MODERNIZACJI

Narasta nowe niebezpieczeństwo, mianowicie islam. Tak stało się w Iranie, gdzie forsowną (może nazbyt) modernizację

8. Por. na kontynencie płn amerykańskim Quebec. USA stanowi inny problem o dużych napięciach, ale grupy etniczne są rozproszone na całym terytorium kraju.

przerwała „rewolucja islamska” odrzucając kraj wstecz do jedynej dziś w świecie, nieznannej od zamierzchłych czasów formy państwa teokracji. Rząd ajatollahów odrzuca i potępia model cywilizacji zachodniej przeciwstawiając mu swój anty-model islamskiego fundamentalizmu, który pragną uczynić uniwersalnym. Ostatnio pojawiły się wprawdzie – wobec trudności gospodarczych i izolacji politycznej – pewne symptomy rozluźnienia rygorów reżimu, ale nadal wspiera on agresywny fundamentalizm i jego terrorystyczne akcje w innych krajach. Fundamentalisci opanowali władzę w zacofanym Sudanie, proklamując go jako państwo islamu, co z miejsca zaostriżyło walkę dominującej grupy etnicznej Arabów przeciw chrześcijańskim Murzynom i półpogańskim plemionom. Groźniejsze, że fundamentalizm wzrósł w siłę i politycznie oraz terrorem destabilizuje względnie rozwinięte, jak na Afrykę, i modernizujące się państwa jak Egipt i Algeria. Terror fundamentalistów Hamasu i Hezbollah wymierzony przeciw Izraelowi zakłóca proces pokojowy a zarazem opóźnia formowanie się państwa palestyńskiego. Na progu Europy, w Turcji – należącej do NATO i stowarzyszonej ze Wspólnotą Europejską – w ostatnich wyborach partia islamska okazała się najsilniejszą. Nie jest wprawdzie tak skrajna jak irański fundamentalizm i nie zdołała stworzyć rządu, ale to ma swoją wymowę.

kwiecień 1996

Bolesław DRUKIER

Polski rów tektoniczny

Krzysztof Wolicki w kwietniowym numerze *Kultury* pobieżnie zmiążdżył Aleksandra Halla i doszedł do wniosku, że podział na „dwie Polski” jest socjologiczną fikcją. Wolicki kwestionuje istnienie takiego podziału, ponieważ nie udało mu się odnaleźć jego wyraźnych kryteriów politycznych i kulturowych. Nie ma kryteriów – nie ma podziału.

Niestety, rzeczywistość lubi szydzić z naszej logiki. Jest w klimacie, w powietrzu, tym się oddycha. Niechęć, nieufność, nienawiść, pogarda, wstręt – cała gama uczuć i nastrojów skierowanych w stronę przeciwnego obozu. Każda czynność jednej strony natrafia natychmiast na ironiczny, wrogi komentarz drugiej. Toczy się przewlekła, zjadła wojna.

Rzecz w tym, że źródła tego antagonizmu są gdzie indziej, nie tam gdzie szuka ich Wolicki: biją w przeszłości. I nie jest to żadne paranoidalne przywoływanie widm, lecz przeszłość żywa.

Każde zło wymaga zadośćuczynienia. Dopóki ono nie nastąpi, nasze poczucie ładu moralnego jest boleśnie zakwestionowane: świat nie jest na swoim miejscu, wszystko wokół jest chaosem.

PRL był złem. Złem do tej pory moralnie nie rozliczonym.

PRL niósł ze sobą doświadczenie podwójne: „mas” i elity rządzące.

Dla „mas” życie w Polsce po roku 1956 było zupełnie znośne. Kto nie pchał się w politykę, mógł spokojnie bytować na uboczu. Lecz nie ze wszystkim. Każda najskromniejsza aspiracja życiowa, a choćby tylko samo zachowanie świętego

spokoju, wymagało wejścia w dwuznaczny świat mikro-polityki. Kto weń wkraczał, wychodził jakoś na swej osobowości poszkodowany, mniej lub więcej upokorzony. Wyjawszy postawy heroiczne, żeby żyć, trzeba było być upokarzonym.

Doświadczenie upokorzenia było najbardziej masowym doświadczeniem moralnym PRL. Nie dla wszystkich jednakowo dotkliwym. Ci z dobrych rodzin z tradycjami mieli jasną świadomość imponderabiliów i znali dokładną cenę kompromisu. Inni – a tych była większość – byli z magmy społecznej. Ci wchodzili w lata dojrzałe we mgle, w niejasności, w zamęcie. Dla nich kwestia drobnych kompromisów, politycznej i ideowej mimikry, nie była zbyt bolesna, nie domagała się surowej interwencji sumienia. Świadomość przrastała powoli, z każdym kryzysem, z każdym nowym działaniem opozycji, listem otwartym, aktem cywilnego nieposłuszeństwa, wyłowioną z szumów audycji „Wolnej Europy” czy cudem dorwanym numerem paryskiej *Kultury*.

A wraz z przyrostem świadomości rosła tęsknota do prawdy, do wyzwolenia się z tych wszystkich mętnych, męczących zależności, do postawy wyprostowanej. Lata 1980/81 były narodową *katharsis*: oczyszczeniem i wyzwoleniem. Ludzie mieli jedno wielkie wspólne doświadczenie: sprostali wolności. To było właśnie to jedyne zadośćuczynienie złu PRL, jakie ze swej strony my, ludzie szarzy, ludzie „masy” mogliśmy dać. Nasz skromny akt odwagi jako ekspiacja za nasze skromne winy. Rozliczyliśmy się ze sobą. W nowe dziesięciolecie wchodziliśmy wyprostowani wewnętrznie.

Doświadczenie elity rządzącej i administracji było z gruntu inne. Sama chęć podjęcia kariery w PRL, wszelkie pięcie się w górę w hierarchii, wymagało zadeklarowania nieograniczonego posłuszeństwa intelektualnego i moralnego. Za dogmat należało przyjąć prymat rozumu instytucjonalnego nad jednostkowym, mądrości władzy nad własną. „Góra” miała mieć rację apriorycznie. „Góra” mogła być rozumiana różnie, ale zawsze – w założeniu – należało przyjąć, że istnieje coś, co upokorzy jednostkę w najgłębszej sferze jej wewnętrznej suwerenności. I właśnie ta wyrażona z góry, dobrowolna zgoda na akt permanentnego upokorzenia była,

jak sądzę, ową ceną główną, jaką płacono się za udział we władzy. Był to układ faustowski.

Starzy komuniści deklarowali jeszcze swe posłuszeństwo ideologii. Formacja stalinowska, a zwłaszcza poststalinowska – już tylko dla samej władzy. Teoretycznie ta władza była „delegatem idei”, ale w praktyce deklaracja posłuszeństwa była *in blanco*, była zobowiązaniem biurokratycznym, czystym najemnictwem osobowości.

Prawda i kłamstwo stały się w tych kręgach kategoriami nieprzydatnymi. Istotą stosunków międzyludzkich była bezustanna gra, szukanie wpływów, „pleców”, sojuszy, permanentne przystosowywanie się do zmieniających się układów, haseł i mód politycznych. Dla niektórych zachowały wprawdzie ważność jakieś szersze ideały, dobro kraju, patriotyzm, ale było to tak głęboko ukryte pod maską konformizmu, że niewidoczne na zewnątrz, nie do odróżnienia w masie jałowych i pustych deklaracji. Dla większości celem samym w sobie była gra. Więcej: gra była jedyną możliwą formą istnienia osobowości, które abdykowały ze swej wewnętrznej suwerenności.

Kształtowało to ludzi. Tym silniej, im bliżej jądra – kręgów kierowniczych partii na wszystkich jej szczeblach. Wyrabiały się jednostki zwinne, ślislike, zwrotne, adaptujące się do wszystkiego. Uniformizm musiał być całkowity. Podstawowym organem działacza partyjnego były uszy. Uszy jak radary. Musiał słyszeć wszystko. Każde drgnienie na szczytach, każdą zmianę tonu – i natychmiast się przystosować. Iście nietoperzowa czułość.

Deklarowano tu wszystko w sposób „dialektyczny” – gładki, ogólnikowy i niejasny, nie niosący ze sobą żadnego poczucia zobowiązania, wagi własnych słów i czynów. Wszystko było „względne”, za wszystko odpowiedzialne były wyłącznie „warunki”. Całkowitemu zanikowi uległo stare polskie pojęcie honoru.

Trzeba tu wspomnieć o jeszcze jednej, niezwykle ważnej cesze tego środowiska: o jego *esprit de corps*.

Komuniści byli w Polsce ciałem podwójnie obcym. Raz, że narzuconym i podtrzymywanym przez ZSSR, dwa, że negującym te tradycje i wartości, bez których Polacy obejść się nie mogą. Polskość i komunizm to były materie nieprze-

niknione. Więcej: lojalność wobec partii szła zawsze przed lojalnością wobec narodu. Było to zresztą jawnie wpisane w doktrynę; partię obowiązywała przede wszystkim internacjonalistyczna lojalność wobec rewolucji. Przynajmniej dwukrotnie znalazło to swój dramatyczny wyraz praktyczny: w 1956 na Węgrzech i w 1968 w Czechosłowacji.

Komuniści czuli zawsze instynktownie swą obcość narodową i do końca pozostali zbiorowością zamkniętą, nieufną i zdystansowaną wobec narodowej większości, obawiając się stamtąd zagrożenia.

To, a także inne cechy partii totalitarnej, ukształtowało nie tyle niezwykle silną więź wewnętrzną (tak dzisiaj podziwianą jedność SLD) i poczucie solidarności z towarzyszami, ale również swoisty obyczaj i mentalność, odwołujące się do jakichś kodów nie ujawnionych, nie sformalizowanych, niedostępnych dla „obcych”.

Czy można było spodziewać się po tych ludziach rzeczywistego zadośćuczynienia za zło PRL? Ich ekspiacja mogła przybrać tylko jedną postać: zręcznego wyłgania się, pozorowanej samokrytyki. Ograniczyła się do wybąkania „przepraszam”.

I nie chodziło tu o jakiś głębszy związek z przeszłością, jakieś heroiczne trwanie w ideowych okopach świętej Trójcy. Szło o organiczną niezdolność do wewnętrznego rozrachunku, do prawdziwej refleksji moralnej. Wytrzebiona została sama ich potrzeba. Nie było żadnych imponderabiliów, o które można by się oprzeć. Była tylko gra. Ci ludzie nie przeżyli z nami odzyskania wolności i prawdy. Nie byli zdolni do takiego święta. Wraz z nową sytuacją przejęli nowy język, ale zachowali starą duszę; duszę ludzi gry.

W roku 1993 i jeszcze wyraźniej w roku 1995, ludzie z tego posiewu przejęli w Polsce władzę. Przejęli ją z wyraźnego nadania większości tego samego narodu, który jeszcze tak niedawno wydawał się nade wszystko złąkniony prawdy i twardego gruntu moralnego.

Jak to się stało?

Motywy były różne. Część, przeszłością i układami związana z SLD, uczyniła to po prostu w dobrze rozumianym interesie własnym. To naturalne. Inni, przygnieci ciężarem

rozczarowania do nowych przywódców, zrobili to „na złość” sobie i nowej rzeczywistości, która zdradziła ich marzenia: człowiek namiętny łatwo wybiera skrajności. Jeszcze innych napędzili do urn wyborczych SLD nowi Savonarole, którzy za akt głęboko naganny zdawali się uważać sam fakt życia w PRL, jeśli nie spędziło się go w więzieniach, a nawet – jeśli się je tam spędziło. Życie w totalnym państwie miało być totalnie złe.

A przecież było to moje życie. Ja innego nie mam. I muszę w imię tego życia – które wszak w swoim rdzeniu było zwyczajne i uczciwe – zbuntować się przeciw prorokom moralności niemożliwej. A stąd krok już tylko do syrenich śpiewów SLD. Sposób rozliczenia się z PRL jest bodaj największym błędem nowej elity politycznej, intelektualistów, dziennikarzy, uczonych, jest wielkim grzechem zaniedbania nowej Polski.

Trzeba także zdać sobie sprawę, jak głęboko zneurotyzowały społeczeństwo dramatyczne przemiany związane z reformami Balcerowicza. Nie chodzi tu nawet o drastyczne pogorszenie się statusu materialnego wielu grup społecznych. Gorsze, że z dnia na dzień ludzie musieli stanąć wobec całkowicie nowej dla nich rzeczywistości. Przyszłość stała się nagle niezrozumiała i ciemna, niosąca niepojęte zagrożenia. Całe doświadczenie życiowe w jednej chwili stało się nieprzydatne. Wszystko, co dotąd było źródłem dumy i podstawą roszczeń o swoje prawa, okazało się nagle bezwartościowe. Wielu ludzi poczuło się tak, jakby odjęto im prawo do godności.

Nie można się zatem dziwić, że dla tych sfrustrowanych i przerażonych, zaniedbanych przez nową Polskę, postkomuniści stali się symbolem tego skromnego raj, z którego ich wygnano lub z którego niebacznie wygnali się sami. Zaczęli w nich widzieć szansę powrotu do swego zagubionego człowieczeństwa.

Jeszcze inni poczuli się zagrożeni wybuchem agresywnego klerykalizmu, szowinizmu, antysemityzmu. Słusznie czy nie, w postkomunistach, z ich laicką i internacjonalistyczną – przynajmniej werbalnie – tradycją, widzieli możliwość osłony przed tą wznoszącą się falą.

Ale może najwięcej klienteli wyborczej zyskali postkomu-

niści (używam tego terminu z braku lepszego) wśród tych, którzy w ich klimacie duchowym wyczuli coś zasadniczo sobie pokrewnego – zgodę na życie ułatwione, na łatwą moralność, na brak obciążenia ciężarem idei, brak tych wszystkich niewyraźnych, archaicznych wymogów „patriotyzmu” czy czegoś równie niezrozumiałego, męczącego i dalekiego. Nie ma co ukrywać: miałość tego społeczeństwa, jego powierzchowność duchowa, brak tego, co się nazywa świadomością obywatelską i narodową, jest po prostu faktem. Tacy jesteśmy. Magma i garść Rejtanów.

„Druga Polska” przyjęła ten wybór z goryczą. Nie była to zwykła przegrana, normalny wynik gry politycznej w normalnej demokracji. Było to zachwianie porządku świata, powrót do stanu moralnej ambiwalencji. Wygrali ci, co w naszym najgłębszym poczuciu wygrać nie powinni. Nagrodę wzięli ludzie bez zasługi.

Rozczarowali nas nasi postsolidarnościowi przywódcy. Nową klasę polityczną zmierzwiono gruntownie. A przecież tylko wśród niej są ludzie, którym „druga Polska” po prostu, całkiem zwyczajnie ufa. Których szanuje. Przy których czuje się „u siebie”. Nie chodzi o to, że ich raczej są zawsze naszymi racjami. Rzecz idzie głębiej. My po prostu wierzymy, że tym ludziom, czy nazywają się Jan Olszewski czy Leszek Balcerowicz, naprawdę na czymś zależy prócz osobistej kariery, a nieraz i wbrew niej. Że nie są dla nich pustym pojęciem słowa, które aż wstyd głośno wymawiać: ojczyzna, dobro kraju, Polska. My się przy tych ludziach prostujemy wewnętrznie. Ich Polska jest naszą Polską, mimo różnic, mimo potępieńskich swarów, mimo wszystkich małości. To ta ojczyzna, w której chcemy żyć.

A tamtym – nie wierzymy. Inna jest ich nuta, inna melodia duchowa, obca nam. Nie wierzymy i to jest ten fakt, którego nie mogą zmienić żadne argumenty, najbardziej słuszne i racjonalne, żadne obietnice, deklaracje, słowa. Nie wierzymy. Nie ufamy. Czujemy się przy nich obco. Zgarbieni, sponiewierani, pełni goryczy i żalu.

Pewnego razu Fryderyk Wielki kazał zatrzymać dwóch Żydów, którzy uciekali na widok jego karety. Pytani o powód powiedzieli: „Baliśmy się, Najjaśniejszy Panie”. „A łajdaki!” –

wrzasnął król, grzmocąc ich potężnie swą laską. „Kochać mnie, kochać powinniście, a nie bać się!”

Otóż nie kochamy.

I to jest, jak sądzę, ten rów tektoniczny, który dzieli dziś Polaków na „dwie Polski”. Nie w czysto politycznej sferze przebiega ten podział, lecz głębiej, znacznie głębiej. Dlatego jest tak dotkliwy, tak silny, tak gryzący. Utrudnia on – jeśli nie wręcz uniemożliwia – prowadzenie normalnej, stabilnej polityki państwa w warunkach naturalnej parlamentarnej i partyjnej gry. W przyszłości może zagrozić nawet samym podstawom polskiej demokracji.

Podział na „dwie Francje” na całe stulecie położył się ciężkim cieniem na historię tego kraju. Antagonizmy ideowe mają zdumiewającą łatwość odrywania się od realnych interesów i autonomizowania w irracjonalne postawy, zajadłe i nieprzejednane. Chroń nas Boże przed taką perspektywą. Polska naprawdę potrzebuje rudymenarnej jedności narodowej.

Ba, ale jak ją osiągnąć?

Na pewno nie da się tego uczynić na grząskim i niepewnym gruncie moralnym. Wtedy raczej trzeba pogłębiać rów.

Dlatego ci ludzie z byłego obozu „Solidarności”, którzy jak Andrzej Drawicz czy Barbara Labuda, przechodzą dziś do obozu SLD, nie budują mostów. Swoim działaniem pozorują jedynie zmianę polityczną, wyrządzając złą przysługę obu stronom. Zjednoczenie nie może dokonać się poprzez dezercję ani przez polityczne przeciąganie liny.

Nie może również dokonać się przez zgębienie przeciwnika i rzucenie go na kolana, jak o tym zdają się dziś marzyć pewne kręgi prawicy. Pyrrusowe byłoby to zwycięstwo.

Nikt rozumny nie chce w Polsce stawiać politycznych szubienic. Nikt nie chce ścigać Józefa Oleksego dla samej satysfakcji zemsty na nim czy na SLD. Nikt rozumny nie chce politycznej banicji SLD – banicji 30% narodu. Marne i podle byłyby to racje. Wzajemne straszenie się lustracjami jest poniżającą zabawą. Satysfakcja moralna z ewentualnego „odwetu” na SLD byłaby krótkotrwała, a skuteczność jego być może odwrotna od zamierzeń.

Cóż tedy?

Myślę, że klucz do przyszłości wydaje się dziś leżeć przede wszystkim w rękach samej SLD. Jest taka strefa, gdzie zamiary wszystkich partii i nurtów politycznych, kierujących się polskim interesem narodowym jako celem nadrzędnym, powinny być wspólne, niezależnie od wszelkich pozostałych różnic programowych: tą strefą jest głęboka reforma państwa, tak, by zapewnić jego prawom i interesom pełną suwerenność i nadrzędność nad interesami partii politycznych i grup wpływu.

Tylko podejmując dzieło takiej reformy, i szerzej – podejmując wszelkie konieczne dla kraju działania reformatorskie, które na krótką metę mogą być sprzeczne z własnym interesem wyborczym – SLD może uwiarygodnić się nie tylko w naszych, ale również we własnych oczach jako zbiorowość, dla której służba Polsce jest czymś więcej niż słaba służba własnej partii. A wtedy zdobędzie ona to poczucie, którego – mimo wszystkich sukcesów wyborczych – brak jej do tej pory: że jest organiczną częścią narodowej całości, że jest naprawdę „u siebie”. To właśnie jest prawdziwy i najgłębszy sens słowa: dekomunizacja.

A „druga Polska”?

Nie nawołuję do pochopnego padania sobie w ramiona: na to jest za wcześnie, podziały są za głębokie i zbyt raniące. Ale można nie pogłębiać przepaści, nie zaostriżać antagonizmów. Patrzeć uważnie na ręce, ale kwitować rzeczowym uznaniem każde realne osiągnięcie tamtej strony¹, każdy nowy dowód, że i tam pojęcie interesu narodowego nie jest tylko propagandową zasłoną dla interesów partyjnych. Nie przekształcać ograniczonej sprzeczności w mit. Mit, raz stworzony, ma własne życie, groźne i uparte. Krytycyzm, nieufność – tak, ale nie nienawiść.

Czy są jakieś szanse, by zasypać ów rów podziału między jedną a drugą Polską?

Nie wiem. Na razie wszystko zdaje się zmierzać raczej w odwrotnym kierunku. Na razie słychać tylko puste deklaracje,

1. Dla przykładu: list otwarty prezydenta Kwaśniewskiego do preza Edwada Moskala. „Chciałbym, by zawsze w sposób równie godny, spokojny i rozumny występowano w imieniu mego kraju”. Punkt dla Aleksandra Kwaśniewskiego.

nie wywietrzała jeszcze siarka współpracy agenturalnej, błąka się po obrzeżach widmo Targowicy, trwa jaskiernizacja i sekularyzacja prawa i obyczajów politycznych. Może więc trzeba będzie czekać, aż przejdziemy przez swoje Morze Czerwone, aż odejdą w cień historii aktywne dziś pokolenia polityków.

A może stanie się to wcześniej? Dziwne są przecież dzieje tego narodu. Dziwne i pełne zaskoczeń. Może więc dobrze tu będzie, dla swojej skromnej nadziei, powołać się na stare, mądre perskie przysłowie: „czas jest ojcem cudów”.

Janusz TRYBUSIEWICZ

Podatek kościelny

Niemiecki system finansowania działalności Kościołów za pomocą tzw. „podatku kościelnego” jest zjawiskiem dość wyjątkowym (podobne rozwiązania przyjęto jedynie w Danii i w niektórych kantonach Szwajcarii). Warto przyjrzeć mu się nieco bliżej, zwłaszcza że wciąż na nowo dają się słyszeć głosy, rozważające, czy wręcz sugerujące celowość wprowadzenia podobnych regulacji także w Polsce.

Dzieje podatku kościelnego w Niemczech sięgają lat trzydziestych XIX w., jego historycznych korzeni szukać jednak trzeba jeszcze wcześniej. W 1803 roku Nadzwyczajna Deputacja Reichstagu podjęła decyzję o przeprowadzeniu sekularyzacji wszystkich (z wyjątkiem arcybiskupstwa mogunckiego) państwów duchownych i większości majątków kościelnych. Celem tego posunięcia było zrekompensowanie straconych przez państwa lewego brzegu Renu. Beneficjenci przeprowadzonego w ten sposób nowego podziału terytorialnego zostali zarazem zobowiązani do stałych świadczeń na rzecz Kościoła, które miały być formą zadośćuczynienia za utracone dobra. Książęta niemieccy poczułi się wówczas zmuszeni szukać nowych sposobów ekonomicznego usamodzielnienia Kościoła i przerzucenia ciężaru tych zobowiązań na barki swoich poddanych. Tak narodziła się idea powszechnego podatku płacowego przez wiernych. Nie bez znaczenia był przy tym wpływ rewolucji francuskiej, która zniosła dziesięcinę oraz głębokie przeobrażenia ekonomiczne: coraz powszechniejsza dominacja gospodarki pieniężnej kazała poszukiwać nowych form finansowania wspólnot kościelnych. Od końca lat dwudziestych

XIX w., poszczególne kraje niemieckie zaczynają wprowadzać do swego ustawodawstwa przepisy fiskalne przypominające w swych ogólnych zasadach współczesny podatek kościelny (m.in. Lippe – 1827, Oldenburg 1831, Saksonia 1838). W pierwszych latach XX w. system ten jest już w zasadzie na obszarze Niemiec powszechny, a w 1919 r. zyskuje po raz pierwszy charakter normy konstytucyjnej.

Konstytucja Weimarska przyjęła wpawdnie zasadę rozdziału Kościołów od państwa, gwarantowała im jednak nie tylko wewnętrzną autonomię, ale także zachowanie uprzywilejowanej pozycji, nadając im rangę „stowarzyszeń prawa publicznego”. Jako takie posiadały one również przywilej „pobierania podatków na podstawie obywatelskich list podatkowych” (art. 137 ust. 6). Warto tu przypomnieć, że kompromis ten już wówczas określany był jako „kulawy”, albowiem państwo, chcąc nie chcąc, nadal miało współuczestniczyć w egzekwowaniu przez Kościoły świadczeń pieniężnych ze strony ich członków a swoich obywateli, wyznaczając pewien dość istotny obszar współdziałania instytucji kościelnych i państwowych. Co więcej, ust. 8 tego samego art. 137 dawała prawo stanowienia szczegółowych przepisów wykonawczych w tej dziedzinie legislaturom poszczególnych krajów, co w konsekwencji czyniło w tym zakresie ustawodawstwo państwowe tworem poniekąd hybrydycznym, swoistą transformacją wewnętrznych przepisów kościelnych na obszar działania państwa, które wbrew deklarowanym intencjom stawało się w pewnym sensie na powrót *brachium saeculare* Kościoła. Ten stan prawny przetrwał w zasadzie do dziś, jako że potwierdzony został w (obowiązującym nadal) Konkordacie z 1933 r. oraz w konkordatach zawieranych przez rządy niektórych krajów związkowych, a uchwalona w 1949 r. Konstytucja Federalna przejęła w swym art. 140 wszystkie właściwie postanowienia art. 137 Konstytucji Weimarskiej i to w brzmieniu dosłownym.

Podstawą obliczania podatku kościelnego w obecnej jego postaci jest na ogół podatek dochodowy (najczęściej od wynagrodzeń). Teoretycznie możliwe jest wiązanie go także z innymi podatkami (np. gruntowym), w praktyce jednak dzieje się tak stosunkowo rzadko i dochody uzyskiwane w ten sposób stanowią jedynie znikomą część ogółu wpływów. Jego

wysokość wynosi w zależności od przepisów wydawanych przez władze poszczególnych krajów związkowych oraz decyzji stosownych instancji kościelnych 8-9% podatku dochodowego (płaconego w skali rocznej). Ponieważ w przypadku bardzo wysokich dochodów (i związanej z tym progresji podatkowej) mogłyby to być kwoty w liczbach bezwzględnych stosunkowo wysokie, stosuje się zasadę tzw. „cięcia” (*Kappung*), tzn. ustalenia górnej granicy podatku kościelnego (najczęściej na poziomie ok. 3-4% ogólnej sumy dochodów podlegających opodatkowaniu), niezależnej już od płaconego podatku dochodowego. Regulacja ta nie znana jest w Bawarii i w Meklemburgii, gdzie indziej natomiast często praktykuje się ją indywidualnie na wniosek zainteresowanego. Kwoty płacone z tytułu podatku kościelnego mogą być w całości odpisywane od podstawy opodatkowania.

Jak wysokie są w liczbach bezwzględnych wynikające stąd obciążenia finansowe wiernych? Różnice są tu oczywiście spore, tak jak ogromne są w każdym społeczeństwie różnice w zamożności i dochodach. Przykładowo: pracownik zarabiający miesięcznie 5.000 DM brutto, mający na utrzymaniu żonę i dziecko, płacił w 1994 r. 49,70 DM miesięcznie. Dość znaczne ulgi przysługują od kilkunastu lat osobom wychowującym dzieci: od będącej podstawą obliczeń kwoty podatku dochodowego odpisuje się 150 lub – w przypadku wspólnego opodatkowania się małżonków – 300 DM na każde dziecko. W efekcie podatnik o tych samych co w powyższym przykładzie dochodach, ale posiadający troje dzieci, musiałby zapłacić 31,24 DM. Sumy te rosną wraz z osiąganymi dochodami: małżeństwo zarabiające 10.000 DM brutto i wychowujące troje dzieci płaciło w tym samym roku ok. 150 DM miesięcznie. Zdarzają się – rzadkie – przypadki, kiedy zapłacić trzeba w skali rocznej nawet kilkadziesiąt tysięcy DM (przy dochodach ok. 2 mln DM). W sondażu przeprowadzonym w 1992 roku przez Instytut Badania Opinii Publicznej Emnid w Bielefeld, 42% respondentów określiło podatek kościelny jako „o wiele za wysoki”, 31% jako „nieco za wysoki”, a tylko 27% uznało go za „odpowiedni”. Liczne są też głosy, domagające się czasowego przynajmniej obniżenia jego stawki w związku z dodatkowymi obciążeniami podatkowymi, nałożonymi na obywateli po zjednoczeniu Niemiec.

Uzyskiwane w ten sposób środki zasilają na ogół konto Kościoła krajowego bądź, w przypadku Kościoła katolickiego, diecezji. Dokonała się tu zresztą pewna dość istotna ewolucja. Początkowo bowiem podatek płacony przez wiernych wpływał bezpośrednio do kasy ich gminy bądź parafii. Obecnie przeważa system centralnej dystrybucji uzyskiwanych w ten sposób środków, co pozwala wyrównywać dysproporcje w liczebności, a więc i zamożności poszczególnych terytorialnych jednostek danego Kościoła, choć, na co wskazują krytycy takiego systemu, rozluźnia bezpośredni związek pomiędzy finansowymi świadczeniami wiernych i ich wykorzystaniem w ramach społeczności lokalnej. Poszczególne gminy mają jednak możliwość pobierania dodatkowo opłat o innym nieco charakterze (i na ogół dość niewygórowanych), zwanych w odróżnieniu od podatku kościelnego (*Kirchensteuer*) „opłatami kościelnymi” (*Kirchgeld*).

Podatek kościelny jest w Niemczech – i to stanowi jedną z najbardziej charakterystycznych jego cech – pobierany przez państwowy aparat fiskalny. Oczywiście Kościoły mają prawo organizowania w tym celu własnych służb finansowych, w praktyce jednak korzystają z niego wyłącznie w Bawarii (o przyczynach tego stanu rzeczy mowa będzie niżej). Najczęściej należne kwoty obliczane są już przez pracodawcę podatnika i odprowadzane wraz z innymi podatkami do urzędów finansowych, które z kolei przelewają je na odpowiednie konta kościelne. Traktowane jest to jako forma usługi, za którą państwowy aparat fiskalny pobiera opłatę (3-4% przekazywanej kwoty). Rozwiązanie takie jest dla Kościołów bardzo korzystne – nie tylko pozwala im uniknąć niewdzięcznej roli bezpośredniego poborcy podatkowego (i zawsze w tej sytuacji możliwych, gorszących sporów z opieszalymi płatnikami), ale i oszczędza sporych wydatków, szacuje się bowiem, że własny system ściągania należności podatkowych pochłaniałby ok. 20% całej uzyskiwanej w ten sposób kwoty.

Obliczanie wysokości podatku odbywa się na podstawie karty podatkowej, będącej w dyspozycji pracodawcy i urzędu finansowego. Pociąga to za sobą konieczność ujawnienia przez podatnika w stosownych dokumentach jego przynależności wyznaniowej. Kwestia ta może budzić niejakie kontrowersje. Artykuł 140 Konstytucji RFN (art. 136 Konstytucji Weimar-

skiej) stwierdza bowiem, iż „nikt nie jest zobowiązany do ujawniania swych przekonań religijnych”. Już w następnym zdaniu wszakże wyraźnie ogranicza się zakres tej gwarancji: „Władze mają prawo do stawiania pytań na tematy przynależności do stowarzyszeń religijnych o tyle tylko, o ile wynikają stąd określone prawa i obowiązki, bądź wymagają tego zarządzone na mocy ustawy badania statystyczne”. Wprawdzie w orzeczeniu z 12 lipca 1968 r. Federalny Trybunał Finansowy stwierdził, że ujawnianie wyznania w dokumentach podatkowych nie narusza konstytucyjnego prawa obywateli do zachowania milczenia w kwestiach światopoglądowych, jednak orzeczenie to nie usuwa, rzecz prosta, wszystkich wątpliwości.

Obowiązek płacenia podatku kościelnego spoczywa na wszystkich, uzyskujących podlegające opodatkowaniu dochody, zarejestrowanych członkach wspólnot wyznaniowych, które posiadają prawo do pobierania podatków, a więc Kościołów ewangelickiego, katolickiego i starokatolickiego oraz gmin żydowskich. Obowiązek ten ustaje jednak z chwilą formalnego wystąpienia z Kościoła (czy gminy). Wewnętrzne ustawodawstwo kościelne, wychodzące z założenia charakteru *indelibilis* chrztu, nie zna na ogół pojęcia „wystąpienia” ze wspólnoty wiernych. Szczególnie rygorystyczne jest tu katolickie prawo kanoniczne, Kościoły protestanckie, acz niechętnie, możliwość taką dopuszczają, pozostawiając tu wszakże wszystkie szczegóły proceduralne ustawodawstwu państwowemu (wyjątkiem jest kościół krajowy Bremy, który jeszcze w 1922 r. wypracował własną procedurę w tym zakresie). Pierwsza ustawa przewidująca opuszczenie szeregów Kościoła w ogóle (a nie tylko zmianę wyznania) przyjęta została w Prusach w 1873 r. Obecnie w poszczególnych krajach związkowych obowiązują w tym zakresie różne przepisy. Rozmaicie określana jest w nich instancja uprawniona do przyjmowania stosownych deklaracji. W Bremie np. są to władze Kościoła, w innych krajach władze administracyjne, sąd administracyjny, bądź urząd stanu cywilnego. Godny uwagi jest przy tym fakt, że prawo do samodzielnego wystąpienia z Kościoła przysługuje już młodzieży mającej ukończone 14 lat, zaś dzieci powyżej lat 12, których rodzice podjęli taką decyzję, mogą nawet wbrew ich woli pozostać jego członkami.

Oparty na tak skonstruowanym podatku system finansowania Kościołów jest, przynajmniej z ekonomicznego punktu widzenia, systemem niezmiernie efektywnym. W 1992 r. uzyskane w ten sposób dochody Kościoła katolickiego wyniosły prawie 8,4 mld DM netto (prawie dokładnie tyle samo wyniosły wpływy Kościoła ewangelickiego). Nie wolno przy tym zapominać, że podatek płaci *de facto* zaledwie ok. 35% wiernych – odliczyć bowiem trzeba dzieci, uczniów, studentów, emerytów, bezrobotnych i niepracujących. Nic też dziwnego, że Kościoły niemieckie uważane są powszechnie (same zresztą również temu nie przeczą) za najbogatsze Kościoły Europy.

Mimo to – a może, paradoksalnie, właśnie dlatego – instytucja podatku kościelnego jest od dziesięcioleci już przedmiotem bardzo ostrych sporów, toczących się zresztą głównie wewnątrz samych Kościołów. Wspomniana wyżej ankieta Emnid wykazała, że 64% protestantów i 53% katolików opowiada się raczej za dobrowolnymi ofiarami (jeszcze w 1980 roku dotychczasowy system aprobowало 52% Niemców). Zwraca się przy tym w pierwszym rzędzie uwagę na fakt, że ściąganie podatków zostaje w całkowitej sprzeczności z istotą misji i rolą Kościoła jako instytucji religijnej. Często podnosi się również argument, że decyzje o wydatkowaniu środków płynących do kas kościelnych zapadają w praktyce bez udziału podatników. Wprawdzie w Kościele katolickim na przykład przy każdej diecezji istnieje tzw. Kościelna Rada Podatkowa, wybierana w znacznej części w teoretycznie przynajmniej wolnych wyborach i podejmująca uchwały dotyczące wysokości podatków oraz sposobu ich wykorzystania, jednak ostateczne decyzje związane z budżetem diecezjalnym wydaje jednoosobowo ordynariusz, co sprowadza Rady do roli organu doradczego czy opiniodawczego, choć jak twierdzą obrońcy *status quo*, w praktyce nie zdarza się, by ordynariusze wydawali decyzje sprzeczne ze stanowiskiem Rad. Dodatkowym organem kontrolnym mają być przy tym istniejące przy parafiach zarządy, które na mocy ustawy „O administrowaniu katolickim majątkiem kościelnym” z 24 lipca 1924 r. wspólnie z proboszczem, który jest wprawdzie z urzędu ich przewodniczącym, ale sam posiada tylko jeden głos, podejmują najważniejsze decyzje finansowe. Ustawa daje

zatem wiernym znacznie większe w tej kwestii uprawnienia niż prawo kanoniczne, przewidujące tu istnienie organów o charakterze wyłącznie doradczym. Faktyczne kompetencje decyzyjne owych zarządów również budzą jednak czasem wątpliwości. Stąd coraz częściej zgłaszany postulat, by dać wiernym płacącym podatek prawo decydowania o konkretnym przeznaczeniu przynajmniej jego części. Istniejące przepisy możliwości takiej nie przewidują.

Przedmiotem dyskusji są także ekonomiczne wady podatku kościelnego. Jego ścisły związek z podatkiem dochodowym czyni gospodarkę finansową Kościołów wrażliwą na wszelkie wahania koniunktury: rozpędzone w okresach *prosperity* inwestycje i ustalone na wysokim poziomie wydatki stałe (związane np. z bardzo wysokim w Kościołach niemieckich zatrudnieniem pracowników świeckich) mogą powodować poważne zaburzenia w czasach dekoniunktury. Sytuacja taka daje się tu i ówdzie obserwować obecnie: mimo stosunkowo dość wysokich dochodów, Kościołowi ewangelickiemu w Nadrenii udało się w ostatnich latach „wygospodarować” deficyt budżetowy wysokości ok. 140 mln DM, który w tym roku osiągnie prawdopodobnie pułap 250 mln DM.

Poważnym argumentem przeciwko podatkowi kościelnemu jest także rosnąca w zastraszającym tempie liczba deklaracji o wystąpieniu z Kościoła. Jeszcze w 1989 roku w Kościele katolickim odnotowano ich tylko 93.010. Dwa lata później było ich już 167.933, a w 1992 roku 192.766. (W tym samym czasie z Kościoła ewangelickiego wystąpiło odpowiednio 320.635 i 361.151 osób). W tymże samym 1992 roku 12% protestantów i 8% katolików w Niemczech Zachodnich uznało swoje wystąpienie z Kościoła za „prawdopodobne”, a odpowiednio 4% i 3% za „pewne”. Dla porównania: w latach 60-tych liczba wystąpień wahała się między 20.000 i 30.000 rocznie, a w 70-tych nie przekraczała na ogół 50.000. Spora część odnotowywanych w ostatnich latach przypadków rezygnacji z formalnej przynależności do Kościołów dotyczy obszaru dawnej NRD, gdzie w 1990 roku również wprowadzono podatek kościelny, zresztą wbrew stanowisku wielu duchownych. Podobnie gwałtowny wzrost liczby deklaracji o opuszczeniu Kościoła obserwowano w poszczególnych ewangelickich kościołach krajowych w latach 50-tych. Wykazywał

on zaskakującą zgodność z wprowadzanymi w kolejnych krajach związkowych nowymi regulacjami podatkowymi. Częstym zjawiskiem było przy tym występowanie z Kościoła tylko dobrze zarabiających ojców rodzin, podczas gdy ich niepracujące żony oraz dzieci pozostawały jego członkami.

Należy się wszakże wystrzegać nazbyt pochopnych wniosków. Konieczność płacenia podatku, od którego łatwo się wszak uwolnić, jest z pewnością istotnym, choć zapewne nie jedynym, ani nawet być może nie najważniejszym powodem tych decyzji. Wierni, dla których przynależność do Kościoła nie jest już warta sumy, będącej czasem równoważnikiem ceny kilku paczek papierosów miesięcznie, to ludzie nie tyle przesadnie oszczędni, ile już raczej faktycznie indyferentni religijnie, bądź nie identyfikujący się ze swym Kościołem i jego działaniami. Brak takiej prostej zależności między podatkiem kościelnym a wystąpieniami z Kościoła potwierdza fakt, że ich rosnącej liczby nie zdołali zatrzymać pewne ulgi przyznane przed kilkunastu laty rodzinom wychowującym dzieci, oraz że nasilającemu się zjawisku formalnego odchodzenia od Kościoła towarzyszy równie lawinowy spadek uczestnictwa w nabożeństwach niedzielnych (uczęszcza na nie regularnie zaledwie 10% Niemców, a przynajmniej raz w miesiącu czyni to 12%). Coraz powszechniejsza jest przy tym odmowa akceptacji większości kościelnych dogmatów. Wydaje się, że masowe opuszczanie wielkich społeczności eklezjalnych jest z jednej strony odbiciem znacznie głębszego – przede wszystkim doktrynalnego – kryzysu chrześcijaństwa i narastającego religijnego zobojętnienia, z drugiej swoistym znakiem czasów, w których następuje wyraźny zwrot w kierunku religijności bardziej zindywidualizowanej, kultywowanej w niewielkich wspólnotach.

Jednak również zwolennicy dotychczasowej formuły podatku kościelnego posiadają na jej obronę niebłahe argumenty, a sondaż przeprowadzony w 1990 roku wśród deputowanych do Bundestagu przez Komitet na Rzecz Praw Chrześcijan w Kościele wykazał, że większość z nich sceptycznie czy wręcz niechętnie odnosi się do projektów radykalnej zmiany obecnego systemu. Zastąpienie go jakąś formą dobrowolnych ofiar spowodowałoby najprawdopodobniej całkowite

sparaliżowanie, przynajmniej na jakiś czas, działalności Kościołów na bardzo wielu obszarach. Podatek kościelny stanowi bowiem co najmniej 80% wszystkich ich dochodów, a prowadzą one dość rozległą działalność charytatywną i społeczną. Wprawdzie wiele tego typu instytucji i akcji subwencjonowanych jest przez władze krajowe i komunalne¹, jednak gwałtowne załamanie się finansów kościelnych mogłoby spowodować poważne następstwa. Kościoły są przy tym pracodawcami ok. miliona świeckich. Nagłe zwolnienie większości z nich musiałoby zaowocować sporymi zaburzeniami także na rynku pracy i w systemie świadczeń społecznych. Bardzo trudna stałaby się także sytuacja Kościołów na terenie byłej NRD: centralnie kierowana redystrybucja środków finansowych pozwala bowiem wspomagać tamtejsze struktury kościelne, które bez tej pomocy nie byłyby w stanie utrzymać się z ofiar stosunkowo nielicznych wiernych. Ich przetrwanie pod rządami komunistycznymi przypisać zresztą trzeba w dużej mierze wsparciu ze strony Kościołów zachodnioniemieckich, które możliwe było właśnie dzięki posiadanym przez nie sporym zasobom gotówki. Wskazuje się ponadto, że zniesienie podatku kościelnego zmusiłoby Kościoły do wprowadzenia opłat za urzędowe czynności duchownych, jak chrzty, śluby, pogrzeby – opłat kłopotliwych niewątpliwie zarówno dla samych kapłanów jak i dla wiernych, a formuła dobrowolnych ofiar mogłaby sprzyjać uzależnieniu gmin od nielicznych, najbogatszych ich mieszkańców. Nie wytrzymuje też w gruncie rzeczy krytyki zarzut

1. Szkoły kościelne traktowane są jak prywatne i w 95% utrzymywane z funduszy państwowych. W przypadku przedszkoli udział władz komunalnych w kosztach ich działalności wynosi ok. 33% – resztę pokrywają rodzice i Kościół. Szpitale prowadzone przez Kościoły utrzymywane są zaś w 90% z funduszy wypłacanych przez Kasy Chorych. Subwencje te – wynikające niejako z konstytucyjnych obowiązków państwa socjalnego, należy odróżnić od dotacji poszczególnych rządów krajowych. Dotacje przeznaczone są np. na dopłaty do uposażeń duchownych, utrzymanie uczelni i fakultetów teologicznych, konserwacje zabytków itd. Wynikają one z zobowiązań odszkodowawczych pochodzących jeszcze z czasów przed uchwaleniem Konstytucji Weimarskiej. Ta z kolei nałożyła na władze centralne obowiązek ujednolicenia i sprecyzowania ich podstaw prawnych i szczegółów wykonawczych. Żadne tego rodzaju regulacje nigdy nie zostały jednak wydane, dlatego owe dotacje mają w pewnej mierze charakter zwyczajowy.

„przymusowości” podatku kościelnego, jako że przynależność do Kościoła jest wszak całkowicie dobrowolna, a wystąpienie z niego nie nastęrcza większych kłopotów. Chętnie podkreśla się także fakt, że podobnie skonstruowany podatek kościelny, choć wprowadzony stosunkowo niedawno, bo w latach 60-tych i 70-tych, całkiem nieźle przyjął się w kilku kantonach Szwajcarii, a postulat jego zniesienia został oddalony przez referendum w 1980 roku, i to dość dużą większością głosów (79%).

Nasuwa się tu pytanie, czy opisane wyżej rozwiązanie przyjęte w Kościołach niemieckich dałoby się zastosować także w Polsce. Wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu, instytucja powszechnego podatku płaconego przez wiernych nie jest Kościołowi polskiemu całkowicie nieznana. Pobierano go mianowicie (nierzadko z pomocą administracji państwowej) w parafiach leżących na terenie dawnego zaboru pruskiego długo jeszcze po odzyskaniu w 1918 roku niepodległości. Próbę ujednolicenia świadczeń wiernych na rzecz Kościoła podjęto w 1932 roku, uchwalając (po długoletnich pertraktacjach z przedstawicielami episkopatu) „Ustawę o składkach na rzecz Kościoła Katolickiego”. Wprawdzie wiązała ona wysokość obowiązkowo płaconej przez katolików należności z podatkiem dochodowym lub innymi podatkami państwowymi – składka tzw. „zwyczajna” miała wynosić 5% sumy przyjętego za podstawę jej obliczania podatku – jednak zawierała liczne inne postanowienia znacznie różniące ją od formuły klasycznego podatku: składki nakładane miały być przez zgromadzenia parafialne i przez nie też ściągane, były też ograniczone w czasie do 5 lat. Udział administracji państwowej w ich pobieraniu ograniczać się miał jedynie do przymusowego egzekwowania należności nie uiszczonych w wyznaczonym terminie. Ustawa ta nigdy zresztą nie weszła w życie, albowiem od września 1939 roku nie zdołano wydać do niej stosownych przepisów wykonawczych.

Ustanowienie dziś w Polsce czegoś na kształt podatku kościelnego polepszyłoby bez wątpienia dodatkowo kondycję ekonomiczną Kościoła – i bez tego chyba nie najgorszą. Finanse kościelne stałyby się może nieco bardziej przejrzyste, nie jest jednak wcale pewne, czy sami wierni zyskaliby na ich wydatkowanie wpływ większy niż dotychczas. Otwarte

pozostaje także pytanie, czy podatek wyeliminowałby, a przynajmniej ograniczył, dotychczasowe opłaty „zwyczajowe”, zwyczajów i nawyków nie unicestwia się jednym pociągnięciem pióra. Koszty społeczne takiej reformy byłyby przy tym niemałe. System tego rodzaju nie może w praktyce funkcjonować bez współudziału administracji państwowej. Potwierdza to przykład byłej NRD: wprowadzie art. 43 Konstytucji z 1949 roku zachowywał tam w dalszym ciągu tradycyjne prawo Kościołów niemieckich do pobierania podatku, zarazem jednak zwalniał władze państwowe z jakiegokolwiek udziału w jego ściąganiu (Kościołom nie udostępniano list podatkowych), a wydany w 1956 roku okólnik Ministerstwa Sprawiedliwości wykluczał jakąkolwiek prawną pomoc administracji w egzekucji nie uiszczonych płatności; zabiegi te przekształciły podatek kościelny w formę całkowicie dobrowolnej i uznaniowej ofiary. Wprzęgnięcie państwowego aparatu fiskalnego w ściąganie należności na rzecz Kościoła (o prawnych kontrowersjach wokół tego zjawiska była już wyżej mowa) byłoby w warunkach polskich, zwłaszcza w sytuacji, gdy formuła rozdziału Kościoła od państwa wciąż budzi wiele niezdrowych emocji, bardzo niedobrym precedensem i krokiem w niewłaściwym chyba kierunku². Co więcej, konieczność deklarowania przynależności wyznaniowej mogłaby się stać – także na szczeblu lokalnym – źródłem wielu drobnych, a przecież bolesnych i niepotrzebnych konfliktów: zapewne dla zdecydowanej większości obywateli polskich deklaracja tego typu nie stanowiłaby poważnego problemu, tym poważniejszym jednak mogłaby być dla nielicznych mniejszości i osób niewierzących. Obligatoryjny charakter składki koniecznym uczyniłby, rzecz prosta, prawne uregulowania statusu wyznaniowego i formalnej przynależności do Kościoła, bądź sposobu wystąpienia zeń (o czym nota bene w ustawie z 1932 roku w ogóle nie było mowy). Łatwo sobie wyobrazić, że tak

2. obrońcy dotychczasowej formuły podatku kościelnego w Niemczech odpierają, nie bez pewnej racji, zarzut angażowania się instytucji państwa w ściąganie podatku kościelnego argumentem, że trudno mówić o władzach państwowych jako *brachium saeculare* Kościoła w sytuacji, gdy z systemu tego korzystają na równych prawach bardzo różne i niejako konkurencyjne wobec siebie wspólnoty wyznaniowe. Trudno jednak porównywać Polskę z faktycznie wielowyznaniową Republiką Federalną.

samo tego rodzaju procedura – absolutnie w tych warunkach, podkreślam raz jeszcze, *niezbędna* – jak i jej szczegóły, stałyby się przedmiotem bardzo gwałtownych polemik i przetargów między władzami państwowymi a Kościołem, który nie-dobrze znosi wszelkie regulacje ustawowe, sprzeczne z prawem kanonicznym.

Być może rozważania powyższe mogą sprawić wrażenie czysto teoretycznych, by nie rzec – abstrakcyjnych, niewiele jest bowiem oznak, by polscy biskupi dążyli do wprowadzenia systemu, opartego na opisanym tu modelu. Wprowadzie w art. 22 ust. 2 Konkordatu mówi się o stworzeniu przez układające się strony specjalnej komisji, która zajęłaby się „koniecznymi zmianami” w „sprawach finansowych instytucji i dóbr kościelnych oraz duchowieństwa”, zarazem jednak podkreśla się, iż „nowa regulacja uwzględni (...) dotychczasową praktykę życia kościelnego w Polsce”, która to praktyka, jak wiadomo, dość odległa jest od modelu obowiązkowych świadczeń. Z drugiej strony nie sposób nie odnotować dość znamiennej wypowiedzi bpa Pieronka, który ustosunkowując się do sugestii premiera Oleksego o możliwości wprowadzenia podatku kościelnego, stwierdził: „Jeśli premier mówiąc o podatkach ma na myśli system finansowania Kościoła, to niewątpliwie jest to problem, który stoi przed nami i może być rozwiązany w ramach Konkordatu. Kościół nie uchyla się od tego, żeby całość spraw finansowych przedyskutować z rządem, przyjąć jakieś nowe formy finansowania Kościoła. Trzeba je przemyśleć, przecież nie mamy gotowych wzorców”³. Pamiętać jednak trzeba, że instytucja podatku kościelnego miałaby, widziana przez pryzmat doświadczeń polskiej hierarchii, jeszcze jeden bardzo istotny mankament. Udział administracji w pobieraniu podatku uzależnia, a przynajmniej może poważnie uzależniać Kościół od państwa i jego aktualnych władz. We współczesnych Niemczech jest to właściwie problem nieznan: sami biskupi lojalnie stwierdzają, że aparat państwowy nigdy nie próbował nawet wykorzystywać swego uczestnictwa w ściąganiu podatku kościelnego jako argumentu przetargowego w polemikach z Kościołem, a deklaracja

3. W wywiadzie dla Katolickiej Agencji Informacyjnej, cyt. za: GW z 4.01.1996.

Synodu Würzburskiego z 1973 roku stwierdza wprost, że istniejący system „w istotny sposób przyczynia się do zachowania wolności i niezależności Kościoła”. W przeszłości jednak bywało różnie. W 1939 roku na przykład, zdjęto z władz administracyjnych obowiązek uczestnictwa w pobieraniu podatku, zachowując jedynie taką możliwość. Skorzystał z tego rząd Bawarii, odmawiając dalszej współpracy w tym zakresie i zmuszając tamtejsze Kościoły do zorganizowania własnego aparatu fiskalnego. Można się zastanawiać, choć dowieść tego niepodobna, czy bierna w gruncie rzeczy, a chwilami wręcz życzliwa postawa Kościołów niemieckich wobec hitleryzmu nie była przynajmniej w pewnym stopniu spowodowana poczuciem uzależnienia od państwa w tej bardzo istotnej bądź co bądź kwestii. Władze III Rzeszy, jeśli pominąć ów incydent bawarski oraz akt, że na pobieranie podatku kościelnego nie zezwolono na terenach okupowanych, dość skrupulatnie wywiązywały się ze swoich w tym zakresie zobowiązań: w latach 1935-1939 wpływy z podatków kościelnych uległy podwojeniu, nie zaniechano też wypłacania sporych dotacji państwowych, przeznaczonych na uposażenia duchownych, utrzymanie fakultetów teologicznych itd. Wprawdzie za zupełnie nieprawdopodobne uznać trzeba, by jakikolwiek rząd polski zaryzykował w dającej się przewidzieć przyszłości otwarty konflikt z Kościołem, jednak doświadczenia ostatniego półwiecza będą zapewne skłaniać biskupów do daleko idącej w tej materii ostrożności.

W krytycznych analizach podatku kościelnego często wskazuje się na wyższość włoskiego (i podobnego doń hiszpańskiego) modelu finansowania Kościoła, modelu pozbawionego większości wad systemu niemieckiego, a zachowującego wiele jego walorów. Każdy obywatel włoski zobowiązany jest do płacenia „podatku socjalnego” w wysokości 0,8% podatku dochodowego w skali rocznej (w Hiszpanii do 0,5%), ma przy tym zarazem prawo zdecydować, czy życzy sobie, by pieniądze te przeznaczyć na Kościół katolicki, czy też na inny cel ogólnospołeczny, realizowany przez państwo. Zalety tego systemu są oczywiste: państwu nie sposób już uczynić zarzutu, iż przyjmuje rolę *brachium saeculare* Kościoła, gdyż pośredniczy w ten sposób nie tylko między obywatelem a Kościołem – ten sam podatek wpływać może

bowiem również na konta instytucji świeckich; obywatel zwolniony jest z przymusu deklarowania swej przynależności wyznaniowej, albowiem trudno za taką deklarację uważać określenie przeznaczenia płaconej kwoty – można sobie doskonale wyobrazić, że nawet osoba indyferentna religijnie, z szacunkiem odnosząca się do działalności charytatywnej Kościoła, właśnie na jego potrzeby przeznaczy swoje pieniądze w przekonaniu, że organizacje kościelne wykorzystają je lepiej niż zbiurokratyzowany aparat państwa, i odwrotnie, możliwe jest wszak, że katolik nie identyfikujący się z polityką swojego Kościoła uzna, iż lepiej się stanie, jeśli płacony przez niego podatek trafi w inne ręce; ponieważ „podatek socjalny” trzeba płacić bez względu na przynależność do Kościoła, odpada więc także niebezpieczeństwo, że konieczność przeznaczenia części swoich dochodów na jego rzecz skłaniać będzie wiernych do występowania zeń. Zwłaszcza ten ostatni argument sprawia, że również niektórzy hierarchowie Kościoła niemieckiego z niejaką sympatią odnoszą się do tego rodzaju rozwiązań, które np. berliński kardynał Sterzinsky określił jako „zasługujące na przedyskutowanie”. Gdyby więc i w Polsce uznano, że warto zreformować i unowocześnić system finansowania Kościoła przez społeczeństwo, lepiej byłoby może jako wzorzec rozważać raczej model włoski niż niemiecki, który przeniesiony nad Wisłę stałby się zapewne zarzewiem nowych napięć i konfliktów. A tych tu, jak wiadomo i bez podatku kościelnego nie brakuje.

Tadeusz ZATORSKI

Autor wyraża serdeczne podziękowanie Urzędowi Prasy i Informacji Rządu Federalnego w Bonn, p. dr. Jensowi Petersenowi z Sekretariatu Kościoła Ewangelickiego w Niemczech oraz p. dr. Janowi Wiszniewskiemu z Instytutu Nauk Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego za pomoc w gromadzeniu materiałów.

Sołowki – kwiecień

Wikuszy

1.

Za plecami czwarta zima na Sołowkach. Taję śnieg, lód poczerniał, z dachów kapie. Słońce liże wyspę, pomojkę obnaża, zeszlóroczny brud. Drogi rozmiękły, i ciekną. W lesie pachnie banią, brzozy pączki puszczają, na nalewkę. W monastyrze dzwonią na Paschę, a muzyki oczom nie wierzą, że do wiosny dożyli. Rok na Północy liczą za dwa lata, zimę – za całą wieczność. Albowiem zima na Sołowkach przypomina niebyt: przyroda zapada w sen, człowiek w siebie, a na obrzeżach polarnej nocy, jak na skrawkach jawy, buszują blade powidoki. Niczym w teatrze cieni, księżyc wyświetla alkoholiczne androny. Potem przychodzi wiosna i trudno się doliczyć: ten zapił na śmierć, ów po pijaku zamarzał, inny na trefnym samogonie się przejechał... Z wiosną na Sołowki aeroplany przyleciały, najpierw jeden, jakby na zwiady, a potem rejsy wznowili. Pierwszym lotem ginekolog przybył. Baby patroszyć, jak tu się mówi, czyli skrobanki robić. Półtora tuzina, za tę zimę. Dzięki aeroplanom i poczta wznowiła działalność. Zatem piszę do *Kultury*.

2.

Czytelnicy pytają, dlaczego Sołowki wybrałem? Co sprawiło, że usiadłem na Wyspach Sołowieckich, jak na wieży obserwacyjnej, i patrzę stąd na Rosję, na świat? Cóż, spróbuję odpowiedzieć, choć jednym listem trudno rzecz wyczerpać, co najwyżej można zrobić jej abrys, jak dawniej pisano. Bo

Sołowki przypominają drogocenny kamień: jakbyś nań długo nie patrzył, wciąż się mieni, zmienia, łamie światło, szlifem gra. Wystarczy, że nieco obrócisz fabułę, akcenty zmienisz, wątki poprzestawiasz, a cała rzecz od razu innych znaczeń nabiera, po drugiemu lśni. Nie sposób zatem wyłuszczać racje, nitki wyciągać z osnowy, każdą oddzielnie analizować, w gębę obracać, a tylko razem, jedną przez drugą, trzeba oglądać. Inaczej mówiąc, należy odejść od linearnych praw języka i stanąwszy w pewnej odległości, na całość spojrzeć. A potem się przesuwac, samemu, krok po kroku, i zmieniać kąty patrzenia.

3.

Pięć lat temu przyjechałem do Moskwy, jako korespondent jednej z polskich gazet. W tym czasie narody, zamieszkujące obszary Sowieckiego Imperium, opowiedziały się, w marcowym referendum, za Sojuzem. Pół roku później Sojuz przestał istnieć. Nastąpił zmierzch Sowietów. Postanowiłem zostać, chciałem zobaczyć, co z tego wychynie. I sporo nowych rzeczy ujrzałem, czasem niezrozumiałych, czasem irytujących, ale najbardziej rozdrażniał mnie Tiutczew, którym zbywali moje pytania rosyjscy znajomi:

Umom Rossiju nie poniat'

Arszinom obszczim nie izmierit':

U niej osobiennaja stat'-

W Rossiju można tolko wierit'.

Czułem w tym czterowierszu butę, charakterystyczną dla większości wierzących, którzy patrzą z pobłażaniem, z wyżyn swojej wspólnoty, na poszukiwania (i wątpliwości) pojedynczego osobnika. Ów czterowiersz jak koan we mnie zapadł, i jątrzył. Aż znalazłem! Ostatniemu słowu Tiutczewa – „wierzyć”, przeciwstawiłem własne – „przeżyć”. Zatem Rosji należało samemu doświadczyć.

4.

Wedle Rozanowa od wieków istniały dwie Rosje: Rosja widocznych pozorów (w oryg.: *widimost'* – to widzialność i pozór, zarazem!), czyli Imperium, którego kształt został odcis-

nięty w formach zewnętrznych, a historię zapisały wydarzenia, posiadające określony początek i wyraźne zakończenie; oraz Święta Ruś, czyli Matuszka, o prawach niepojętych, formach niejasnych, tendencjach nieokreślonych, Ruś żywej krwi i wiary nieskalanej. O pierwszej można u Karamzina poczytać, pisze autor „Opadłych liści”, o drugiej – w skitach staroobrzędowych usłyszeć. Innymi słowy, o Imperium mówi się głośno w Moskwie, lub w Petersburgu, natomiast o Matuszce tylko w głubince szepcą. Cudzoziemców rzadko w Rosji samopas puszczały, po głubinkach brodzić. Stąd w relacjach podróżników, w doniesieniach korespondentów i agentów, dominował obraz Imperium: Rosja widocznych pozorów, mówiąc słowami Rozanowa. O Matuszce mało który miał pojęcie. Ów stan rzeczy, moim zdaniem, przetrwał do dziś.

Bo i dzisiaj obie Rosje istnieją: i Imperium, na drżących nogach, i Matuszka, walająca się w rowie. Pierwszej próbowałem na konferencjach prasowych i na kaukaskich wojnach, w dyplomatycznych salonach i na moskiewskich puczach, u „nowych ruskich” na przyjęciach i u starych stalinistów na daczach, na festiwalach, prezentacjach i sekretnych konwentykach; drugiej – na wiejskich hulankach i na syberyjskich bezdrożach, w archangielskich błotach i w uralskich zonach, u byłych zeka za stołem i u monachów prawosławnych w refektarzu, na weselach, stypach i tajnych obrzędach pokutnych. Żyłem w czumach u koczowników na Jamale, w rybackich izbach nad Białym morzem, u pasterzy w górach Sajańskich, u myśliwych nad Jenisiejem, u profesora historii w Groznm, u abchaskiego ministra w Suchumi, u ojca mafii w Rostowie nad Donem... Kupiłem dom kołchoźniany nie opodal żon kargopolskich, gdzie onegdaj siedział Herling-Grudziński, i wziąłem udział w *show*, zorganizowanym przez Konstantina Borowoja na otwarcie strefy wolnocłowej w Kaliningradzie. Paliłem marihuanę z muzykami rockowymi z Leningradu i piłem wódkę z bohaterami kołymskich opowiadań Warłama Szalamowa. Widziałem pijanych ekspertów na ekshumacji zwłok polskich oficerów w Charkowie i słyszałem ruskie czastuszki w wykonaniu pijanych oficerów radzieckich w konsulacie Rzeczypospolitej w Sankt-Petersburgu na bankiecie z okazji rocznicy Konstytucji 3 Maja. Spotykałem się ze zbiegłym prezydentem Gruzji, Zwiadem

Gamsahurdia i ze zbuntowanym generałem Dżoharem Dudajewem, prezydentem wojowniczej Iczkerii – dzisiaj już obaj nie żyją. Rozmawiałem z czeczeńskim komandirem polowym, Szamilem Basajewem i z jego bojowcami, wśród których wielu było „worami w zakonie”. Biesiadowałem z merem Pitera, Anatolijem Sobczakiem, z Metropolitą Sankt-Petersburskim i Ładożskim, Jego Świątobliwością Joannem, oraz z peterskimi „bomżami”, czyli ludźmi bez stałego miejsca zamieszkania. Przegadałem wreszcie niejedno życie z pielgrzymami po drodze, z „biczmi” w lesie, z żulią w kabakach, z muzykami na toniach rybackich, a także z wnukami Pasternaka, Florenskiego, Szpieta...

Z obu Rosji czerpałem jak z wiadra. Niestety, obraz nie chciał się złożyć. Może wątków było zbyt wiele, może obszar penetracji za szeroki? Im więcej poznawałem, tym bardziej wątpiłem, że całość uchwycę; za kolejnym zakrętem nowa perspektywa się otwierała, z następnym rozmówcą – inny punkt spojrzenia. Wreszcie do mnie dotarło, co znaczy „Eurazja”, lub „jedna szósta świata” – w praktyce włóczęgi. Tak, tak – włóczęgi, albowiem rzecz się tyczy doświadczenia Rosji, czyli rekapitulacji drogi, a nie kolekcji turystycznych wrażeń. I tak trafiłem na Wyspy Sołowieckie.

5.

Na Sołowkach widać Rosję, jak w kropli wody – morze. Albowiem Wyspy Sołowieckie to esencja i antycypacja Rosji zarazem; to od wieków centrum prawosławia i potężny ośrodek ruskiej państwowości na Północy. Tutaj, w sołowieckim monasterze, w jego celach i jego kazamatach, zapisywano dzieje Rosji całymi stuleciami: na pergaminach latopisów i na kartach historii, zmieniając oblicze kraju i łamiąc charaktery inaczej myślących, przystosowując rośliny do warunków polarnych i ludzi do pracy na uwięzi. Tutaj wypróbowywano nowinki techniczne i wcielano w życie nowe utopie społeczne, tu zbudowano pierwszą elektrownię wodną w Rosji i monumentalną ścianę z kamieni, grubszą od murów moskiewskiego Kremla. Nieprzypadkowo Wasilij Ključzewskij, zanim rozpoczął swoją fundamentalną pracę, „Kurs ruskiej historii”, osnutą na motywie kolonizacji – głównym motorem ruskich dziejów, najpierw obronił dysertację

kandydacką, „Żywoty świętych, jako źródło historyczne”, gdzie pokazał znaczenie sołowieckiego monaszestwa w kolonizacji północno-wschodniej Rusi. To tutaj, w skicie na Anzerze, wykuł się raskoń ruskiej cerkwi prawosławnej, czyli miało początek wydarzenie, o którym Aleksander Sołżenicyn pisze, że było bardziej brzemiennie w skutki dla Rosji, niż rewolucja bolszewicka. Do dzisiaj na Sołowki pielgrzymują staroobrzędowcy, jak muzułmanie do Mekki. Tutaj wreszcie, w monastyrskich lochach, mieściła się najstarsza tjurma polityczna na Rusi, a potem, za władzy komunistycznej, powstał tu SŁON, czyli pierwszy łagier w Sowieckim Sojuzie – poligon GUŁAG-u. Dzisiaj dla wielu Wyspy pozostają więzieniem, albowiem reformy ekonomiczne ostatnich lat sprawiły, że ludzie nie mogą zarobić na bilet, by się stąd wyrwać.

6.

Na Sołowkach obie Rosje nieraz się spotykały, tu Imperium z Matuszką pospołu, bywało, siedziało za jednym stołem, lub w tej samej celi. Tutaj carowie gościli, książęta i moskiewscy bojarowie, dekabryści, rzezańcy i kupcy, tu pisarze przyjeżdżali, malarze i uzurpatorzy, podróżnicy, uczeni i franty, tu wreszcie niosło wszelką czerń, szum i wytloki ludzkie, z najdalszych zakątków „jednej szóstej świata”. O Sołowkach pisali Łomonosow, Maksimow, Niemirowicz-Danczenko, Priszwin, Gorki, Kazakow i Kubłanowski, malował je Wereszczagin, Borisow, Niesterow, Bażenow, Krestowska, Pietrow-Spirydonow i Czornyj. Wielcy tego świata przynosili dary sołowieckiemu monastysi, dla przykładu: Piotr Wielki cerkiew na Zajęczej wyspie ufundował, Aleksander Sołżenicyn dał kupę dolarów na statek do przewozu pielgrzymów, a Borys Griebienszczikow, lider grupy rockowej „Akwarium” podarował ikonę prawosławną, sam zaś przeszedł na buddyzm. Tylko w ubiegłym roku przez Sołowki przewinęli się: Następca Głowy Rosyjskiego Domu Cesarskiego, Jego Cesarska Wysokość Wielki Książę Georgij Michajłowicz ze swoją matką, Głową Domu, Jej Cesarską Wysokością Wielką Księżną Marią Władimirowną, oraz babką, Jej Cesarską Wysokością Wielką Księżną-wdową, Leonidą Georgijewną, minister spraw

zagranicznych Andriej Kozyriew, czterech ambasadorów i dwóch konsuli, dowództwo Północnej Floty i kilku bonzów wojennego biznesu, jeden metropolita, jeden arcybiskup i tuzin popów prawosławnych, parę ekip telewizyjnych, w tym jedna francuska, parę zespołów filmowych, między innymi i polski, i paru liderów rosyjskiej mafii, grupa bluesowa z Kargopola, sekta krysznaitów spod Wołogdy, kilkunastu potomków sołowieckich zeka z „Memoriału”, komuna hipisów z Murmańska, uczestnicy międzynarodowego festiwalu jazzowego w Archangielsku, wspólnota Marii Dziewicy z Kijowa, jeden bankier z Tel-Awivu, jeden fotograf z *Polityki* i jeden ksiądz profesor z KUL-u, oraz tysiące pielgrzymów, oszołomów, neofitów, turystów.

7.

Sołowki są niewielkie, całe w promieniu dnia piechotą, jakby je pomyślano na skalę człowieka, który nie chce używać innych środków lokomocji, oprócz własnych nóg. I ludzi tu żyje w sam raz tyle, by wszystkich można było poznać za parę zim. Innymi słowy, to doskonałe miejsce do kontemplacji: przyrody, historii, ludzi, zdarzeń. Tutaj można wzrokiem objąć procesy, które tam, w Rosji, zachodzą na ogromnych obszarach i dlatego są trudno uchwytnie. Na Sołowkach widać Rosję w miniaturze, jak na dłoni: jest i władza, i cerkiew, i kultura w muzeum, maleńki biznes i swojska mafijka, jest i szpital, i szkoła muzyczna, bycza ferma i prywatne krowy, przedsiębiorstwo leśne i nieduża fabryczka galaretki z wodorostów, jest milicja i areszt śledczy, jeno sąd bywa rzadko, czasami przylatuje. Sołowki mają swoją gazetę, *Sołowieckij wiestnik*, którą redaguje prawnuczka Eugeniusza Przegodzkiego, polskiego powstańca zesłanego na Ural, i radio lokalne, którym zawiaduje dawny kumpel Władymira Wysockiego, oraz trzy hotele, klub młodzieżowy i bar z dyskoteką co sobotę. Tylko służby komunalne są w zaniku, za to nieźle rozwinięte kłusownictwo. Kipią wreszcie na Sołowkach namiętności damsko-męskie, trwają swary polityczne w bani, a przysłowiowe ruskie pijaństwo przybrało apokaliptyczne rozmiary. Wystarczy zatem usiąść na przyzbie własnego domu, plecami się oprzeć o drewnianą ścianę, rozgrzaną wiosennym słońcem, myśli puścić, niechaj same się marszczą, i patrzeć, i słuchać, i milczeć.

8.

Naprzeciw mojej przyzby – po drugiej stronie Zatoki Pomyślności – stoi monaster: ściany cyklopowe, głązy sączą się kroplami, w cieniu lodem powleczone, błyszczą. Ledwie na poranne nabożeństwo dzwonią, słońce za monastylem się podnosi, wyrzyna w niebie czarne sylwety baszt, kopuł, krzyży, jakby jego profil w błękicie wycinało, potem, w porze obiadu, z boku bryłę oświeśla, wydobywa fakturę kamieni, rozkłada światła i cienie, a wieczorem, kiedy bracia pokłony na dobranoc kładą, zachodzi za Babią łudą, oblewając fasadę amarantem, purpurą, lub złotem, w zależności od pogody i wiatru.

Ot, dzwony biją, z monastyla wyszła procesja paschalna, sztandary niosą, ikony, śpiewają. Wiatr ładanem pachnie, targa monachów za poły płaszczy, mierzwi im brody, bryzga święconą wodą. Wśród maleńkich figurek na tle kamiennej ściany rozpoznają postacie, z których każdą można snuć w oddzielnym wątku, bowiem każda zasługuje na swoją opowieść, ale tutaj je wplątałem w jedno zdanie, bo w jednej procesji idą: na czele archimandryta Josif, któremu wróżą wielką przyszłość, za nim starzec German, spowiednik braci, który mi kiedyś powiedział, żeby nie czytał zbyt wielu filozofów, bo wyłysięję, i że prawdziwa filozofia, to rozmyślanie o śmierci, dalej idzie ojciec Zosima, parę lat temu taksówkarz, a dzisiaj ekonom monastylski, potem młodziutki Sawwatij, pierwszy sołowiecki postrzyżeniec, za nim inok Filip, bracia Jelisej, Wassian, były moskiewski dziennikarz, obecnie redaktor wydawnictwa monastylskiego, Jow, w życiu świeckim inżynier-agrotechnik, w monaszy zaś odpowiada za brackie krowy, dalej Joann i posłusznik Georgij, dawniej architekt, projektował Dom Sowietów w Kiszyńowie, a teraz rżnie krzyże pokłonne na Sołowkach, wznowiając stary kunszt pomorski, za nim Pietia, Michaił, Andriej, jeszcze do niedawna fanatyczny anarchista, a już mistyk, postnik i zajadły asceta, z boku Kuźma człapie, kiedyś mistrz piłkarski, reprezentant kraju, później kaleka i wariat, obok Rafał z Dymitrem, obaj ikony piszą, bracia bliźniacy, wreszcie pątnicy, nawiedzeni, miejscowe baby i przyjezdni goście.

Przeszli. Dzwony zamilkły. Słońce coraz mocniej przypieka, a pod ścianą monastylską Wowa się ślania, pijany.

Wowa na Sołowkach się urodził, tutaj wyrósł i tutaj się rozpił. I tylko raz go stąd zabrali. Do armii, w Legnicy służył. Tam, w dalekiej Polsce, pierwszy i ostatni raz w życiu zobaczył jabłka na drzewie. Sam mi opowiadał, jak je zrywali, jeszcze zielone, i jak je potem żarli, całą rotą, niczym kartofle, i jak ich wreszcie wyczyściło, na nice. Teraz Wowkę nie czyści, lecz rwie. Upadł. Warwara go podniosła, dobra kobieta. Córka zeka, parę lat temu po śladach ojca trafiła na Sołowki. Tutaj trop papy się urywał, a Warwara została. Dali jej pokój z kuchnią w dawnym baraku SŁON-a. Wowa chciał pojąć Warwarę za żonę, ale potem rzecz się była rozmyła i zostali przyjaciółmi od flaszki. Niepewnym krokiem, podpierając jedno drugie, zeszli z pola mojego widzenia. Można powiedzieć, że chwiejnie opuścili ten ustęp...

Mariusz WILK

Wiersze

Wojciech KAWIŃSKI

ŚWIATEŁKO

Tli się w tobie
czarne światło
domysłu. Zbiera
mgły minut. Przekreśla
cierpką nutę porównań.
Widzieć pomarszczoną
skórę dnia. Słyszać
pękającą materię bytu.
Jej tętno
i brudną krew.

Wojciech KAWIŃSKI

Mira KUŚ

ALA MA KOTA

Świat nie jest taki
na jaki wygląda
nasze złudzenia
nie są tym
czym się wydają

złudzenia powstają ze złudzeń
a naprawdę realny
wydaje się być
uśmiech kota bez kota
słynnego kota z Cheshire raj
mędrców wszelkich nauk

nie jesteście świadomi
naszych postrzeżeń zmysłowych

w czasie kiedy trwają
dowcipem błyskami
dopiero na schodach
układając puzzle
naszej pamięci

i tak samo o tym nie wiedząc
tu zaczynają się schody
stwarzamy to podstępne zwierzę
– reprezentację kota –
w teatrze neuronów

kot kota z kotem
w kocie i o kocie

o, kot

Mira KUŚ

Szymon MUCHA

OPOWIEŚĆ MISTRZA (M. BUŁHAKOW)

I

Moja Moskwa, kurz bulwarów,
Arbat w słońcu popołudnia
Grzęźnie w sen.
Tnie powietrze zgrzyt tramwajów,
Miasto z wolna się wyludnia –
Zwykły dzień.
Wiosną dźwięki rosną w uszach
I wyraźniej słyszeć dzieci
Płacz i śmiech.
Do miłości nikt nie zmusza –
Sam się w sercach ogień nieci,
Chęć na grzech...
Wiosną w sieni inny zapach,

Biało kwitną praniem sznury
 Wszerz i wzdłuż.
 Wiosną ja i Małgorzata
 Odnaleźliśmy się w tłumie
 Martwych dusz.

W nas przetrwała iskra życia.
 Rzecz w tym kraju podejrzana,
 Jak sens słów.
 Tutaj myśli się rozlicza
 I usuwa zacofane
 Myśli z głów.

II

Żyłem w strachu i obłędzie.
 Poza piekłem, czyścem, rajem,
 Noc i dzień.
 Jak na linie zawsze, wszędzie,
 Balansując życia skrajem –
 Własny cień.

Udawałem, że mnie nie ma –
 Tylko tak tam można przeżyć
 Strach co dnia.
 Bać się, milczeć, nic nie zmieniać,
 I nikomu w nic nie wierzyć,
 Ale ja...

Strach stłamsiłem, przemówiłem,
 Szczuli psami – więc zniszczyłem
 Słów mych ślad.
 Losy Boga, losy Słowa,
 Ten sam wróg nam pokrzyżował,
 Ten sam kat!

Wróg mój częścią jest tej siły,
 Która wiecznie pragnie złego –
 Mimo to –
 Wbrew swej woli Dobro czyni,
 Bo powstała przez Dobrego.
 Już wiesz kto?

III

Tu mi dobrze – mniej się boję.
 Tylko żal mi Małgorzaty,
 Bardzo żal...
 Tak jest lepiej dla nas dwoje –
 Moim miejscem dom wiariatów –
 W oknach stal.

Tak. Ja nie mam już nazwiska –
 Pozostały mi wspomnienia
 Tamtych chwil.
 Utraciłem prawie wszystko,
 Oprócz duszy i sumienia –
 Ciężko mi...

Teraz trzeba mi wytchnienia,
 Może jeszcze świt nastanie,
 Któż to wie?
 Niebezpieczna rzecz – wspomnienia
 I ulotna jak spotkanie
 Z nią – we śnie.

W nas przetrwała iskra życia –
 Rzecz w tym kraju podejrzana
 Jak sens słów.
 Tutaj myśli się rozlicza
 I usuwa zacofane
 Myśli z głów.

1996

CAPRICORNUS
(Ciurlionis)

Na skale samotnie stoi
 Pod skałą wód sklepienie
 Jedno jedyne odbicie
 Jedno jedyne westchnienie
 O jedno za dużo – na szczycie

1995

* * *

A teraz trzeba uważać
Homeostaza układu została naruszona
Lepiej już chyba chodzić na palcach,
Niż grać na bębnach,
(Jutro zagramy na bębnach),
Konsekwencje, konsekwencje,
Wyciągną
Nas z każdej nory,
Znąją nawet adresy potencjalne,
Te w kanałach.

1995

Szymon MUCHA

Bolesław TABORSKI

OMAMY I

przesuwają się cienie po tym horyzoncie
który chwilowo jest nam przypisany
jako bezkresny naszych możliwości kres
głupcom się zdaje że tak w nieskończoność
będą żeglować ku tym nieboskłonom
co są cudaczną nadbudówką piekieł
piekła w którym beztrząsowo tkwimy
troszcząc się o to co się nie ziści
bo nigdy prawdą nie było lecz mrokiem
w którym te blade cienie nikną
bądźcie tak mądrzy jak żeglarze
co kompas właściwy mają
przetną omamy i mgły co są niczym –
nie ulegajcie nowym troglodytom
co lądy morza zapelnili śmieciem

16.8.1996

Bolesław TABORSKI

Siarhiej ZAKONNIKAU

MY

Wiatry od Wschodu,
Wiatry od Zachodu,
A Białorusini czekają pogody.

Od lat do dzisiaj narodem się zwiemy,
A krew się rabska nam w żyłach ślimaczy.
Z roku na rok wciąż karlejemy,
Potomki żołnierzy i chłopów-oraczy.

Mamy co trzeba w ojczystym domu,
A skrzydła rozwinąć nikt się nie pali
Ze strachu, że nam nie podścielą słomy,
By upaść na miękkie, gdy będziemy spadali.

W zatęchłej tkwimy zonie łagrowej,
W dusze nam wżarł się fetor więzienny.
Jaką nam przyszłość Wszechmocny zgotował,
Ciągłe nie wiemy, ciągle nie wiemy.

Wiatry od Wschodu,
Wiatry od Zachodu,
A Białorusini czekają pogody.

Siarhiej ZAKONNIKAU
(przełożył Czesław Seniuch)

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

STYPA BEZ ŻAŁOBY: OD „BRATA NR 1”
DO „DZIADKA NR 87”

Jerzemu Giedroycowi

Skąd i dlaczego nagle dedykacja? W zwyczajnym artykule? Jerzy Giedroyc kończy 27 lipca, kilka dni po ukazaniu się tego numeru *Kultury*, 90 lat. Hołdów, pompy i wazeliny nie cierpi. Życzenie Jerzemu Giedroycowi tradycyjnych 100 lat zakrawałoby natomiast na małoduszność i brak wyobraźni. W tej sytuacji, artykuł jawi się jako podarunek skromny, ale pracowity i własny. Tak jak w tej powiatce, gdzie uczeń szkoły na wsi hinduskiej przyniósł swojemu nauczycielowi w prezencie na urodziny mały kamyczek, po który jednak trzeba było odbyć bardzo daleką drogę. „I po to aby podarować mi ten mały kamyczek poszedłeś tak daleko”, zdziwił się nauczyciel. „Droga, odpowiedział uczeń, jest częścią prezentu”.

Cóż to było za rozkoszne dziecko! Młody Saloth Sar (Sar znaczy biały, kolor niewinności), sama słodycz, grał na skrzypcach, dobry kolega, z nikim się nie kłócił, cichy i skromny. Tak cichy i tak skromny, że nie wiadomo nawet dokładnie kiedy się urodził: w 1925 czy w 1928 roku (wiadomo tylko, że żył o 30 co najmniej lat za długo). Ósmy z dziewięciorga dzieci w zamożnej kambodżańskiej farmerskiej rodzinie, jako sześciolatek chłopak wysłany został do stolicy Phnom Penh, na pensję u krewnych zbliżonych do środowiska kamaryli królewskiej. Wszyscy go lubili i z żalem żegnali, kiedy, po katolickiej szkole podstawowej, młody Saloth Sar powierzony został, dla dalszej

edukacji, buddyjskim mnichom, i kiedy, nieco później, zaczął się uczyć w gimnazjum im. Norodoma Sihanouka, ówczesnie miłościwie choć nie bardzo skutecznie panującego nad Kambodżą – protektoratem imperium francuskiego.

I tu zaczyna się nasza refleksja nad zarówno niedobrymi skutkami nadmiernego wykształcenia, co nad złymi skutkami sportu, a przede wszystkim nad tragiczną (dla milionów jego ziomków) Salotha Sara drogą do historii. Saloth Sar mianowicie był złym uczniem. Nie robił postępów, głównie grał w koszykówkę. Nic dziwnego więc, że oblewa egzaminy, musi opuścić gimnazjum bez matury i postanawia zagłębić się w tajniki stolarstwa.

Niedługo i nie za bardzo. Od czego bowiem jest kumoterstwo, jedna z niewielu, jak wiadomo, wartości naprawdę uniwersalnych. Dzięki protekcji, niedokształcony Saloth Sar uzyskuje stypendium na studia w metropolii, czyli we Francji. Też nie na długo. W ciągu trzech lat pobytu we Francji, 1949-1952, Saloth Sar nie ma bowiem czasu na głupstwa i nie zawraca sobie głowy radio-elektrycznością. Traci stypendium, ale nie wraca do Kambodży ani z pustymi rękoma, ani z pustą głową. Wraca mianowicie z legitymacją francuskiej (wtedy ultra-stalinowskiej) partii komunistycznej w kieszeni i całkowitym galimatiasem lewacko-stalinowskim w mózgu. Droga do komunistycznej partii Kambodży i do, *à terme*, ludobójstwa na własnym narodzie, jest przed nim otwarta. Z tej drogi już nie zejdzie, zostanie na niej do końca...

Albowiem, choć nie ma pojęcia o radio-elektryczności, to się jednak sporo we Francji nauczył. Nauczył się mianowicie, tak jak tysiące innych, takich jak on, zięjących zemstą młodych ludzi z kolonii – ideologii. Stało się jednak odwrotnie do tego, co teoretycznie dziać się było powinno. Zamiast wprowadzić w Kambodży komunizm na zasadzie sowieaty plus elektryczność, Saloth Sar, już wtedy Pol Pot, wprowadził, po latach partyzantki, komunizm na zasadzie „terror bez elektryczności”. W latach 1975-1979, koszmarny eksperyment Pol Pota, noszącego wtedy także nazwę „Brat nr 1”, uzupełnił listę i „poprawił” definicję tego, co prawo międzynarodowe nieprecyzyjnie zresztą określa jako ludobójstwo: zamordował mianowicie ponad dwa miliony ludzi, jedną czwartą własnego narodu, ogółu mieszkańców Kambodży,

„Aby naród nas kochał”

Nikt się tego – poza nielicznymi – nie spodziewał. Przecież kiedy 17 kwietnia 1975 roku, Czerwoni Khmerowie Pol Pota weszli z lasu do stolicy Phnom Penh, ludność odczuła ulgę. Po pięciu latach wojny domowej, inwazji, bombardowań, reżymu generała Lon Nola, narzuconego przez USA, każdy pokój wydawał się wyzwoleniem. Niestety. W ciągu kilku dni, spokojni, przysłówiowo łagodni Kambodżańczycy, poznali czerwono-khmerowski porządek.

„Burzuje”, mieszkańcy miast, wszyscy, którzy umieli choć trochę pisać i czytać, nie mówiąc już o „normalnych” inteligentach, zostali wyrzuceni z domostw, wpędzeni na uchodźcze szlaki, szli, umierając tysiącami po drodze, na „pola śmierci”, prawdziwe obozy koncentracyjne, gdzie, w pocie, a raczej krwi czoła, prawdziwi niewolnicy, poznawali „wartości ludu”. Żołnierze Pol Pota wymagali od więźniów plonów trzech razy większych od normalnej wydajności. Nie po to aby wyżywić ludność, to było ich najmniejsze zmartwienie, a po to aby eksportować i kupować w zamian za ryż maszyny, a przede wszystkim broń. Ci, którym kontyngent „nie wychodził”, byli rozstrzeliwani, jeżeli przedtem nie umarli z głodu, chorób czy okrucieństwa. Filozofia „chłopaków” Pol Pota była prosta, taka ludowa: „Pilnowanie was – powiadali do więźniów – to żadna przyjemność: wasza śmierć, to żadna strata”.

Cały, wielki eksperyment Pol Pota, to prawdziwy koszmar, ale i zupełny idiotyzm. Jego plan czteroletni (bez planu nie mogło się obejść) zakończył się autentyczną katastrofą: inteligencja wybita prawie do nogi, czystki wewnętrzne, jak na tę potworną azjatycką odmianę stalinizmu przystało, ogołociły z inteligentów nawet gangi Pol Pota, miasta wyludnione, kolektywizacja wsi tak samo nie udała się, jak wszędzie indziej, ale ponadto zniszczyła tkankę rodzinną, zasadniczą więź społeczną w Kambodży, medycyna powróciła do tradycyjnego leczenia, jeżeli nie wprost do znachorów, inaczej mówiąc śmiertelność, nawet poza „polami śmierci”, ogromnie wzrosła. Nie było pieniędzy, rynku, własność prywatna została, naturalnie, zniesiona. Szkoły, uniwersytety,

klasztery buddyjskie, zostały zamknięte. Książki i rozrywki są zakazane. Całość była pod totalną, okrutną kontrolą Czerwonych Khmerów. Społeczeństwo Kambodży przestało istnieć. W przenośni i dosłownie. „Statystyki” wahały się: początkowo od miliona ofiar głodu, chorób, tortur, terroru i wojny z Wietnamem, która położy w końcu, w 1979 roku kres koszmarowi Czerwonych Khmerów, do dwóch, co najmniej, milionów uznanych obecnie za wiarygodne. Jedna czwarta 8 milionów ludzi, zamieszkujących wówczas Kambodżę.

Pol Pot nigdy nie wyraził żalu, nie mówiąc o skrupsie, za „wypaczenia”. Po klęsce i zajęciu kraju przez Wietnam, już jako „Dziadek nr 87”, mieszkał w specjalnym osiedlu w Pnom Malaj, rejonie pozostającym pod kontrolą oddziałów Ta Moka, jednego z najokrutniejszych watażków czerwono-khmerowych i stosunkowo łatwym do obrony na górzystym pograniczu Tajlandii. Jeszcze gdzieś w późnych latach 80-tych wygłaszał pogadanki i prowadził zebrania, na których „kształcił kadry i rozpatrywał nieraz swój „bilans”, („w niektórych sprawach doszło do przesady” – przyznał kiedyś) i zastanawiał się – taki był tytuł jednego z zebrań „Co powinniśmy uczynić aby naród nas kochał?”...

Tam w górach, ożenił się po raz drugi. Miał córkę i syna. Ostatni, po Stalinie, Hitlerze i Mao Tse-tungu, z kwartetu największych zbrodniarzy XX wieku, umarł spokojnie w swoim łóżku. Na malarię, cukrzycę i cholera wie co jeszcze. Jego śmierć nie została „oficjalnie” potwierdzona. Nie ma świadka, który widział zwłoki. Ale nam dziś trzeba założyć, że kat szczerł. I że okoliczności aktualne są takie, iż warto się nad potworem Frankensteina o nazwisku Saloth Sar, Pol Pot, „Brat nr 1” czy „Dziadek nr 87” – na chwilę zatrzymać, zapytać jak to było możliwe, iż mógł w ogóle istnieć i działać, i że udało mu się, wczoraj albo jutro – to już wszystko jedno – umrzeć śmiercią naturalną, spokojnie, w swoim łóżku, wśród najbliższych, opatrzony... itd.

Buchalteria śmierci

Czerwoni Khmerowie nie tylko masowo i dokładnie mordowali, ale także masowo i dokładnie owe morderstwa

zapisywali. Oprawcy Pol Pota „pracowali” pospółu z buchalterami. Dzięki tej skrupulatności ludzi Pol Pota, można dziś stwierdzić, że ludobójstwo w Kambodży było centralnie kierowane i centralnie rejestrowane. Do tego wniosku doszli bez większego trudu, kosztem 500.000 dolarów wydanych na projekt pod amerykańską nazwą „*Cambodian Genocide Program*” (tłumaczenie jest zbędne) uczeni z amerykańskiego uniwersytetu Yale, którzy od półtora roku prowadzą badania w „terenach”. Kolosalny materiał, jaki już udało im się zebrać, stanowi prawdziwą, choć koszmarną „skarbnicę” wiedzy i opętanej okrucieństwem bezsensownej w istocie ideologii Czerwonych Khmerów, o zbrodniczym charakterze wprowadzenia jej w życie w Kambodży i o ludobójstwie w ogóle. Nie tylko azjatyckim.

Jest tego tyle, że zdaniem ludzi z Yale, trudność polega dziś nie na zbieraniu materiału, a na jego sprawnym odczytywaniu, katalogowaniu i archiwizacji, nie mówiąc już o jego analizowaniu i wysnuwaniu wniosków.

Niektóre można już jednak wysnuć. Tak więc, z jednej strony, istniała w Kambodży biurokratyczna maszyna śmierci, podobna do hitlerowskiej. Była centralnie kierowana, wszystkie rozkazy szły od samej góry, Pol Pot oraz np. jego zastępca Son Sen, byli bezpośrednio odpowiedzialni za fakt i rozmiary ludobójstwa. Istnieją „śmiercionośne” dokumenty, zredagowane i podpisane osobiście przez Pol Pota i innych członków kierownictwa Czerwonych Khmerów. Liczbę 2 miliony ofiar można, z drugiej strony, uznać za nie zawyżoną. Informatorzy miejscowi wskazali m.in. na miejsca zbiorowych, anonimowych naturalnie, mogił ofiar czerwonego terroru. Amerykanie początkowo sądzili, że takich grobów może być kilkadziesiąt na terenie całej Kambodży. Dziś już wiedzą, że może ich być i tysiąc na terenie jednej tylko prowincji.

Ekipa z Yale odnalazła także bezpośrednich świadków zbrodni, właśnie owych „buchalterów śmierci”, którzy potwierdzili istnienie i pomogli odnaleźć „teczki” i listy zamordowanych oraz odtworzyć informacje na temat okoliczności zbrodni. Są na tych listach życiorysy osób skazanych, torturowanych i w końcu zamordowanych, ich nazwiska, daty urodzin, pochodzenie, miejscowość zamieszkania itd. Są tam także „spowiedzi” ofiar, czasem po prostu śmieszne, np. „szpiegów”

przyznających się (skąd my to znamy) do pracy dla tajnych służb Amerykanów, Sowietów i Wietnamu... równocześnie.

Są tam także teczki personalne ludzi Pol Pota, Czerwonych Khmerów, morderców i oprawców oraz ich współpracowników, m.in. buchalterów, wszystkie uzupełnione o bardzo szczegółowe życiorysy. Są także, fascynujące, w pewnym bardzo specjalnym sensie, sprawozdania z „zebrań prawdy”, czy może raczej, jak pisał Orwell, „seansów nienawiści”. Taki np. charakterystyczny *passus* w wypowiedzi pewnego strażnika z „pola śmierci”: „W czasie torturowania musimy zachować czujność, albowiem pod wpływem bólu więźniowie mogą mówić rzeczy, o których sądzą, że my chcielibyśmy słyszeć”.

Amerykańscy badacze są już także w posiadaniu, jeszcze – z braku czasu – nie przeanalizowanych, tysięcy zeznań osób, którym udało się terror Pol Pota po prostu przeżyć. Jest to o tyle ważniejsze, że świadków, to jasne, ubywa...

Widoczne, wreszcie, jest wśród Kambodżańczyków zjawisko niechęci do rozgrzebywania ran, odgrzewania przeszłości i ujawniania nowych, a także starych, dowodów na charakter, rozmiar i szczegóły Pol Potowego ludobójstwa. Nie jest to zjawisko zaskakujące. Bywa nawet zrozumiałe, nie tylko w Kambodży. Może przecież prowadzić do fatalnych, dla niektórych osób, skutków. Odnaleziono np. tekst długiej samokrytyki napisanej własnoręcznie, na użytek Czerwonych Khmerów, przez niejakiego Sous Thy, jednego z buchalterów w służbie terroru. Otóż, ów nieszczęsny, nie z własnej zapewne woli, „buchalter” samokrytycznie donosi władzy, że jego dwaj bracia (tu nazwiska i detale) oraz siostra (pielęgniarka), wszyscy pracowali dla pro-amerykańskiego wojska generała Lon Nola, walczącego z oddziałami Pol Pota. „Oni, napisał Sous Thy, pomagali wrogowi. Nie mam wobec nich żadnych rodzinnych uczuć”.

Na ślad tego dokumentu wpadł Chhan Juk, kambodżański uczonek, kierownik badań grupy z Yale ze strony władz Kambodży. „Takie zeznanie, pisze Chhan Juk, równało się wyrokowi śmierci. Nie wiem czy na tym polega ludobójstwo. Nie wiem jak zakwalifikować czyn polegający na zamordowaniu swych braci i siostry”.

Ideolog z Paryża

Pol Pot był produktem ideologii, wytworem bełkotliwego dyskursu z okresu stalinowskiej wersji komunizmu paryskiego. To w Paryżu, Saloth Sar stał się Pol Potem. To tam przejrzał, dowiedział się, że cel uświęca środki, że terror, gwałt i zabójstwo są w służbie rewolucji usprawiedliwionym środkiem do celu.

Ba, żeby był został przy marksizmie. Byłoby to i tak straszne, ale jemu, ponadto, wszystko się pokiełbało: i twierdzenie Marksa (potem porzucone przez niego samego), że tylko „rewolucyjny terror” potrafi przyspieszyć „śmierć starego społeczeństwa”, i leninowska („czerwony terror przeciw „białemu terrorowi”) czy trockistowska apologia gwałtu, i filozofia Nietzschego, i bełkot Marcuse’a, a zwłaszcza ich wulgarna, prostacka wersja w wykonaniu „salon-bolszewików”, naturalnie, a jakże, głównie Sartre’a, a potem jego najlepszego ucznia, Franza Fanona. Pol Pot zapewne kiedyś przeczytał książkę Fanona „Les damnés de la terre”, z przedmową samego mistrza i już do końca nie zapomniał jego idei „gwałtu zorganizowanego i kierowanego”, podstawy współczesnego myślenia o terrorze. Gwałt, napisał Fanon, „jest siłą oczyszczającą jednostkę”. Gwałt, dodał uczeń Sartra, „uwalnia jednostkę z jej wszystkich kompleksów niższości”. Tak rozumowali Hitler, Stalin i Mao. Fanon byłby zadowolony: Pol Pot, godny ich następcy, zszedł do piekła bardzo „oczyszczony” i bez żadnych kompleksów. To w Paryżu Pol Pot zrozumiał, co mu się potem bardzo przydało, że terror niszczy nie tylko byt ale także instynkt moralny człowieka, że tylko terror potrafi przekonać masy, że to nie jakieś inteligentne biadolenia Hobbesa czy Locke’a na temat „umowy społecznej” i procesu politycznego jako zasadniczego mechanizmu cywilizacji, ale siła i gwałt są najbardziej skutecznym sposobem rozwiązywania konfliktów społecznych. Terror, w pojęciu i praktyce Pol Pota, miał zastąpić i zastąpił wszelką procedurę demokratyczną. Wszystko to było tym atrakcyjniejsze dla Pol Pota (i tysięcy małych i małych Pol Potów), że Fanon przedstawił terror jako ripostę na okrucieństwo kolonialistów, a pragnienie zemsty i samą zemstę jako

niezbędny warunek emancypacji. „Tylko gwałt potrafi wyleczyć nasze rany...” (cytuje z pamięci) – napisał Sartre. Czego bardziej Pol Potowi było potrzeba do szczęścia? To kwestia wyobraźni, ale gdyby bandzie Baader-Meinhoff, terrorystom z IRA czy ETA, bojówkom z „Czerwonych Brygad” czy „Czarnego Września” udało się przechwycić władzę, to czy, w jakimś koszmarnym scenariuszu, dziś Pol Poty nie rządziłyby w Niemczech, Irlandii, Włoszech, Hiszpanii czy krajach arabskich (w niektórych prawie rządzą)? Nam się udało, ale czym tak bardzo różni się Saddam Hussein, Kaddafi czy sieroty po Chomejnim od Pol Pota?

Tak jakby Hitler...

„Twórczość” Pol Pota, a potem jego spokojna starość i łagodna śmierć, nie byłyby możliwe gdyby nie cynizm polityków i priorytety, też cyniczne, polityki międzynarodowej, głównie sowieckiej, chińskiej i zachodniej, oddzielnie i razem. Wielką szansą Salotha Sara były Stany Zjednoczone i okropny bilard, w jaki Amerykanie grali w Indochinach. To Nixon, który w przystępie jakiegoś obłędu przeniósł z końcem lat 60-tych wojnę z Wietnamu do Kambodży i wtrącił ten spokojny kraj w zupełny chaos, otworzył drogę, po której Pol Pot doszedł do „Brata nr 1”, zanim przeszedł w stan „Dziadka nr 87”. Król Sihanouk został obalony, amerykański zamach stanu doprowadził generała Lon Nola do władzy a Pol Pota do prawdziwego „rozkwitu”. Ruch „Czerwonych Khmerów” zrodzony w kontekście konfliktu chińsko-sowieckiego, teraz dopiero rozwinął skrzydła i mord na masową skalę. Pod Sihanoukiem, liczba bojowców Pol Pota nie przekraczała trzech tysięcy. Pod Lon Nolem było ich 300.000 i, oczywiście, nie mieli żadnych trudności, po ostatecznym, bardzo spóźnionym, załamaniu się Amerykanów, w zdobyciu, w 1975 roku, Pnom Penh i całej reszty kraju.

Otóż, trzeba przypomnieć, to może bolesne, ale ważne, że choć już coś niecoś było wiadomo na temat niektórych „wypaczeń” Pol Pota, spora część zachodniej opinii, zwłaszcza inteligencji, z tak zwanymi lewicowymi intelektualistami na

czelę, bardzo gorąco oklaskiwała Czerwonych Khmerów, widząc w nich rękę historycznej sprawiedliwości, rewolucyjnych pogromców amerykańskich imperialistów i ich lokalnej marionetki. Oklaski nie trwały długo, okazało się, że Pol Pot to taki inny wujaszek Ho, Mao czy Jo, taki sam krwawy, zapiekły anti-„wszyscy i wszystko”: anti-„burżu”, anti-wietnamczyk, anti-sowiec, w końcu nawet anti-chińczyk, nie wspominając już o anti-zachodzie...

I tu zaskoczenie, paradoks. Polegał on na tym, że zamiast pomóc pozbyć się Pol Potą raz na zawsze, te wszystkie „anty..” bardzo się spodobały w Waszyngtonie, Pekinie, a nawet w Tajlandii. Dla Amerykanów, Pol Pot był „argumentem” w zimnej wojnie, atutem w rywalizacji z Moskwą i Chinami; dla Pekinu, Pol Pot miał się przydać w blokowaniu ekspansji sowieckiej, ale przede wszystkim w powstrzymaniu planów Wietnamu zawładnięcia całymi Indochinami. Wietnam także piał z zachwyty nad Pol Potem dopóki ów rewolucjonista nie zaczął, pod wpływem Chin, dobierać się do Wietnamu. Francja, może w ekspiacji za winy kolonialne, prawie się nim opiekowała w imię zasady, że, jak to określił ówczesny minister spraw zagranicznych Roland Dumas, „w polityce trzeba być realistą”. Może i tak, tylko co to jest realizm? Pani Thatcher określiła ludzi Pol Potą jako „rozumnych polityków”. Generałowie z Tajlandii też są zadowoleni: Kambodża jest w proszku, ale oni mogą prowadzić bardzo intratny handel z Czerwonymi Khmerami: drzewo za broń. Kiedyś, ktoś powiedział: Khmerowie mordowali ludzi, teraz zabijają lasy.

Wynik tego „realizmu” był taki, że ludobójstwo nie przeszkodziło Pol Potowi czy też jego krwawemu i skrwawionemu reżymowi być uznanym przez społeczność (!) międzynarodową za jedyną legalną władzę Kambodży. Ludobójstwo, inaczej mówiąc, w najmniejszym nawet stopniu, nie spowodowało zakwestionowania politycznej międzynarodowej legitymizacji Pol Potą. ONZ zalegalizowała (jak zwykle) koalicję z udziałem Czerwonych Khmerów. Nawet Sihanouk zajął bardzo „elastyczno-realistyczne” stanowisko wobec swych byłych pogromców i morderców jednej czwartej jego poddanych. Wyzwolenie Kambodży przez Wietnam (mniej o motyw, tu nie chodziło o filantropię) z krwawej po-

wodzi Czerwonych Khmerów świat ciągle nazywał „inwazją”. Pol Pot dyskretnie uwił sobie gniazdko w środku dżungli, ale jego bojówkarze, czy dziś już po prostu bandyci, rabują na drogach i mordują porwanych zakładników, a jego przedstawiciel, były Czerwony Khmer Hun Sen jest dziś ko-premierem w rządzie Sihanouka i głównym, w niektórych oczach, gwarantem stabilności Kambodży.

Co to znaczy? Na czym polega triumf takiego realizmu? Na tym m.in., co widzieliśmy u końca wojny w Zatoce Perskiej, kiedy Amerykanie, w imię realizmu, równowagi sił i pilnowania Iranu, nie pozwolili na likwidację Saddama i zatrzymali wojnę u bram Bagdadu, choć wystarczyło sięgnąć ręką aby wykończyć tego regionalnego stalinka. Na tym także, że świat spokojnie i przyzwalając kiwnął głową, kiedy psychopato-oprawcy klasy „generała” Idi Amin Dady lub rzeźnika z Addis Abeby, choć zaledwie „pułkownika”, Mengistu, korzystać mogą z dobrodziejstwa komfortowego azylu w krajach rządzonych przez im podobnych, innych generałów i pułkowników. Że Iran może bezkarnie ścigać pisarzy po całym świecie, mordować swoich opozycjonistów w sercu Paryża, uzbrajać, finansować i manipulować hezbollahów czy hamasów mordujących zakonników w Algierii i cywilów w autobusach w Tel Awiwie, a równocześnie handlować z całym światem i być przyjmowanym na najbardziej wykwinnych salonach dyplomatycznych. Kiedy Amerykanie proponowali ostre kroki wobec Iranu, nieocenieni dyplomaci francuscy (i Niemcy, którzy się do nich przyłączyli) odmówili, tłumacząc, że owszem, Iran stosuje terror, ale nie trzeba go bojkotować, a utrzymywać z nim „stosunki krytyczne”. Żeby się poprawił...

Ten kambodżański kontekst, mówiąc w brutalnym skrócie, przypomina sytuację, w której, po wojnie, Hitler mieszkałby sobie i spokojnie dobiegał żywota gdzieś na granicy Austrii, chroniony przez SS i samego Himmlera, a Goebbels był ko-kanclerzem w Bonn. I świat się z nim cackał. Nie, nie z Hitlerem z roku np. 1938, ale z tym już po Oświęcimiu i po holokauście.

Tyrani nie są sami na świecie

Pol Pot może żyje, a może nie. Już kilka razy ogłaszano jego śmierć, zawsze kiedy się to z jakichś względów „opłacało”. Jak jest teraz, nie wiem, niewykluczone, że to znowu jakieś oszustwo, że wiadomość o śmierci oprawcy Kambożczyków nieprzypadkowo zbiegła się z końcową fazą prac „*Cambodian Genocide Program*”. A zwłaszcza z zapowiedzią, że już... w przyszłym roku wystawione zostaną pierwsze listy gończe za autorami ludobójstwa w Kambodży. Możliwe, ja mam jednak dość. Ogłaszam, że dla mnie Pol Pot przestaje straszyć, ja go uznaję za definitywnie umarłego i ze smutkiem zakładam, że człowiek, który doprowadził swój kraj – kosztem jednej czwartej jego narodu – do „poziomu zero”, skazany już być może tylko na sądzie boskim. Nie wiem jak to tam wygląda, ale wiem, że ten jeden z najbardziej okrutnych, ale także najbardziej kompromitujących epizodów zimnej wojny, nie będzie przedmiotem rozprawy sądowej, że prawdy i sprawiedliwości ziemskiej, tej obiecaniej „sprawiedliwości zwycięzców”, te wszystkie Pol Poty, to znaczy – to ważne – ludzie odpowiedzialni nie za zbrodnie w ogóle, a za zaplanowane i zorganizowane ludobójstwo, obawiać się nie muszą. Ani ci z Kambodży, bo są w... rządzie. Ani ci z Katynia, bo już za późno. Ani ci z Rwandy, bo ich ciągle nie można złapać. Ani ci ze Srebrenicy, bo NATO nie jest „od łapania zbrodniarzy”. Powstały dwa specjalne międzynarodowe trybunały: jeden w Hadze, dla sądenia zbrodni czystki etnicznej w *ex-Jugosławii*, drugi w Arusza, dla zbrodniarzy winnych ludobójstwa w Rwandzie. Po co? Dla skazania „lampistów” czyli drugorzędnych zbrodniarzy? Dlaczego zresztą mielibyśmy sądzić Karadzica czy Mladica, kiedy Pol Pot uniknął kary, a jego ludzie są szanowanymi mężami stanu? I, jak w Rwandzie, masowo nadal i bezkarnie mordują świadków ich zbrodni?

Zresztą nie spieszymy się, poczekajmy jeszcze chwilę, a zjawia się – na nich zawsze liczyć możemy – zachodni intelektualiści, którzy wyłącznie w imię prawdy, szczytnego hasła kontestowania wszystkich tabu i dogmatów w nauce, w sposób, naturalnie, jak najbardziej obiektywny, zaczną kwestio-

nować najpierw rozmiar, a potem sam fakt ludobójstwa w Kambodży. Koło się zatoczy, klamra się zamknie, wrócimy do Paryża, gdzie kwitnie dziś szkoła nie „terrorystów”, a „negacjonistów”, gdzie panowie profesorowie Faurisson i inni, a także pomylenicy rodzaju Garaudy’ego, który przeszedł długą drogę od stalinowskiego ideologa i pogromu „nauki burżuazyjnej”, poprzez buddyzm i katolicyzm, zanim trafił do islamu, manipulują starców, w rodzaju *abbé Pierre’a*, wyzwalając dawne, uspione pokłady biblijnego anty-judaizmu, albo i wprost sięją antysemityzm pod pretekstem anty-syjonizmu i zatruwają młodzież teoriami o nienaukowym charakterze dowodów na gaz cyklon i krematoria w Oświęcimiu.

Kilka lat temu w książce „Wojna Hitlera”, znany nacjonalista, czy wprost neonazi, David Irving, pisarz i historyk angielski, utrzymywał, że biedny Hitler pojęcia nie miał o eksterminacji Żydów. Dziś stara się o wydanie książki pod tytułem: „Goebbels – mózg III Rzeszy”, przywracającej, na podstawie rzekomo jego autentycznych pamiętników, cześć i honor szefowi hitlerowskiej propagandy. Niedługo zapewne, jakiś inny Irving, a może i on sam (to dziś dobra specjalizacja) postara się o mniej lub bardziej fałszywe pamiętniki Pol Pot’a i napisze książkę o dobrodziejstwie, jakim dla Kambodży był okres Czerwonych Khmerów.

„Realizm obowiązuje”: „Brat nr 1” czy „Dziadek nr 87”, mam nadzieję, nie żyje. Żyją – i to nie najgorzej – inni, ci od nr 2 do 86. Tyrani nie są sami na świecie.

Pisane w Brukseli, 19 czerwca 1996

Leopold UNGER

Bałtyckie migawki

Bałtycki szczyt w Visby – much ado about nothing?

– Piękne słowa, za którymi nie stoją pieniądze, mają wartość nader ograniczoną – stwierdził w swym komentarzu redakcyjnym po bałtyckim szczycie w Visby szwedzki dziennik businessu *Dagens Industri* z 6 maja br. Zanim jednak wielki business zaangażuje w coś swoje kapitały, musi mieć gwarancję racjonalności i opłacalności danego przedsięwzięcia. Dlatego to z inicjatywy Petera Wallenberga jeszcze przed spotkaniem szefów dwunastu rządów w Visby odbył się w sztokholmskiej Akademii Nauk Technicznych w dniu 25 kwietnia Baltic Sea Business Summit. W przeddzień rozpoczęcia tego szczytu businessu – który prasa nazwała początkiem nowej Hanzy – udzielił Peter Wallenberg wywiadu branżowemu tygodnikowi *Veckans Affärer*. Na pytanie, czego business żąda od polityków, którzy przyjadą do Visby, władca szwedzkiego przemysłu odpowiedział: – Niczego szczególnie sensacyjnego, po prostu warunków umożliwiających wolną przedsiębiorczość. Przede wszystkim chcemy zniesienia biurokratycznych przeszkód, które najbardziej hamują rozwój przemysłu, gospodarki i społeczeństw.

Bezpośrednio po obradach Baltic Sea Business Summit przypomniał Wallenberg w siedzibie Investora, niejako sztabowej firmy swojego przemysłowo-finansowego imperium, etymologię słowa „hanza” oraz fakt, że ten merkantylny związek kupców i miast powstał w celu realizowania swoich zamiarów często wbrew woli ówczesnych władców.

Dodajmy od siebie, że jest to nader ogłędne określenie polityki Hanzy, której siły morskie odnosiły zwycięstwa nad flotami ówczesnych władców rejonu Bałtyku, np. w wojnie morskiej z królem Danii, Valdemarem (1367). Dzisiejszy business nie ma zamiaru wstępowania na wojenną ścieżkę, choć działania współczesnych polityków uznaje za wysoce dwuznaczne i nieefektywne. Percy Barnevik, szef potężnej,

międzynarodowej korporacji ABB, poddał na sztokholmskim Baltic Sea Business Summit miażdżącej krytyce niedawne spotkanie w Moskwie przedstawicieli „klubu bogatych”, G7, którzy zupełnie gołosłownie zadeklarowali zamknięcie czernobylskich elektrowni w roku 2000. – Dość obrzydliwy był widok zjednoczenia się siedmiu najbogatszych państw świata wokół tego publicznego kłamstwa – powiedział Percy Barnevik. – Ukraina będzie przecież potrzebować taniej energii elektrycznej także po roku 2000, a nikt nie zadeklarował choćby jednego grosza na fundusz pomocy, który umożliwiłby Ukraincom zamknięcie swoich reaktorów (cyt. wg tygodnika *Veckans Affärer* z 29 kwietnia 1996).

Barnevik ujawnił, że to nie składający wniosku deklaracje politycy, ale prywatne firmy, konkretnie – ABB i Siemens, opracowują finansowe i technologiczne przesłanki planu zastąpienia ukraińskich reaktorów siłowniami gazowymi.

Nordyccy i bałtyccy businessmeni sformułowali wobec polityków wiele postulatów, często dotyczących bolączek wprost niezrozumiałych z zachodniego punktu widzenia. – Jest zupełnie niedopuszczalne, że ciężarówka jadąca z Helsinek do Warszawy przetrzymywana jest przez dwie doby na przejściu granicznym między Litwą i Polską – powiedział dziennikowi *Dagens Industri* (4 V 1996) Lars Mathlein, odpowiedzialny za ekonomiczną problematykę spotkania w Visby. – Nowoczesna kontrola celna powinna trwać najwyżej pół godziny!

Wynik Baltic Sea Business Summit – 22-stronicowy dokument – przedstawili na spotkaniu w Visby Peter Wallenberg i estoński businessman, Toomas Luman. W pięknym, hanzeatyckim mieście Visby na wyspie Gotlandii spotkali się nie tylko szefowie rządów Rosji, Niemiec, Polski, Litwy, Łotwy, Estonii, Szwecji, Danii i Finlandii, ale także Norwegii i Islandii (które niejako na wyrost zaliczono do państw bałtyckich) oraz przewodniczący Komisji Europejskiej, Jacques Santer. Niewątpliwie większość uczestników gotlandzkiego spotkania w dniach 3-4 maja borykać się musi głównie z problemami wewnętrznymi swoich krajów. Czernomyrdin musi się zastanowić, jak długo jeszcze będzie premierem. Kanclerz Kohl jest świadomy faktu, że walkę o powstanie Europejskiej Unii Monetarnej stoczyć musi nie tylko z

zagranicznymi, głównie brytyjskimi izolacjonistami, ale także z własnymi związkami zawodowymi. Gospodarz spotkania, Göran Persson, któremu ciągle grozi rozłam w jego własnej partii, zadawał sobie chyba pytanie, jak długo jeszcze uda mu się odwlekać podjęcie najważniejszych dla Szwecji decyzji. Paavo Lipponen miał wątpliwy zaszczyt reprezentowania państwa o najwyższym w regionie bałtyckim, bo blisko 20% bezrobociu. Premier Cimoszewicz przyjechał z kraju głęboko rozdartego tzw. sprawą Oleksego, a ponadto z kraju, w którym nikt prawie nie interesuje się planami tworzenia przez Szwecję – z pełnym błogosławieństwem Niemiec – neo-Hanzy i nie rozumie, że Bałtyk od niedawna stał się ważnym, bo graniczącym z Rosją, wewnętrznym morzem Unii Europejskiej.

Spotkanie w Visby, „pierwsze takie spotkanie od XIV wieku” – podkreślał premier Danii, Poul Nyrup Rasmussen, wywołało zachwyty prasy codziennej, która akcentowała fakt, iż Wiktor Czernomyrdin aż po 30 minut rozmawiał z premierami Łotwy i Estonii. Znacznie mniejszą uwagę zwrócono na fakt, iż nie bardzo wiadomo, gdzie odbędzie się następny szczyt bałtycki. Teoretycznie powinien on mieć miejsce w Rydze, gdyż to Łotwa przejmie z początkiem lipca od Szwecji rotacyjne przewodnictwo Rady Bałtyckiej, ale Rosja nie widzi możliwości uczestniczenia w spotkaniu w stolicy jakiegokolwiek państwa bałtyckiego (dlatego najprawdopodobniej kolejny szczyt odbędzie się latem 1997 w Kopenhadze). Z tematyki spotkania w Visby wykluczone były z góry wszelkie problemy tabu (w rodzaju rozszerzania NATO) i z założenia miało być ono poświęcone kwestiom technicznym, skądinąd bardzo istotnym, głównie ochronie środowiska i zmniejszeniu zanieczyszczania Bałtyku przez Polskę, Litwę, Łotwę i Estonię. Na program ratowania niezbyt wonnego morza wewnętrznego Unii przeznaczają Szwecja do roku 2012 niebagatelną sumę 10 miliardów SEK, a gospodarz spotkania w Visby, Göran Persson, uczynił ochronę Bałtyku jednym z głównych punktów swojego politycznego programu. Dlatego pewne zdumienie wywołał fakt, iż premier Cimoszewicz zaproponował, aby głównym tematem spotkania w Visby była walka ze zorganizowaną przestępczością.

Trudno przypuścić, aby dla polskiego premiera kradzieże głównie niemieckich (a w mniejszym stopniu szwedzkich) samochodów przez rosyjską mafię były ważniejsze od budowy w Polsce oczyszczalni ścieków, zmniejszania emisji pyłowych i rozwijania technologii wykorzystywania tzw. ekologicznych źródeł energii (biogaz, biomasa etc.). Wiadomo było, iż Jacques Santer jedzie do Visby z wiadomością, że z budżetu Unii żadne dodatkowe środki nie będą przeznaczone na ratowanie Bałtyku. W sytuacji, gdy potrzeba więcej pieniędzy, spojrzenia państw europejskich z reguły zwracają się w kierunku potężnej sylwetki kanclerza Kohla, jednak Niemcy – dość rozpaczliwie walczący o spełnienie narzuconych przez siebie całej Europie warunków konwencji z Maastricht – nie mogą sobie chwilowo pozwolić na żadne poważniejsze, dodatkowe wydatki. Albo więc premier Cimoszewicz wyświadczał (co sugerował socjaldemokratyczny *Aftonbladet* z 5 maja) przysługę kanclerzowi Kohlowi, albo liczył się z opinią PSL-owskiego koalicjanta, któremu szeroko pojmowana problematyka ekologiczna jest dość obca. W każdym razie trzeba się zgodzić ze wspomnianym powyżej komentarzem *Aftonbladet*, że priorytet tematyczny przyjęto zgodnie z jego życzeniem. Zaakceptowanie konkretnych posunięć w zakresie ochrony środowiska musi jeszcze poczekać. Natomiast premier Persson może się pocieszać, iż kanclerz Kohl zgodził się, aby Szwecja nadal koordynowała bałtycką współpracę. W tym celu zostanie powołane w Sztokholmie biuro koordynacyjne, podporządkowane bezpośrednio premierowi Perssonowi.

Przyjęta w Visby 4-stronicowa deklaracja jest – jak większość tego typu dokumentów – bardzo mało konkretna. Jeżeli pominiemy plany powołania specjalnej *task force* w celu walki ze zorganizowaną przestępczością oraz specjalnego *focal point*, mającego nadzorować usprawnianie kontroli granicznych, to pozostaną już tylko wniosły ogólne w rodzaju konstatacji, iż równowaga ekologiczna w Bałtyku ma być przywrócona, a kontrola bezpieczeństwa energetyki jądrowej – zintensyfikowana. Teraz wszystko zależy od tego, jaką treścią poszczególne państwa zechcą wypełnić te nader „poprawne politycznie” ogólne.

Powstaje bałtycki mini-SAS

Dnia 7 marca 1996 SAS zwiększył swój udział w łotewskim przedsiębiorstwie Air Baltic z 16% do 29%.

Air Baltic jest przedsiębiorstwem lotniczym, którego 50% należy do państwa łotewskiego; pozostali udziałowcy to SAS, szwedzki Swedfund International, duński IÖ i amerykański Baltic Internationell. Dyrektorem Air Baltic jest były wicedyrektor wykonawczy SAS-u, Norweg – Kjell Fredheim. Twierdzi on, że choć Air Baltic powstał bardzo niedawno (wrzesień 1995), to już latem tego roku stanie się największą cywilną firmą lotniczą w Balticum.

Na trasach Ryga–Oslo, Sztokholm, Helsinki, Londyn i Frankfurt latają samoloty Avro (British Aerospace), na trasach Ryga – Tallinn, Vilnius, Warszawa i Mińsk – Saab 340.

Obecnie (maj 1996) trwają pertraktacje z Estonian Air, w którym to przedsiębiorstwie, właśnie prywatyzowanym, chce SAS posiadać również 28% udziałów. Interesujące, że wśród innych właścicieli Estonian Air znajdzie się także Air Baltic. Państwo estońskie ma posiadać w Estonian Air 34% udziałów.

SAS prowadzi również rozmowy z Lithuanian Air i w bliskiej przyszłości ma nadzieję nabyć część udziałów także w tej firmie.

Wszystko wskazuje więc na to, że dyrektor generalny SAS-u, Szwed – Jan Stenberg zrealizuje swoją wcześniejszą zapowiedź stworzenia bałtyckiego mini-SAS, który w większym lub mniejszym stopniu będzie należał do „dużego SAS-u”.

Scandinavian Airlines System należy w 3/7 do Szwecji, a w 2/7 do Danii i 2/7 do Norwegii. Sieć hotelowa Radisson SAS International Hotels od roku 1994 należy w 40% do amerykańskiej firmy Radisson, a w 60% do SAS-u. Jest to obecnie najdynamiczniej rozwijająca się sieć hotelowa Europy. Dn. 8 marca 1996 otwarto bardzo uroczyście w Rydze Radisson SAS Daugava Hotel. Dyrektor Radisson-SAS, Kurt Ritter nadmienił z tej okazji, że w związku z planami tworzenia bałtyckiego mini-SAS-u, firma jego otworzy także hotele w Tallinie i Wilnie.

Dodajmy jeszcze, że zaakceptowany w styczniu 1996 przez Komisję Europejską alliance SAS/Lufthansa uczynił z tego nowego tworu najekspansywniejsze przedsiębiorstwo lotnicze w Europie (i nie tylko). Jürgen Weber, szef Lufthansy nie ukrywa, że firma jego poszukuje partnera w Chinach i jest bardzo zaawansowana w rozmowach z Air China. Ponieważ SAS od lat ściśle współpracuje z Thai Airways (co obejmuje także wspólne szkolenie pilotów i mechaników), a prowadzi także rozmowy z liniami koreańskimi, nie można wykluczyć, że także w Azji sieć nowego alliance'u SAS/Lufthansa osiągnie dominację. Jürgen Weber jest przekonany, iż czas monopolistycznych, korzystających z państwowych dotacji przedsiębiorstw lotniczych, należy do przeszłości.

Jan Stenberg przewiduje, że w roku 1997 powstanie globalny alliance, obejmujący Lufthansę, SAS, bałtycki mini-SAS, United Airlines, Thai Airways i Air China.

Port w Muuga

Nils Wärgarden, właściciel handlowej firmy Sadkora AB od trzech lat nosił się z pomysłem wykorzystania estońskiego portu Muuga koło Tallina do eksportu rosyjskiej ropy. Wreszcie w listopadzie 1995 amerykański, naftowo-gazowy Costal Corporation i przedsiębiorstwo Wärgardena założyły na bazie 50/50 *joint venture* CBH (=Costal Baltic Holding). Amerykańska firma z Houston i szwedzki businessman z Helsingborg zainwestują w projekt estoński na początek 120 milionów SEK.

Obecnie CBH kończy budowę 7-kilometrowego rurociągu z naftowego terminalu Maardu do portu Muuga, który zostanie pogłębiony tak dalece, aby mógł obsługiwać stutysięczniki (statki tego tonażu nie mogą być przyjmowane przez łotewski port w Ventspils czy litewski w Kłajpedzie). Przewiduje się, że eksport z portu Muuga będzie chwilowo rzędu 3 milionów ton ciężkiej ropy rocznie.

Teren wydzierzawionego od państwowej firmy Esoil terminalu w Muuga obejmuje 32 ha, co pozwala na jego rozbudowę w przyszłości.

Szwedzka Trygg-Hansa w Rydze

Szwedzki koncern ubezpieczeniowo-finansowy podjął decyzję utworzenia całkowicie własnej filii (a więc nie żadnego *joint venture*) w Rydze. Nowa filia będzie dysponować kapitałem założycielskim 1 miliona LVL (ca 12,5 milionów SEK) i specjalizować się w sprzedaży ubezpieczeń przemysłowych. Analitycy Trygg przewidują, że w ciągu pierwszych lat portfel klientów będzie wzrastał w zakresie 30% rocznie.

Dotychczas posiadał Trygg-Hansa na Łotwie 56 większych klientów przemysłowych, którzy obsługiwani byli przez estońską filię szwedzkiego koncernu.

Czy inwestować w państwach bałtyckich?

The Baltic Growth Fund Ltd mieści się w centrum Kopenhagi przy ulicy – *nomen omen* – Gammel Mønt („mønt” znaczy „moneta”) i należy do stosunkowo młodej, londyńskiej firmy inwestycyjnej Magnus Bros. Capital Management, pomagającej osobom prywatnym lokować pieniądze na rynkach nowych „tygrysów ekonomicznych”.

Dlaczego jednak duńska filia angielskiej *investment company* właśnie dla Szwedów opracowała specjalny program lokat w prywatyzowanych przedsiębiorstwach bałtyckich?

– Z różnych względów są Szwedzi bardziej niż inne nacje zainteresowani lokatami w funduszach zagranicznych i posiadają w tej materii stosowne umiejętności – mówi Philippe Storm, młody dyrektor Magnus Bros. – Ponadto Szwecję łączy z państwami bałtyckimi silne więzy historyczne i kulturowe. Nie bez znaczenia jest też fakt, że Szwecja ma ambicje odgrywania w rejonie Bałtyku wiodącej roli politycznej.

Eufemizm „różne względy” w powyższej wypowiedzi dyrektora Storma oznacza oczywiście podatki, których poziom jeszcze niedawno był w Szwecji szczególnie wysoki. Fundusz Baltic Growth jest wprawdzie administrowany z Kopenhagi, ale ze względów podatkowych zarejestrowany na Virgin Island. Polityczne ambicje Szwecji, skrótowo ujęte w

haśle budowania neo-Hanzy, są o tyle realne, że mają akceptację Niemiec. Z powodu swojej potęgi muszą Niemcy myśleć o losie całej Europy i Helmut Kohl musi *nolens volens* przewyższyć Bismarcka: Żelazny Kanclerz zjednoczył Niemcy, kanclerz Kohl musi to uczynić z Europą, a w każdym razie doprowadzić do powstania Europejskiej Unii Monetarnej. Jeżeli euro nie znajdzie się w naszych portfelach, to przewidzenie dalszego toku wydarzeń nie wymaga żadnych zdolności wróżbiarskich. Pewne państwa europejskie (Anglia, Szwecja, Włochy) znowu posłużą się dewaluacją jako środkiem handlowo-politycznym, inne (zwłaszcza Niemcy) będą się bronić posunięciami protekcyjnymi, a w następnej generacji wojna handlowa może się nawet przekształcić w gorącą, co zresztą byłoby zgodne z całą tradycją europejską.

Zmuszone do zajmowania się przyszłością całego kontynentu, z wdzięcznością akceptują Niemcy polityczne ambicje Szwecji w rejonie Bałtyku, który w ramach Unii Europejskiej stanowi naturalną przeciwwagę Morza Śródziemnego.

Czy jednak z punktu widzenia firmy inwestycyjnej rozsądne jest zajmowanie się państwami, na których granicy – według obrazowego, choć niezbyt ścisłego powiedzenia – „Wania już przebiera walonkami”?

Martin Oscar Siesbye, kierujący z Kopenhagi funduszem Baltic Growth, odpowiada na to pytanie twierdząco: – Ryzyko nowej aneksji państw bałtyckich przez Rosję uznajemy za minimalne, w każdym razie w interesującej nas przyszłości. W ciągu najbliższych 25-30 lat ryzyko takie mogłoby stać się bardziej prawdopodobne tylko w tym wypadku, gdyby Estonia i Łotwa nie potrafiły rozwiązać problemu faktycznego równouprawnienia swoich nader pokaźnych mniejszości rosyjskich. Liczymy tu jednak nie tylko na instynkt samozachowawczy Bałtów, ale także na presję Unii Europejskiej. Swoje wejście w skład struktur europejskich uznają państwa bałtyckie za absolutnie priorytetowe, a ze względów praktycznych nie jest to możliwe bez równouprawnienia mniejszości rosyjskiej.

Nowy szwedzki dziennik w Estonii

Kontrolowany przez rodzinę Bonnierów szwedzki koncern prasowy Marieberg, wydający między innymi dzienniki *Dagens Nyheter* i *Expressen*, posiada także udziały w kilku gazetach zagranicznych, również w polskiej bulwarówce *Superexpress*.

Ostatnio koncern Marieberg planuje rozpoczęcie wydawania nowego dziennika w Tallinie. Ze strony szwedzkiej projektem tym kieruje były redaktor naczelny szwedzkiego *Expressen*, Erik Mansson, ze strony estońskiej – Andres Küng.

Andres Küng, urodzony w roku 1945 w szwedzkim Ockelbo jako dziecko estońskich uchodźców, był przez lata przysłowiowym człowiekiem-institucją, jako publicysta i nieoficjalny reprezentant estońskich interesów w Szwecji. Po odzyskaniu przez Estonię niepodległości, odbył Küng, na zlecenie estońskiego rządu, szereg podróży po Szwecji, wygłaszając w gimnazjach i parafiach nader potrzebne prelekcje o nowym państwie jako części Norden. Przy współpracy z Estońskim Funduszem Kultury organizował dla szwedzkich instytucji szereg zbiorowych wyjazdów do Estonii, nie tylko do Tallina i Tartu, ale także na wyspy Hiiumaa czy Saaremaa oraz w dużej mierze przyczynił się do rozwinięcia w Estonii tzw. ekoturystyki (turystryki ekologicznej dla miłośników przyrody, związków ornitologów-amatorów etc.). Mówiąc krótko, jest Andres Küng jednym z tych wcale licznych w Szwecji Estończyków, będących żywym przykładem tego, w jaki sposób inteligentny rząd jakiegoś państwa może wykorzystywać własną emigrację.

Tworzenie w Estonii nowego dziennika nie będzie jednak przebiegało bezkonfliktowo. Czytając o Estonii nie pamiętamy z reguły, iż cała ludność tego kraju to niespełna 1,7 miliona mieszkańców, z czego ca 65% to rdzenni Estończycy. Estonia ma więc rynek prasowy raczej na skalę europejskiego miasta niż państwa.

Oprócz specjalistycznego dziennika biznesu *Areipäev* (18 tysięcy nakładu) – wydawanego w ścisłej współpracy ze szwedzkim dziennikiem biznesu *Dagens Industri* – wycho-

dzą w Estonii trzy gazety poranne – jedna w Tartu – *Postmees* (61 tysięcy nakładu) i dwie w Tallinnie: *Eesti Päevaleht* (nakład: 36.400) i *Sonumileth* (nakład: 30.900). W Estonii nie ma po prostu miejsca na jeszcze jeden dziennik poranny, zwłaszcza że oba dzienniki z Tallina już dziś mają trudności ekonomiczne. Dlatego wydawca *Sonumileth*, Tomas Leito postawił sprawę jasno (w rozmowie z *Areipäev*): – Jeżeli nowy dziennik ma przetrwać, jakiś stary musi zbankrutować.

Łatwo przewidzieć, w jak uprzywilejowanej sytuacji będzie nowy dziennik mający za sobą szwedzki koncern Marieberg (8,6 miliardów SEK rocznego obrotu) oraz inne wydawnictwa i firmy rodziny Bonnierów.

Widmo „tych ze Wschodu”

„Nie wpuszczać krajów Europy Wschodniej do Unii Europejskiej! Wschód niepokoi Szwedów” – pod takim tytułem największy szwedzki dziennik poranny *Dagens Nyheter* (3 VI) zamieścił wyniki sondażu przeprowadzonego przez SFI, Grupę badawczą d/s studiów społecznych. Wynika z niego, iż tylko 27% badanych Szwedów jest pozytywnie ustosunkowanych do pomysłu uchylecia drzwi europejskiego salonu dla Wschodnioeuropejczyków; pozostali respondenci są wobec takiego planu bądź wątpiacy, bądź nastawieni zdecydowanie negatywnie. Warto nadmienić, że gdy analogiczne badanie opinii przeprowadzono w roku 1990, zdecydowanie negatywną postawę wobec możliwości rozszerzenia ówczesnej Wspólnoty Europejskiej na Europę Wschodnią wykazywało tylko 5% szwedzkich respondentów (dziś: 24%), a aż 47% badanych uważało wówczas, że dawne państwa satelickie powinny być szybko zintegrowane z Europą.

Szwedzki dziennik zauważa, iż istnieje niewątpliwy rozróż między oficjalnymi wypowiedziami szwedzkich polityków o rozszerzeniu składu Unii, a opinią na ten sam temat reszty obywateli.

Dodajmy jednak, że w kwestii wpuszczenia „tych ze Wschodu” do Europy, politycy, zresztą nie tylko szwedzcy, inaczej wypowiadają się publicznie, a inaczej na zamkniętych konferencjach czy naradach własnych partii.

Ze szwedzkiej perspektywy problem poszerzenia Unii Europejskiej jest praktycznie problemem Polski, a to z tego oczywistego powodu, że Polska – największy kraj Europy Wschodniej po Ukrainie – jest zamorskim sąsiadem Szwecji i że na jednego Szweda przypada pięciu Polaków.

W następstwie opuszczenia przez Zygmunta Wazę i jego stronników Szwecji w roku 1598, powstało na ziemiach polskich kilka dywersyjnych central, planujących różnorakie posunięcia przeciwko Karolowi IX, a następnie Gustawowi II Adolfowi. Jak to ujął jeden ze współczesnych nam autorów, Ingvar Andersson, „w Szwecji nieustannie obawiano się polskiej i katolickiej działalności wywiadowczej”. Historycy wiedzą, że wtedy właśnie ugruntowała się duża nieufność Szwedów wobec Polaków i jezuitów, ta nieufność, której niktłe ślady można obserwować jeszcze dziś, zwłaszcza na szwedzkiej prowincji. Jednak dla praktycznych Szwedów, którzy sami określają się z dumą jako „naród inżynierów”, konflikty odległej historii i inne imponderabilia niewielkie mają znaczenie. W roku 1990, gdy SFI dokonywała pierwszego ze swych sondaży, Polskę darzono w Szwecji sporą sympatią. Premier Mazowiecki cieszył się wielkim szacunkiem, a choć Lech Wałęsa budził już uczucia nieco mieszane, zwłaszcza z powodu swoich klerykalnych inklinacji, nikt jeszcze wtedy nie odważyłby się nazywać go na łamach szwedzkiej prasy chamem i bałwanem, jak teraz. Jednak od tego czasu wizerunek Polski nader zbladł. Już osławiona weryfikacja w wykonaniu Macierewicza wywołała w Szwecji zdumienie. Jawną niechęć budziła klerykalizacja polskiego prawa, a ostatnia „sprawa Oleksego” – choć przez media szwedzkie relacjonowana nader wstrzemięźliwie – ostatecznie ugruntowała wizerunek polskich polityków jako ludzi nieodpowiedzialnych. Ponadto – co nawet groźniejsze – efektem niezrozumiałej „sprawy Oleksego” jest przekonanie wielu Szwedów, także z kręgów wielkiego biznesu, iż Polska to kraj, w którym Rosja nadal może zmienić premiera.

Jest też oczywiste, że na chłodny, czy wręcz niechętny stosunek Szwedów do możliwości poszerzenia składu Unii ma wpływ sytuacja gospodarcza zarówno w Szwecji, jak i w Europie. Pełne szwedzkie bezrobocie wynosi nadal 12%, jeżeli jednak od wyjściowej liczby populacji odliczymy eme-

rytów, studentów i działkę szkolną, to okaże się, iż bezrobociem dotknięty jest co piąty Szwed w wieku produkcyjnym. Można więc zrozumieć, że to głównie szwedzcy robotnicy zdecydowanie negatywnie oceniają plany przyjęcia Europy Wschodniej do Unii; szwedzcy urzędnicy czy przedstawiciele wolnych zawodów nie muszą się obawiać wschodnioeuropejskiej konkurencji.

Z dużym niepokojem patrzą też Szwedzi na poważne osłabienie niemieckiej koniunktury. Niemcy, najważniejszy partner gospodarczy Szwecji, są odbiorcami 15 % szwedzkiego eksportu, ostatnio jednak coraz więcej niemieckich klientów zaczyna mieć problemy z terminowym płaceniem rachunków za dostawy; szwedzki koncern Sandvik podał niedawno, iż terminy płatności prolonguje *blisko połowa* jego niemieckich klientów-firm przemysłu maszynowego. Ponadto coraz więcej niemieckich producentów zaczyna bronić swojej części rynku przez obniżanie cen własnych produktów i akceptowanie minimalnych zysków. W Szwecji panuje przekonanie, że Niemcy nadal odczuwają konsekwencje wchłonięcia dawnej DDR. Cóż więc będzie, gdy do Unii przyjmie się szereg innych państw z obszaru postsowieckiego?

Niemcy płacą, Finowie budują, Rosjanie sprzedają

Pozbycie się z terenu dawnej DDR sowieckich oddziałów (338.800 żołnierzy i 207.400 osób cywilnego personelu) kosztowało państwo niemieckie 14 miliardów DEM oraz wymagało rozwiązania szeregu problemów logistycznych. Jednym z nich było wybudowanie w krótkim czasie 42 osiedli wojskowych, obejmujących 45 tysięcy mieszkań o łącznej powierzchni 2,8 milionów m². Przekraczało to możliwości niemieckich firm budowlanych; wszak każde osiedle dla wycofywanych z DDR wojskowych i ich rodzin to nie tylko mieszkania, ale także niezbędna infrastruktura socjalna: przedszkola, szkoły, szpitale, biblioteki, posterunki policyjne, kluby oficerskie, pawilony handlowe i usługowe. W tej sytuacji blisko połowa (46%) wojskowych osiedli budowana była za niemieckie pieniądze przez firmy innych krajów, nawet Turcji.

Szczególnie dużo zleceń otrzymały fińskie firmy budowlane: Puolimatka, YIT i Haka, wchodzące w skład szwedzkiego koncernu NCC. Przykładowo – tylko jedna z fińskich firm, Puolimatka, wybudowała dotychczas 3.200 mieszkań oraz współrealizowała szereg inwestycji infrastruktury.

Osiedla wojskowe przeznaczone są w teorii dla oficerów, pospiesznie przenoszonych na emeryturę w wieku 35-37 lat. W rzeczywistości wielu oficerów nie oparło się pokusie sprzedaży otrzymywanych darmowo mieszkań i dlatego w osiedlach mieszka już wiele rodzin cywilnych.

Jednym z osiedli, które Puolimatka wybudowała razem z kooperantem niemieckim (Philipp Holzmann) jest Wsewo-lock, położony 30 km na północ od St. Petersburga. Osiedle obejmuje 980 mieszkań, dwa przedszkola, szkołę podstawową dla 800 uczniów, nowoczesny ośrodek zdrowia oraz centrum handlowo-usługowe. Choć komputery dla uczniów w szkole są nader przestarzałe, z końca lat 80-tych, a ambulatoria – wyposażone jedynie w prostą aparaturę diagnostyczną, kontrast między standardem osiedla wojskowego i graniczącego z nim 200-tysięcznego miasta o tej samej nazwie jest uderzający. Znaleźnienie cywilnych nabywców na wojskowe mieszkania nie stanowi problemu, choć cena wynosi tysiąc dolarów za 1m². Nic więc dziwnego, że już w co szóstym mieszkaniu tego oficerskiego osiedla mieszka rodzina cywilów, choć zostało ono oddane do użytku stosunkowo niedawno, w marcu 95.

Fakt, że rosyjskie okręgi wojskowe tak chętnie zalecały budowę wojskowych osiedli właśnie firmom fińskim łatwo wytłumaczyć znakomitymi „wejściami” Finów do Rosji: Finlandia dysponuje sporą liczbą managerów i inżynierów od wielu lat znających Rosjan i ich język, a często nawet z Rosjanami spowinowaconych.

Stefan ABNER

A dlaczego w tym budowaniu osiedli wojskowych nie ma polskich firm? Przecież powinniśmy mieć „dojścia” w Rosji nie mniejsze od Finów (Red.).

Wywiady „Kultury”

Literatura jest formą eksperymentu

ROZMOWA Z BOGDANEM CZAYKOWSKIM

URSZULA ZIELIŃSKA: – *Od 1940 roku przebywa Pan poza Polską, ale pisze Pan poezję w języku polskim, które nie są traktowane w Polsce na zasadzie taryfy ulgowej, tak jak to bywało z literaturą polonijną. Intryguje wobec tego pytanie: jakie były kontakty Pana z językiem polskim?*

BOGDAN CZAYKOWSKI: – Było tak. Urodziłem się na Wołyniu, gdzie mówiono polszczyzną kresową, którą uważam za najpiękniejszą i byłbym gotów bronić tego twierdzenia. Później, kiedy miałem osiem lat, zostałem wywieziony do Związku Sowieckiego, gdzie chodziłem do szkoły rosyjskiej. W Polsce zdążyłem jeszcze pójść do drugiej klasy szkoły powszechnej, ale wywózka i szkoła rosyjska przerwały naukę w języku polskim. W obozie, w Wołogodskiej *obłasti*, byłem przez pierwszych kilka miesięcy z rodzicami, ale później już tylko z matką, bo ojca aresztowano. W obozie przebywali głównie Polacy, więc zarówno starsi jak i dzieci mówiły w nim przede wszystkim po polsku. Do szkoły polskiej zacząłem znowu chodzić w Persji a następnie w Indiach. Z tym, że w Persji nie była to szkoła w pełnym tego słowa znaczeniu: pisaliśmy patyczkami na piasku, bo ani kajetów ani ołówków czy piór nie mieliśmy. To zresztą trwało krótko. W Indiach ukończyłem polską szkołę powszechną i cztery lata gimnaz-

jum. W moim rozwoju ważną rolę zaczął wówczas odgrywać język angielski, znałem także trochę gudzarati. Sporą rolę w rozwoju mojej polszczyzny jak i zainteresowań odgrywał fakt, że byłem wodzem zuchów i należałem do Kręgu Wodzów, w którym skupiała się, by tak rzec, elita młodzieży obozowej. Wśród wodzów były osoby zainteresowane literaturą i piszące wiersze i prozę, jak Danuta Czech (znana później jako Danuta Bieńkowska, poetka) i Danuta Pniewska; obie były starsze ode mnie i wywierały na mnie (dodatni) wpływ. Sam pisywałem już wówczas wiersze (na ogół straszne!) w dzienniczku harcerskim, który zachowałem. Mieliśmy własne pisma harcerskie, a do obozu dochodziły polskie czasopisma, takie jak *Polak w Indiach* (redagowany przez Michała Chmielowca) i inne, między innymi pismo redagowane w Anglii przez Słonimskiego *Nowa Polska*. Przyjeżdżała do obozu Wanda Dynowska, tłumaczka „Bhagavadgity” oraz przyjaciółka Gandhiego. W obu obozach, w których przebywałem w Indiach, mówiono oczywiście po polsku, z tym że pierwszy obóz był sierocińcem, i było w nim jedynie kilkanaście osób dorosłych, był to więc język dzieci i młodzieży; obóz drugi był mieszany, było w nim sporo kobiet, trochę starszych mężczyzn, kilku księży, spore grono nauczycielskie.

W 1948 roku przyjechałem do Anglii, gdzie ukończyłem polskie gimnazjum, zdając maturę zarówno angielską jak i polską. Uczyłem się więc historii literatury polskiej i pisałem wypracowania po polsku. Wśród nauczycieli-polonistów, dwóch było poetami, a mianowicie Józef Bujnowski (który uczył mnie recytować Norwida) i Adolf Fierla, poeta regionalny ze Śląska Cieszyńskiego. Okres wakacji letnich spędzałem w polskich hostelach, gdzie słyszało się język polski na różnych poziomach. W hostelach przebywali ludzie wykształceni jak i niewykształceni, oficerowie, nauczyciele, rolnicy, robotnicy i przeważająca większość z nich pochodziła z Kresów. Pracowałem z nimi nieraz na różnych farmach w tym czasie, jak i później, i albo się przysłuchiwałem ich rozmowom, żartom, przekomarzaniom się i śpiewom, albo w nich brałem udział. Podsumowując ten okres, do ukończenia gimnazjum w lutym 1951 roku język polski miał w moim życiu przewagę, chociaż w szkole w Anglii niektórych

przedmiotów uczyłem się tylko lub głównie po angielsku. Nauka angielskiego wywarła wówczas na mnie spory wpływ, właśnie wtedy zafascynował mnie ten język i jego literatura, tak zresztą jak zaczęła mnie fascynować poezja łacińska.

U.Z.: – *Co nastąpiło po ukończeniu gimnazjum? Czy kontakt z językiem polskim pozostał nadal równie żywy?*

B.Cz.: – Otóż nie. Ukończenie szkoły rozpoczęło okres rozluźnienia kontaktu z językiem polskim. Najpierw poszedłem do pracy w fabryce czekolady, gdzie oczywiście mówiono tylko po angielsku, a przy tym byłem raczej samotny, ze środowiskiem polskim stykałem się raczej sporadycznie, chodziłem sporo na filmy angielskie i czytałem zapalczywie po angielsku. Następnie wyjechałem na studia historii do Dublina, gdzie znalazłem się przede wszystkim w żywiole angielszczyzny i to dwojakiego rodzaju, anglo-angielskiej i irlandzko-angielskiej. Środowisko polskie miałem, bo w Dublinie studiowało wówczas (lata 1951-54) kilkudziesięciu polskich studentów, głównie na medycynie. Ale ich polszczyzna ulegała niejednokrotnie podobnej erozji jak moja, bo nasze rozmowy intelektualne, dotyczące przedmiotów uniwersyteckich i spraw czy to kultury, czy polityki, odbywały się już często po angielsku. Moje zaangażowania uczuciowe podczas przebywania w Dublinie dobrze ilustrują fakt wyparcia polszczyzny przez angielszczyznę. Chociaż w zasadzie był to rodzaj międzynarodówki: Polka, Irlandka, Angielka i Belgijka. Koło przyjaciół i kompanów stanowili nie tylko Polacy: moim najbliższym przyjacielem był Irlandczyk, natomiast była także ściślejsza grupa polska, w której rolę królowej odgrywała Wanda, a role gracji: Krysia, Zosia i Kasia, trzy wspańiałe przyjaciółki, z którymi rozmawiało się raz po polsku, raz po angielsku, albo miesząc oba języki. Natomiast wyjeżdżałem w okresie letnim do polskich hosteli w Anglii, no a tam były młode, jeszcze nie zangliczające Polki i polszczyzna, bogata i różnorodna, choć już częściowo z naleciałościami.

U.Z.: – *Co czytał Pan w Dublinie i czy dalej pisał Pan po polsku?*

B.Cz.: – W Dublinie, a nawet podczas przebywania w hostelach, czytałem głównie po angielsku, utwory literackie, historię, filozofię, czasopisma. Tak, pisałem dalej, ale już nie tylko po polsku. Przeżywałem nawet dwa rodzaje kryzysu. Jeden to był kryzys mojej polszczyzny (a częściowo tożsamości), a drugi to był kryzys literacki. Bo gdy pokazywałem moje wiersze angielskie przyjacielom, krytykom, uznawali je za zbyt naśladowcze. Przed wyjazdem z Dublina wiedziałem już, że będę musiał podjąć decyzję, czy pisać dalej, czy nie, a jeśli tak, to w jakim języku.

U.Z.: – *Co zaważyło przede wszystkim, że jednak powziął Pan decyzję pisania po polsku?*

B.Cz.: – Po ukończeniu studiów w Dublinie, wyjechałem do Londynu. W Londynie środowisko polskie było oczywiście dużo większe, życie kulturalne całkiem bogate: moi przyjaciele anglo-irlandzcy zostali w Dublinie, w Londynie przyjaciół nie miałem, ani angielskich ani polskich. Z początku byłem bardzo osamotniony, ale właśnie wtedy zaczęły przychodzić wiersze w języku polskim. Wróciłem do wierszy pisanych po polsku w Dublinie, przepisałem je, poprawiłem. A równocześnie wysłałem do jakiejś antologii trzy wiersze po angielsku, które nie zostały przyjęte do druku. Mieszkalem w domu gdzie mieszkali sami Polacy, pracowałem także w dwóch polskich restauracjach, a następnie w restauracji angielskiej oraz w firmie buchalterskiej. Więc byłem „trochę tu a trochę tam” jeśli chodzi o język, a bałem się, że grozi mi „ni tu ni tam”. W jakimś momencie, szukając rówieśników polskich o podobnych do moich zainteresowaniach, zetknąłem się z paroma przedstawicielami tworzącej się grupy poetyckiej, znanej później jako grupa *Merkuriusza*, a szerzej jako grupa *Kontynentów*. Najpierw poznałem Bolesława Taborskiego, który zabrał plik moich wierszy pisanych po polsku i przestał swoim kolegom-poetom, Zygmuntowi Ławrynowiczowi i Januszowi Ihnatowiczowi (do Kanady!). Wkrótce otrzymałem dosyć sążniste ale wartościowe uwagi na temat moich wierszy zarówno od Taborskiego, jak i Ławrynowicza, i Ihnatowicza. Niebawem poznałem innych młodych poetów polskich,

Floriana Śmieję, Adama Czerniawskiego. Poznałem także moją przyszlą żonę, Polkę. Redagowaliśmy jedno pismo, potem drugie. Gdy otworzyły się możliwości uzyskania stypendium na studia, zupełnie świadomie wybrałem literaturę polską na uniwersytecie londyńskim, gdzie profesorem był Jerzy Pietrkiewicz, poeta, krytyk. Brałem czynny udział w działalności Zrzeszenia Studentów i Absolwentów Polskich na Obczyźnie. Debiutowałem podwójnie, bo równocześnie (w maju 1955 roku) w naszym piśmie (*Merkuriusz Polski*) oraz w paryskiej *Kulturze*. Tak rozpoczęła się moja kariera literacka na obczyźnie.

U.Z.: – *Czy więc problem języka przestał istnieć?*

B.Cz.: – Bynajmniej, ale staraliśmy się z tym uporać. Czerniawski, na przykład, w jakimś momencie strofował mnie, że w rozmowie makaronizuję. Pozbyłem się tej przywary, na którą pozostałem zresztą bardzo uczulony. Moje studia polonistyczne pozwoliły mi zapoznać się dokładniej z literaturą polską od „Bogurodzicy” po Młodą Polskę, sam czytałem pisarzy bardziej współczesnych. Bodajże w 1955 roku odkryłem Różewicza, którego „Wiersze zebrane” omówiłem w programie radiowym polskiej sekcji BBC. Przedtem napisałem recenzję z tomików trzech młodych poetów londyńskich, Gniatczyńskiego, Śmieji i Ławrynowicza, do pisma młodych chadeków, z którymi byłem przejściowo związany. Ale za swój debiut krytyczny uważam artykuł w *Merkuriuszu Polskim* o poezji Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej (1956). W 1957 roku rozpocząłem studia magisterskie u Pietrkiewicza i napisałem sporą pracę na temat teorii poetyckich w Polsce od Przesmyckiego do Awangardy. Zapoznałem się wówczas z całym wachlarzem poezji polskiej okresu 1890-1939, poznałem w Paryżu Brzękowskiego, który nie tylko stanowił dla mnie źródło informacji o futuryzmie, poetach *Zwrotnicy* czy *Linii*, ale był przykładem pisarza dwujęzycznego (podobnie zresztą jak Pietrkiewicz), pisywał bowiem zarówno w języku polskim, jak i francuskim. W Londynie, oprócz młodych poetów związanych z *Kontynentami*, bliski mi był Tadeusz Sułkowski, któremu niektóre

z moich wierszy się podobały, a ceniłem jego zdanie. Przez pewien czas byłem członkiem polskiego teatryku eksperymentalnego w Londynie „Pro Arte”, gdzie grałem w paru sztukach (jako aktor byłem okropny) i pomagałem w reżyserii. Wszystko to odbywało się w języku polskim. Zaczęli także przyjeżdżać do Londynu po Październiku pisarze, politycy, filozofowie, publicyści, studenci: urządzaliśmy spotkania, zarówno prywatne (nawet skrycie) jak i publiczne, bo to była jednak współczesna Polska, współczesny żywy język polski. W ten sposób miałem możliwość rozmawiania z Zawiejskim, Kisielewskim, Woźniakowskim, Herbertem, Juliuszem Poniatowskim, ba, z Kliszko, Olszowskim (późniejszym twardegłowym), Górnickim (którego poszczerbione zęby do dziś pamiętam), Eską. Interesowali mnie oczywiście także ci, co Polskę opuszczali na stałe: w Londynie poznałem Tyrmanda w czerwonych skarpetkach i jego ówczesną chyba żonę, Małgosię, z koszyczkiem na rączce, w ogromnym słomkowym kapeluszu; w Maisons-Laffitte u Giedroycia rozmawiałam z Hłaską, itd. Czytałem wtedy namiętnie wszystko co krajowe, zadłużając się po uszy we wspaniałej księgarni Scharfa, gdzie kupowałem i *Nowe Drogi* i *Po prostu, Twórczość* i *Pamiętnik Literacki*, a także dzieła zebrane i pojedyncze najwybitniejszych polskich pisarzy, od Kochanowskiego po Leśmiana. Byłem stałym czytelnikiem Biblioteki Polskiej w Londynie, którą kierowała Maria Danilewiczowa, zawsze życzliwa poczynaniom młodych, a tam można było czytać bieżące tygodniki krajowe i emigracyjne oraz *Kulturę*, którą zacząłem pochłaniać jeszcze w gimnazjum, odkrywając już w 1951 roku Gombrowicza. Przez pewien czas parałem się dziennikarską publicystyką, prawie współredagując tygodnik *Odgłosy*, który zresztą okazał się ekspozyturą reżymową. Robiłem więc bardzo dużo, żeby moja polszczyzna wzbogaciła się zarówno o wymiar historyczny jak i nabrała barwy współczesnej. Miałem wówczas niesamowitą potrzebę widzenia się w druku, istnienia w języku polskim na różne sposoby. Co zresztą świadczyło chyba o sporym niepokoju wewnętrznym, niepewności podsycanej przez rzadkie i niezbyt pozytywne czy optymistyczne wypowiedzi na nasz temat starszych pisarzy emigracyjnych. Nie byłem w tych latach poetą, który czuje własny styl i napisałem sporo

złych wierszy, ale powoli dopracowywałem się świadomości, jak chciałbym pisać, a od czasu do czasu udawało mi się napisać wiersz, który i formalnie, i tematycznie wzbudzał zainteresowanie, czy nawet podziw. Niewątpliwie, jak to określił kiedyś Miłosz, starałem się „*to transform, through awareness, one's weakness into material and, thence, into the source of one's energy*”. Bo w tej sytuacji i problematyce językowej jak i psychiczno-ideowej (kim jestem?) tkwiły różne możliwości. O jednej z nich mówił tytuł mojego pierwszego tomiku wierszy (1957), który brzmiał „Trzciny czcionek”.

U.Z.: – W 1961 roku, jako redaktor Kontynentów, zorganizował Pan dyskusję redakcyjną pt. „Dyskusja o języku”, ze znaczącym podtytułem „Cena wolności?” Co oznaczał dla Pana wtedy ten podtytuł?

B.Cz.: – Ta dyskusja to był istotny moment samo-określenia się grupy i chyba każdego z nas. Bo chociaż nigdy nie stanowiliśmy grupy poetyckiej w ścisłym tego słowa znaczeniu i chociaż świadomie broniliśmy się przed formułowaniem jakiegoś grupowego programu poetyckiego, pisanie manifestów, to łączyła nas jednak nasza sytuacja językowa i nie tylko językowa. Podtytuł określał jeden istotny aspekt sytuacji, fakt, że odrzucając powrót do Polski (inaczej niż Jerzy Sito, członek naszej grupy, który oświadczając, że „życie nie jest partią brydża”, wrócił do Polski) ze względu na ograniczenia wolności twórczej w kraju, płacimy za to pewną cenę, której w całej jej rozciągłości czasowej nie da się przewidzieć. Ryzykujemy przegraną naszych aspiracji poetyckich czy, szerzej, literackich, właśnie ze względu na naszą sytuację językową, choć nie tylko. Ryzyko przez nas podejmowane, jak to ujawniła dyskusja, było większe niż normalne ryzyko młodych pisarzy piszących we własnym kraju, w środowisku twórczym, w kontekście dyskursów krytycznych, z wewnątrz, by tak rzec, żywego, zmieniającego się, codziennie obecnego i używanego języka. A równocześnie, jak wtedy argumentowałem ja i niektórzy moi koledzy, ta trudna sytuacja stanowiła szczególnie rodzaj wyzwania. Nasza próba, by zaistnieć jako poeci w języku polskim poza Polską, czyniła

z naszego pisarstwa swoisty eksperyment. Był to eksperyment zarówno literacki jak i egzystencjalny, bo na przykład, mając do czynienia z tym, co określiłem wówczas schizofrenią językową (chodziło mi o to, że myśleliśmy raz po angielsku, a raz po polsku i to na różnych poziomach), musieliśmy szukać sposobów integracji wieloaspektowej, a będąc pisarzami obcymi, ze względu na język, w społeczeństwach do których konkretnie należeliśmy, musieliśmy równocześnie szukać dla siebie miejsca określonego inaczej niż geograficznie, narodowo czy społecznie i próbować nie dać się zniszczyć atakującej nas próżni dosyć w końcu wymownego milczenia. Tę sprawę mógłbym rozwijać dużo szerzej, ale to temat do innej dyskusji.

U.Z.: – W 1962 roku miał już Pan pewną renomę poetycką na emigracji, redagował Pan pismo literackie, drukowała Pana Kultura, był Pan w Londynie, czyli ośrodku najbardziej może żywym kulturalnie poza Polską. A jednak zrezygnował Pan z redagowania Kontynentów i wyjechał do Kanady, do odległego Vancouver. Dlaczego?

B.Cz.: – Przyczyn było więcej niż jedna. Ważną przyczyną była trudność znalezienia pracy w moim zawodzie (a w szkole angielskiej nie chciałem dłużej uczyć za skarby świata). W końcu miałem dwoje dzieci. Straciłem nadzieję, że *Kontynenty* da się przekształcić w stały warsztat pracy, że będzie to druga *Kultura* na emigracji, tylko inna. To nie było realistyczne. A przy tym, jak pisałem w wierszu, który czytałem na jednym z moich nielicznych wieczorów poetyckich przed wyjazdem z Londynu, chcieliśmy z żoną mieć życie indywidualne. Z Londynu w zasadzie uciekliśmy, żeby się zmierzyć z losem na własny rachunek:

Jeżeli podasz mi ramię

Poszukamy i my naszego miejsca w słońcu.

Bo Londyn to była namiastka polskości, także językowej. zamiast oszukiwać się, lepiej było, tak nam się wydawało, uczynić sytuację ostrzejszą, uczynić eksperyment eksperymentem

tem rzeczywistym, oddalić się od niedorzeczywistości emigracyjnego świata.

U.Z.: – *Czy były tego koszty, właśnie poetyckie?*

B.Cz.: – Tak, były. W latach 1970-tych gnębił mnie dotkliwy kryzys, o czym świadczą takie wiersze jak „Krisis” (dotąd nie drukowany) czy „Martwia”. Być może wywołał go, czy zaostrzył, a to się może wydawać paradoksem, nasz wyjazd do Polski w 1973 roku. Słyszeć język polski cały czas wokół siebie, to był swego rodzaju szok, jak to dziś mówią, kulturowy, przeżycie rzeczywiście dramatyczne. A poza tym było jasne, że moja polszczyzna a tamta polszczyzna są pod pewnymi względami inne. Niekoniecznie ta „żywa mowa” mi się podobała, nie we wszystkim. Moje odczucie języka polskiego uwyraźniło się, ale powróciło pytanie zasadnicze: czy można być dobrym, wybitnym poetą w jakimś przynajmniej stopniu z zewnątrz współczesnego języka, w którym się pisze? Bliskość Miłosza po linii wybrzeża Pacyfiku dopingowała i zobowiązywała do pewnego poziomu, ale równocześnie trudno było nie pamiętać o tym, że ja znalazłem się poza Polską w wieku lat ośmiu, a on w wieku lat czterdziestu. Zobowiązywała także znajomość znakomitej poezji Białoszewskiego, Różewicza, Herberta. Eksperyment, którego się podjąłem, zarysował się ryzykowniejszy niż przypuszczałem. I wobec tego jeszcze ciekawszy. A żywa polszczyzna w niewiele lat później zaczęła napływać do Vancouver wraz z emigrantami z okresu Solidarności i stanu wojennego. Jak nie Mahomet do góry, to góra do Mahometa – takie są nieraz nieprzewidziane konsekwencje historii.

Zasugeruję jeszcze w tym momencie, jak można by rozwinąć poruszany tutaj zasadniczy temat. Otóż język współczesny to tylko jedna, ostatnia, warstwa struktury dużo bogatszej, bardzo złożonej, języka narodowego jako pewnego continuum. Pełna świadomość językowa wymaga zarówno perspektywy przeszłości jak i przyszłości. A co jeszcze bardziej istotne, język narodowy jest w końcu jedynie szczególnym przypadkiem języka w ogóle, lingwistycznego uniwersum ludzkości, człowieka jako zjawiska dramatycznie zagadkowego.

U.Z.: – *Są ludzie, którzy ze względów emocjonalnych czy intelektualnych, będą czytać Pana wiersze zawsze, a zwłaszcza ci, którzy przeszli przez podobne doświadczenia, jak Pan. Zadają sobie pytanie, jak ja bym odbierała Pana wiersze nie mając swoich przeżyć emigracyjnych.*

B.Cz.: – Pytanie ciekawe; zawiera się w nim sugestia, która wskazuje na pewien istotny aspekt ryzyka i eksperymentu, o których mówiłem. Odpowiedź zasadnicza wymagałaby dużo szerszych ram niż nasza rozmowa. Może tylko wspomnę, że wszyscy jesteśmy wygnani z kraju dzieciństwa, lub, jak napisał mój przyjaciel, Andrzej Busza, że

*my tu i tak
tylko tranzytem*

U.Z.: – *Czy zgodziłby się Pan z opinią, że poezja jest takim samym sposobem na życie, jak nauka?*

B.Cz.: – Przypomina Pani tym pytaniem zadawniony spór między poezją i nauką. Od końca wieku XVIII poezja, czy w ogóle literatura, czuje się w defensywie wobec nauki. Literatura, jak i zresztą religia, próbuje bronić się przed krytyką, która wynika z naukowego poglądu na świat. Ja nie mam wątpliwości, że poezja ma własną precyzję, że nie jest tylko werbalizmem (choć czasami, a może nawet często, jest nim), że mówi rzeczy istotne, prawdziwe. Literatura jest formą eksperymentu. Postacie w powieściach, narracja, fabuła, głos, tok liryczny, myśl poetycka, odkrywczość metafor, struktura składni – to są próby tworzenia pewnych modeli, próby rozumienia, znalezienia się w świecie zarówno w sensie intelektualnym jak i uczuciowym, moralnym jak i psychicznym. W bardzo istotnym sensie język jest światem człowieka. Nie, nie czuję się w defensywie pisząc wiersze.

U.Z.: – *Czy możemy się spodziewać wydania czy wznowienia Pana wierszy w najbliższym czasie?*

B.Cz.: – Mam właściwie gotowy do druku tom wierszy. Jeszcze się nie spieszę, ale myślę, że najpóźniej w lecie 1996 roku zacznę szukać wydawcy. Obecnie mam gotową do druku antologię polskiej poezji na obczyźnie, 1939-1995. Mam nadzieję, że znajdzie się dobry wydawca, i że książka ukaze się w następnym roku.

U.Z.: – *Bardzo serdecznie dziękuję za rozmowę.*

Rozmawiała Urszula ZIELIŃSKA

O „Prosto z Mostu”

ROZMAWIAJĄ STEFANIA KOSSOWSKA
I JERZY PIETRKIEWICZ

STEFANIA KOSSOWSKA: – Mam przed sobą zbiorową karykaturę współpracowników *Prosto z Mostu*, którą parę lat temu przywiozłeś mi z Warszawy. Zrobił ją w 1936 r. Juliusz Żebrowski, stały rysownik pisma. Ze starszych pisarzy są na niej m.in. Adolf Nowaczyński, Kazimiera Iłakowiczówna, Zygmunt Nowakowski, Karol Irzykowski, Tytus Czyżewski, Michał Pawlikowski. A wśród młodych, obok redaktora Stanisława Piaseckiego – Jerzy Andrzejewski, Wojciech Bąk, Bolesław Miciński, Konstanty Regamey, Wojciech Wasiutyński, Konstanty Ildefons Gałczyński, a także my oboje, ja jeszcze jako Szurlejówna i Ty, z rozwichrzoną czupryną, najmłodszy. Poza nami dwojgiem nikt z nich już nie żyje. Kilku zginęło w czasie wojny, inni odeszli naturalną śmiercią.

JERZY PIETRKIEWICZ: – Rzeczywiście bardzo wcześnie debiutowałem w *Prosto z Mostu*. Młody dziennikarz z Torunia pokazał Piaseckiemu mój tomik „Wiersze o dzieciństwie” i on, ku mojemu zdumieniu, ogłosił cztery z nich na pierwszej stronie tygodnika pod swoim artykułem o Piłsudskim. Był to koniec maja 1935. Ostatnie zdanie jednego z moich wierszy „Bajki o Polsce”, brzmiało: „A z portretu ktoś patrzył, nie wzrokiem lecz brwiami” – aluzja do Piłsudskiego, jakby dopasowana do artykułu. Potem redaktor chciał mnie zobaczyć. Przyszedłem, miałem wtedy 18 lat. Warszawa literacka wyglądała w moich oczach na *establishment*. Piasecki wypytывał mnie o moje strony rodzinne, o to co chciałbym pisać. Po kilku miesiącach przyniosłem mu poemat „Prowincja”, rodzaj reportażu regionalnego. Dwa tysiące wierszy. Zerknął tu i ówdzie – „Ja to wydrukuję”. I wydrukował w sześciu kolejnych numerach. Czytelnicy byli zdumieni. Stałem się nagle znany.

S.K.: – Ja znalazłam się w *Prosto z Mostu* bez żadnej literackiej zasługi. Chyba nigdy Ci nie mówiłam, że byłam przy narodzeniu *Prosto z Mostu*, a w każdym razie przy przygotowaniach do narodzin. Bo pamiętam rozmowy u nas w domu między Piaseckim, Nowaczyńskim i Strzetelskim, redaktorem popularnego *Wieczoru Warszawskiego*, a także *ABC*, gdzie Piasecki od kilku lat prowadził dodatek literacko-artystyczny i właśnie zamierzał go przekształcić we własne, samodzielne pismo.

Bez entuzjazmu przysłuchiwałam się tym rozmowom – które zresztą głównie obracały się koło spraw praktycznych, administracyjno-finansowych a nie ideowych – bo rozumiałam, że jednym z celów nowego pisma ma być konkurencja z *Wiadomościami Literackimi*, na których się wychowałam. Nie podobał mi się też tytuł pisma, jaki kiedyś rzucił Piasecki, wydał mi się niepoważny, zamaszysty, niewłaściwy dla literackiego pisma.

Już zaczęłam wtedy pracę dziennikarską w obu pismach Strzetelskiego. W *Wieczorze Warszawskim* zamieszczałam felietonowe sprawozdania sądowe, a w *ABC* czasem coś większego. Kiedyś dostałam z Polski wycinek właśnie z *ABC* z 1936 r. z moim całostronicowym reportażem z wizyty stu-

dentów prawa w szpitalu dla umysłowo chorych.

W czasie tych rozmów o nowym piśmie, Nowaczyński, bliski przyjaciel Ojca, mruczał do mnie w trzeciej osobie, jak to on zwykle: „Będzie tam pisała”. I było rzeczą naturalną, że Piasecki proponował mi współpracę, gdy pismo powstawało.

J.P.: – Nowy tygodnik przeorał glebę literatury, odmłodził ją, dał możliwość rozwoju wielu pisarzom. Jerzy Andrzejewski, Gałczyński, Straszewicz, Bąk, Pietrzak, Wasiutyński. A wśród samorodnych talentów ze wsi nie o jakąś przynależność polityczną chodziło, bo drukowali: sandomierzanie Koseła, Nędza-Kubiec – góral, Skuza z ruchu chłopskiego „Wici” i ów Błachnio, który rzeczywiście pisał pasąc krowy, a Piasecki zebrał pieniądze by mu dać stypendium. Debiutantom dawał możliwość wydawania książek, np. Andrzejewskiego „Drogi nieuniknione”, Straszewicza „Gromy z jasnego nieba”, pierwsze pełne wydanie „Utworów poetyckich” Gałczyńskiego. Nikt się przedtem na to nie zdobył.

Dołączyli wkrótce uznani pisarze: Irzykowski, Nowaczyński, Zygmunt Nowakowski, Ojciec Bocheński, ten od tomizmu, Iłakowiczówna. Jej wiersz „Modlitwa za Niemców” ma szczególną wymowę w ostatnim numerze *Prosto z Mostu* z września 1939.

S.K.: – Bardzo mało znałam współpracowników *Prosto z Mostu*. Nigdy nie lubiłam gromadnego życia, zbiorowych spotkań, konwentykli, zawsze trzymałam się z boku. I może tylko kilka razy byłam w redakcji na Książęcej, choć była blisko mego domu i choć towarzysko znałam oboje Piaseckich, których tam zawsze mogłam zastać, bo pani Irena była sekretarką redakcji.

Ciebie pierwszy raz spotkałam właśnie w redakcji, na „herbatce”, na której się jakoś znalazłam. Bardziej niż innych – i z wielką sympatią – wspominam Regameya, może dlatego, że byłam w tym czasie blisko związana z młodym muzycznym środowiskiem Warszawy. Dopiero w Londynie, w czasie wojny, zaprzyjaźniłam się z seniorem Zygmuntem Nowakowskim, z Karolem Zbyszewskim i Wojciechem Wasiutyńskim – i z Tobą.

Z Andrzejewskim mineliśmy się kiedyś w redakcji i gdy z początkiem lat 60-tych spotkałam go na wernisażu w *Galerie Lambert* Romanowiczów w Paryżu, był bardzo wielki i z kwaśnym uśmiechem przyjął moje złośliwe wtedy przypomnienie wspólnej przeszłości w *Prosto z Mostu*. Nie uległ nawet urokowi obecnego tam Wierzyńskiego, który głodny współudziału w krajowym życiu literackim, przywitał go ze swoją znaną spontanicznością, lodowato przyjętą przez Andrzejewskiego, co Kazimierza bardzo ubodło.

J.P.: – Piasecki swój zbiór szkiców zatytułował „Prawo do twórczości”, prawo dla wszystkich, szczególnie dla tych, którzy nie mieli dostępu do środków przekazu, którzy tkwili w „polach milczenia”, jak ja to po latach nazwałem. W tym czasie drukował w *Prosto z Mostu* serię swych rozważań sędziwy Aleksander Świętochowski – miał wtedy 86 lat. Jego „Genealogia teraźniejszości” mówiła o „chorobotwórczych nawykach”, o tych dziedzictwach historycznych, które przynosiły wolne państwo polskie, o stosunku do mieszczan, do chłopów. Wywarła na mnie ogromne wrażenie. Pamiętaj, że *Bunt Młodych*, tytuł pisma, także odzwierciedlał to, co pokolenie wychowane i często już urodzone w niepodległej Polsce chciało przetwarzać, a możliwości były ograniczone. Podróżować? Poznać świat? Kto z nas miał na to pieniądze? Frustracja, gniew młodości – czy mogły sprzyjać tolerancji?

Piasecki potrafił wydawać pismo przy braku funduszy. Liczył na czytelników i zdobył ich. Tygodnik, który trwał niecałe pięć lat, w 1939 r. osiągnął taki nakład jak *Wiadomości Literackie*, dochodząc do 15 tysięcy.

S.K.: – Bo Piasecki był doskonałym redaktorem, który nie zdążył w pełni rozwinąć wszystkich swych możliwości – miał 35 lat, gdy rozpoczął wydawać *Prosto z Mostu* i 41 lat, gdy zginął. Umiał zainteresować różnych czytelników, a także odkrywać i uszanować talenty i skłonności współpracowników, którym zostawiał wielką swobodę w tym co i jak chcieli pisać. Mogłam to sprawdzić na własnym przykładzie. Nic mnie nie obchodziło poza literaturą, muzyką, sztuką i mogłam o tym pisać bez jakiegokolwiek ingerencji z jego strony. Robiłam więc wywiady, czy raczej literackie reportaże

ze spotkań głównie z pisarzami, ale nie tylko. Był wśród nich Choromański, Kuncewiczowa, Nałkowska, Gojawiczyńska, Karol Szymanowski, Lifar z wizytą w Warszawie czy Marion Anderson, sławna murzyńska śpiewaczka. Piasecki nigdy nie narzucał mi żadnego nazwiska, ani nie sprzeciwiał się mojemu wyborowi, np. gdy wybrałam się do lewicującej pary literackiej – Heleny Boguszewskiej i Jerzego Kornackiego. Czasem rzucał tylko lekko jakąś zawodową uwagę w rodzaju „czy nie za długie”, „za dużo przymiotników”, co mi się później bardzo przydawało.

Podobnie jak ja mogli pisać i pisali tylko na swoje tematy inni, Regamey, Bolesław Miciński, bez żadnej zależności od redaktorskiego kierunku pisma, bez żadnych ograniczeń czy wskazówek.

Wszystkie swoje namiętności polityczne, ideowe, społeczne Piasecki wyładowywał we własnych artykułach. Rozpiętość jego zainteresowań była zdumiewająca, co niekoniecznie można uważać za komplement. Najbardziej pasjonowała go polityka, sprawy społeczne, ustrojowe, ale pisał o wszystkim, tak o kapitalizmie, o sytuacji na wsi, jak o teatrze, literaturze, muzyce (był szczególnie wielbicielem Szymanowskiego), o taternictwie, harcerstwie, sporcie (ojciec jego był pierwszym profesorem wychowania fizycznego na uniwersytecie w Poznaniu), o komunizmie (wrogo) i nacjonalizmie (z uznaniem).

Zaskakujący był kontrast między jego drobną, szczupłą postacią, o twarzy schowanej za okularami, o wyglądzie poprawnego urzędnika czy gimnazjalnego nauczyciela, jakich nie zauważa się na ulicy, a kipiącym w nim wulkanem, który nieustannie wybuchał nowymi ideami i pasją przerabiania świata na swoją modłę.

Obca wszelkim sprawom politycznym i społecznym, zamknięta w młodzieńczym egocentryzmie, nie interesowałam się tym, co on wyrzucał z siebie w swych namiętnych, cotygodniowych, o ile pamiętam, artykułach. Rzucałam na nie okiem, by wiedzieć o czym mowa – i nie czytałam ich. To nie były moje sprawy. Dzisiaj myślę, że powinnam była je czytać, by brać jakiś dojrzały udział w tym, co pismo przedstawiało. Ale wtedy szkoda mi było czasu, by się dowiadywać o roli rzemieślników, zamiast przeczytać nową

książkę Huxley'a. Czuję nieraz wyrzuty sumienia z tego powodu, zwłaszcza gdy chodzi o stosunek *Prosto z Mostu* do Żydów.

J.P.: – 12 czerwca 1941 rozstrzelano Piaseckiego na Palmirach razem z Maciejem Ratajem – ludowcem i Witoldem Hulewiczem, tłumaczem mądrego poety Rilkego. Rilke wyjaśniał swoje koncepcje anioła, dojrzewania do śmierci w sławnych dziś listach. Studiowałem te Hulewicz-Briefe do egzaminu na uniwersytecie w St. Andrews. Cóż ci trzech strażnicy myśleli, patrząc w swą niedojrzałą śmierć? Co myślał Stanisław Piasecki, jeden z „polskich faszystów”, bo tylko tak pisali o nim owi wciąż niepokalani, którzy popychali rydwan Wielkiego Budowniczego Łągrów *ad maiorem XX seculi gloriam*.

Czy wolno być prokuratorem *ad infinitum*?, trzymając się kurczowo jakiejś generalizacji? Każda bowiem generalizacja jest początkiem uprzedzeń, jak powtarzał Martin Buber. Sądzę, że historyk, szczególnie w naszym wieku, musi odkadzać i oczyszczać łatwe uogólnienia, fałszowanie faktów, pomijanie pełnego kontekstu, w którym ludzie działali.

Norwid by pewnie zapytał po swojemu: „Sąd czy przesąd”?

S.K.: – Zgadzam się z Tobą co do niebezpieczeństwa generalizacji, ale czasami trudno uniknąć uogólnień. *Prosto z Mostu* miało zasługi kulturalne, okazywało troskę o codzienną rzeczywistość kraju i sprawiedliwość dla jego obywateli, w dużej mierze cechował je redaktorski liberalizm, ale nie da się zaprzeczyć, że z obrazem pisma kojarzył się na pierwszym miejscu antysemityzm samego redaktora i części jego współpracowników, na co dziś jesteśmy specjalnie uczuleni po tym, co się stało później.

J.P.: – Może procent krwi żydowskiej, przekazanej Piaseckiemu po dalszej rodzinie ze strony matki, był sekretem jego konfliktu z własną osobowością? Pamiętam nowelę Straszewicza „Mojżesz”, która dotyczyła podobnego problemu. Redaktor ją cenił, teraz lepiej rozumiem dlaczego.

Mimochodem – Straszewicz to, według mnie, wielkiej

klasy prozaik. O dziwo, poznał się na tym Anglik, Auberon Herbert.

S.K.: – Wracając od generalizacji, wydaje mi się, że trzeba odróżnić generalizację uzasadnioną od tendencyjnej, jaką w wypadku *Prosto z Mostu* było utożsamianie ideologii pisma ze wszystkimi, którzy je czytali czy w nim pisali, a także z całym odłamek społeczeństwa o prawicowych przekonaniach, tak łatwo zwanych „reakcją”.

Gdy zaczęłam redagować londyńskie *Wiadomości* z początkiem lat 70-tych, dostałam z Polski wycinek z felietonem Kazimierza Koźniewskiego – nie pamiętam z jakiego pisma – który się w nim przyznał, że przewertował roczniki *Prosto z Mostu*, by znaleźć w nich jakieś moje „endecko”-antysemickie wypowiedzi i smakowicie przeciwstawić im mój przeskok do potomka warszawskich *Wiadomości Literackich*, owej „żydokomuny” według oficjalnej ówczesnej etykiety.

Nic nie znalazł, a szukał dlatego, że mój dom był, jak powszechnie wiadomo, „endecki”. Był nim w tym sensie, że mój ojciec należał do Stronnictwa Narodowo-Demokratycznego, do którego wstąpił z końcem ubiegłego wieku jako student prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdy ta przynależność była deklaracją patriotyczną a nie polityczną...

J.P.: – ...tym bardziej, że pojęcie „wszechpolaka” oznaczało jednorodność polskości bez podziałowego myślenia według rozbiorów.

S.K.: – Termin „endeckość” w jego pejoratywnym znaczeniu został ukuty bodajże dopiero w 1918 r., gdy zaczęły się wewnętrzne walki polityczne i partyjne pyskówki, jak to u nas bywa, gdy dorwiemy się do wolności. I przeciwnicy szybko zaczęli przekonania prawicowe utożsamiać z prostackim, pyskatym, polskim antysemityzmem, który więcej nam zrobił szkody w opinii świata, niż *Holokaust* zrobił Niemcom.

Mój ojciec, „endecki” adwokat, przyjmował aplikantów Żydów na równi z innymi i w jego kancelarii można było spotkać Dmowskiego (Eugeniusza nie Romana!) obok Flau-ma i Goldfarba. Uważaliśmy to w domu za rzecz naturalną,

nie wymagając komentarzy, tak jak nie dziwiło mnie, że mój stary stryj, ks. Jakub, kanonik w Leżajsku, również członek Stronnictwa Narodowego (jeszcze wtedy, gdy nazywało się Ligą Narodową), zakochany w poezji, który mógł godzinami recytować Słowackiego, list do mnie zaczynał krzyżykiem, a potem były zachwyty nad Tuwimem.

Wśród znajomych i przyjaciół rodziców bywali u nas, oczywiście, „endecy”, jak ci, o których wspominałam, Nowaczyński, Strzetelski, Piasecki, Stroński i in., ale nie pamiętam żadnej rozmowy o „kwestii żydowskiej”, czy o Żydach inaczej niż o innych znajomych.

Oczywiście bywały różne domy „endeckie”, ale nie sądzę, by mój był wyjątkiem.

J.P.: – Takie pojęcia jak „narodowość”, „kosmopolityzm”, dość się pozmieniały w ciągu naszego wieku. Ale nie mieć silnego poczucia narodowego, kiedy wreszcie powstało wolne państwo, byłoby wtedy oznaką biologicznego niemal braku rozsądku.

S.K.: – Piasecki żył i umierał gwałtownie, zostały po nim wielkie zalety i wielkie błędy, i chwila bohaterskiej walki, gdy bronił się w warszawskiej piwnicy do ostatniego strzału. Zanim zginął – jestem pewna, że przejrzał i zrozumiał co oznaczał ów „fasyzm”, którego zamię przylgnęło do niego.

J.P.: – Miał ponoć okazję, by opuścić kraj przez starania wpływowej Polki, której mąż był arystokratą włoskim. Odmówił.

Był mi zawsze przyjazny, ale przy dużej różnicy lat trudno mówić o bliskiej przyjaźni. Jeszcze dostałem od niego kartkę przez Czerwony Krzyż w Bukareszcie w 1939 r. Cieszył się, że żyję. Życzył mi bym przeżył, bo mogę być pożyteczny. Taka szkoda, że zgubiłem tę kartkę.

Zabierany z Pawiaka z transportem więźniów na Palmiry, wsiadając do ciężarówki, ruchem głowy i uśmiechem dał znak patrzącej z okna „Serbii” żonie, że to nic, tylko zmiana więzienia.

W ostatniej chwili na świstku papieru napisał do niej, którą niedługo potem zabrano do Ravensbrück: „Wybacz, że

Polskę kochałem więcej niż Ciebie i dziecko”.

Gałczyński, gdy wrócił do Polski, pożegnał go wierszem:

Kochał Szymanowskiego. Lubił ptaki.

Wydawał Prosto z Mostu. Pił czasami.

I okulary nosił tajemnicze. I w takich

pochylał się nad partyturami. (...)

Błądził jak ludzie, co mają dużo siły.

Łachudry nie błądzą. On był jak lira.

Strzał w struny. I dobrze za błąd zapłaciły

okulary zakrwawione na Palmirach.

Teraz jest z Karolem. U fontann Aretuzy.

W okularach. W ilustrowanym niebie –

Gdzie Matka Boska krzyczy na nieparzyste muzy...

Rozmawiała Stefania KOSSOWSKA

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA

W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

– Literatura piękna i fachowa,

– Albumy, plakaty, pamiątki,

– Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne

oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Kraj

Polska powiatowa

Obiecywałem sobie solennie więcej nie pisać o sprawach polityki krajowej, czyli o tym czymś czego nie ma. No i co? Słabość charakteru, szmaciarstwo, degrengolada. Zresztą obiecywałem sobie także nie pić, nie obżerać się i nie mówić rzeczy przykrych najbliższemu, a tymczasem... Jeśli jednak porywam się do pisania, czynię tak w pełni świadom, że i tak pożytku z tego nie będzie, nikogo nie uda mi się opamiętać, tyle tylko, że wobec potomności będę miał alibi: „a ja byłem przeciw”. Że owej potomności moje bycie przeciw po prostu zwiśa, to już inna sprawa i inne zmartwienie. Tyle, że nie moje.

Pośród nieustannych sporów, a raczej swarów, pojawił się ostatnimi czasy temat nowy, czy może lepiej – staronowy, który należy do repertuaru prolegomenów kampanii wyborczej, zbliżającej się przecież nieuchronnie. 95% zabierających w tej materii zdanie myśli bowiem tylko o własnej stołkowej przyszłości, a pozostałe 5% to typowi naprawiacze i niewyżyci reformatorzy, którzy naprawianie (czyli reformowanie) uważają za swe posłannictwo i swą charyzmę, czyli uprawiają sztukę dla sztuki. W tym kraju nie ma już bowiem „państwowców”, którzy by myśleli o państwie inaczej jak w kategoriach własnego interesu, jak o poligonie prywatnych i partyjnych uwłaszczeń. Ostatni polski „państwowiec” – istny żubr przeniesiony nad Sekwanę z nadniemeńskich ostępów – siedzi od dawien dawna na emigracji, a kto on taki, tego nie zdradzę, najważniejsze, że Redaktor *Kultury* wie o kim mowa i chyba nawet bardzo dobrze go zna osobiście.

W każdym kraju funkcjonuje i będzie w przyszłości

funkcjonować znaczna liczba ludzi, którzy chcieliby wycisnąć z państwa maksimum korzyści, oczywiście głównie materialnych, szczególnie jednak sytuacja wytworzyła się w krajach post- czy niby postkomunistycznych, zwłaszcza w Europie Środkowej i Wschodniej. Tu zbyt długo trwała władza utopii, która słowem „państwo” szermowała nieustannie, z nim się utożsamiając, aby byli obywatele teź nie utożsamili właśnie z państwem utopii, a ponieważ takowa ich wyzyskiwała i okradała uznali, że państwo nie jest niczym innym jak tylko reliktem tamtej formacji i należy je okradać permanentnie i bezlitośnie. To dość zabawne, gdy „król-słońce” stwierdzał, że państwo to on, ale kiedy tak myśli pan Kowalski, pan Novak i pan Dupcew rzecz nie jest ani zabawna, ani tym bardziej sympatyczna. Mój Boże, czy ja doczekam chwili, w której pojawi się w tej mojej nieudaczej ojczyźnie jakiś większy zastęp ludzi myślących o państwie jako o czymś niezbędnym, jako o podstawie bytu narodu czy społeczeństwa (biorąc pod uwagę wielonarodowość), jako o egzystencjalnym niezbędniku życia zbiorowego!?

Cała ta preambuła dotyczy sprawy pozornie drugorzędnej: sprawy reformy administracyjnej państwa. Warto przypomnieć, że w ubiegłym roku nikt nie świętował dwudziestolecia gierkowskiej reformy administracyjnej, a w roku bieżącym mija już 21 lat od tego niezdarne naprawiactwa. Jak powszechnie wiadomo gensek Gierek rozdrobnił strukturę wojewódzką kraju i przy okazji zniósł powiaty na skutek lęku, że mu za wysoko wyrósł sekretarze wojewódzcy i przeobrazą kraj we własną kacykolandię. A że jego horyzonty historyczno-polityczne były jakie były, za wzór wybrał sobie jedyny kraj zachodni jaki znał i to dość dobrze: Francję z jej strukturą departamentalną i z jej mocną bazą samorządową.

Pamiętam, że mnie wówczas pytał jakiś Francuz: dlaczego przeprowadza się w Polsce taką skomplikowaną reformę, a gdy powoływałem mu się właśnie na żabojadzką wzorzec, pokiwał głową i podsumował:

„U nas struktura departamentalna dawno się przeżyła i wymagałaby gruntownej reformy, ale to musiałoby kosztować ogromne sumy, a na efekty trzeba by czekać dość długo i nie jest pewne czy taki eksperyment udałby się i przyniósł odpowiednie rezultaty. No cóż – jak widać wy Polacy jeste-

cie narodem bardzo bogatym i stać was na taki eksperyment”.

I wykrakał! Reforma z 1975 r. kosztowała straszne pieniądze i pozostawiła po sobie piramidalny bałagan do dnia dzisiejszego nie wysprzątnany i nie uładzony. Niemniej przez te dwadzieścia lat plus jeden rok jakoś to zaczęło funkcjonować i właśnie jedynym, choć oczywiście nie do końca dopracowanym efektem było umocnienie się gmin, rozpoczęcie ich drogi do samokształtowania i usamodzielniania. Rządy „Solidarnościowe” nie wykorzystały tej szansy jaką było doformowanie samorządu terytorialnego, dopieszczenie go i wypuszczenie „na szerokie wody”. Wówczas „Solidarność” mogła być mieć szansę na umocnienie się w szafiach samorządowych, a nie tylko „robotniczych”. No ale „S” postawiła na samozżeranie, na walki „na górze” i jeszcze bardziej „na dole”, na autodestrukcję, bo też po komunie odziedziczyła sowiecki punkt widzenia, że robotnik i chłop „potęgą są i basta”, a zupełnie prześlepiła fakt, że w międzyczasie wyrosły inne i to znaczne siły, a mianowicie biurokracja rozmaitych odmian. Biurokracja jest bowiem faktem i nie można jej postrzegać wyłącznie negatywnie, bowiem jest elementem we współczesnym społeczeństwie po prostu niezbędnym, a gdy się jeszcze bardziej skomputeryzujemy, zaprogramujemy i zautomatyzujemy, idea „chłopo-robotnicza” przejdzie do lamusa dziejów, tak jak tam przeszli rycerze i feudałowie, a w całkiem niedawnych czasach moi mili ziemianie, którym się wciąż jeszcze wydaje, że stanowią jakiś istotny składnik współczesnego społeczeństwa.

W tej chwili zaczyna się rozhajcowywać spór pomiędzy rządzącą koalicją o to, czy przywracać powiaty czy nie. PSL nie podaje jednak dość jasno czy chce czegoś w zamian, czy pragnie utrzymania gierkowskiej struktury administracyjnej. Bo tu mogą być rozważane tylko dwie alternatywy: albo pozostawi się *status quo*, albo konsekwencją odtworzenia dużych województw staje się konieczność wprowadzenia stopni pośrednich między gminą a województwem (w sensie struktury władzy). Oczywiście można rozważać pewne warianty: na przykład nie scalając małych województw utworzyć ponad-wojewódzkie regiony, ale wtedy galimatias kompetencyjny

przebrałby jakiegokolwiek dopuszczalne miary. Regionalne mogą być wyłącznie pewne struktury nie pełniące funkcji administracyjno-kierowniczej i do tego nie potrzebna jest żadna reforma.

Z tego co napisałem wynika jasno, że jestem za utrzymaniem – przynajmniej na razie – obecnego *status quo*. Żeby jednak nie być posądzonym o wsteczność czy kwietyzm, postaram się wyliczyć argumenty przeciwko obecnemu podziałowi terytorialnemu. Po pierwsze: gensekowskie marzenie o stworzeniu rozdrobnionej struktury wojewódzkiej, by mu lokalni kacykowie nie wyskakiwali do góry, już się całkowicie zdezaktualizowało: nie ma sekretarzy wojewódzkich partii (przynajmniej na razie), a jak łatwo wymieniać wojewodów widzieliśmy już na własne oczy po wprowadzeniu rządów koalicji SLD i PSL, przy czym nie wiedzieć która strona onejże była pazerniejsza: towarzysze czy chłopci.

Po drugie – w miejsce groźby kacykolandii wprowadzona została pewnego rodzaju stabilność władzy pośredniej. Małe, a zwłaszcza peryferyjne województwa stały się terytoriami nie potrafiącymi się na tyle usamodzielniać, by móc prowadzić sensowną, to znaczy dostatecznie autonomiczną politykę administracyjną. Słabe województwa nie stwarzają podstaw do właściwego partnerstwa z samorządami – mają im za mało do zaoferowania tak materialnie jak i autorytatywnie. Po prostu nie mają dostatecznej energii do przebijania się zarówno w dół, jak i też w górę.

Po trzecie: głupota reformy gierkowskiej wynikała z zupełnej nieznajomości historycznych uwarunkowań kraju; granice ustalone wówczas dla 49 (a dlaczego nie 50 – byłoby okrągłej) województw przekreślały niejednokrotnie dawne podziały polityczne, historyczne i regionalne, tworząc obszary sztuczne. Można domniemywać, że przy okazji owej strukturalnej awantury leżała dodatkowo chęć zakłócenia takiej właśnie tradycyjnej geografii kraju. I chodzi tu o różnorodne tradycje: zarówno te, które sięgają królestwa polskiego, jak też i te, które wytworzyły się w wyniku rozbiorów, bowiem tamtych lat sto dwadzieścia wzrósł się bardzo głęboko w świadomość i podświadomość społeczną. Być może byłoby wskazane przeciwstawienie się tej zaborczej tradycji, ale tego właśnie w działaniach PRL-u (i obecnie!) nie

widać. Oto przykład pierwszy z brzegu: Kujawy, terytorium o bardzo wyrazistej tradycji historycznej, którą zburzyły zabory, dzieląc ów obszar na łup Prus i łup Rosji. Ale następujące później polskie już podziały rozmydliły sprawę dokumentnie: w dobie „wielkich” województw, bydgoskie stało się zlepkim znacznej części Kujaw, ciężących do Wielkopolski Pałuk, skrawków Pomorza Gdańskiego i Pojezierze Krajeńskie, a wreszcie z Ziemi Chełmińskiej, Dobrzyńskiej i na dobitkę szczątków Pomezanii. Zaiste infernalny sen naprawiać! Obecne zaś „małe” województwa ten antypodział utrzymały: tak więc województwo włocławskie i toruńskie przywróciły podział Kujaw na „zielone” i „czarne” czyli plus minus zgodnie z zaborczym kordonem, a ten szczątek połączyło z pokrzyżacką i po prusko-królewską ziemią chełmińską.

Tak więc jestem przeciwny temu terytorialnemu nonsensowi, który odziedziczyliśmy po późnym PRL-u. Ale jednocześnie uważam, że mamy do załatwienia w tym kraju wiele ważniejszych i pilniejszych spraw oraz że – wbrew upojnym naprawiaczom – jesteśmy do tej operacji zupełnie nieprzygotowani, a „wielka improwizacja” dokonywana na żywym ciele państwa jest czymś niebывale niebezpiecznym.

I kosztownym!

Mało kto zdaje sobie sprawę z rzędu kosztów, które musiałaby pociągnąć za sobą tego rodzaju operacja. To jest piramida rozmaitych działań i związane z tym manipulacje: od wymiany pieczętek i wszelkiego rodzaju druków, aż po adaptacje budowlane i oczywiście ogromne rozbudowanie wspomnianej biurokracji, która tak długo jest potrzebna i nawet niezbędna, dopóki nie zaczyna cierpieć na urzędniczą wodną puchlinę. Wprowadzanie dzisiaj powiatów to ponadto dalszy proces przepychanek i zalewu niekompetencji partyjniackiej, nie mówiąc o nowych poligonach korupcyjnych.

Powtarzam: struktura administracyjna naszego państwa jest zła, ale jakoś tam funkcjonuje. Dążąc do reformy ryzykujemy utworzenie struktury jeszcze gorszej, bo nie utartej w praktyce. A wszelkie pseudouczzone argumenty są najczęściej pokrywką dla realnej sytuacji. W moim bowiem przekonaniu spór pomiędzy koalicjantami ma podstawę całkowicie oczywistą i dającą się wyjaśnić przesłankami polityczno-materialnymi. Głosy zaś nawiedzonych reformatörów z drugiej strony

to tylko piskliwe trele hodowców idei fikcyjnych, marzycieli, którzy chcieliby czymś zabłysnąć, skoro dotychczas nie zabłysnęli niczym w swych rzeczywistych zawodach.

Interes SLD polega na tym, by pomnożyć możliwości rozdawnictwa stołków, by opłacić swą partyjną klientelę stanowiskami, poborami i owym najlichszym nawet smaczkiem władzy (powiaty!). Pośredni stopień kurateli administracyjnej ma być ponadto bronią przeciw nadmiernym apetytom samorządów, ich „snom o potęgę”, ma być jednym słowem umocnieniem wszechkontroli centralistycznej państwa jako organu partii, a nie funkcji społeczeństwa. Kto ma co do tego wątpliwości, niechże sobie bacznie poogląda ową zabawę w kotka i myszkę, rozgrywaną na rozmaitych szczeblach struktury społecznej. Neokomunistom (w ich socjaldemokratyzm, wybaczenie mi! moi, za starym aby wierzyć) chodzi o pełną komasację władzy, prerogatyw i źródeł dochodu. Oni nie potrzebują z nikim się dzielić, a już szczególnie z chłopami, „robołami”, a zwłaszcza z niepodporządkowaną inteligencją, którą najłatwiej uśmierzyć kapiąc kropelkami władzy i uzależniając od państwowej miseczki. Przecież sukcesy wyborcze neokomunistów w całym bloku wschodnim, z byłym Związkiem Sowieckim „na czele”, polegają na tęsknotach za takową miseczką ze strony wszystkich leniów, nieudaczników i bezinicjatywowców.

PSL broniąc się przed powiatami dobrze wie, co robi. Celem podstawowym PSL było od zarania (to znaczy od niesławnego ZSL-u) wrywanie maksimum stołków i stanowisk od współkoalicjanta. Chłopska pazerność („daj chłopu palec, a chwyci za całą rękę”) sprawdza się tu bezbłędnie. Tymczasem w zakresie powiatów zbyt wiele udziałów od partnera spodziewać się nie mogą – SLD zagarnie większość. I co niemniej ważne: powiaty będą konkurencją dla gminnej samorządności, gdzie wójt stawał się „mocnym człowiekiem” dla własnego mikroregionu. Z mocarności chłopci i ich liderzy nie zamierzają tak łatwo rezygnować i po prawdzie: trudno im się dziwić.

Reasumując: jestem przeciwko szeroko zakrojonym reformom administracyjnym, jestem za tym, aby ewentualnie małymi kroczkami przygotowywać się do tej kosztownej a ryzykownej operacji. Ten postpeerelowski śmietnik na końcu

jakoś tam funkcjonuje i wykorzystujemy to funkcjonowanie w pierwszym rządzie na rzecz porządkowania i umacniania struktury samorządowej, bez której to państwo, skazane na pazerność niekompetentnych polityków i nieokrzesanych mas do głosowania, nie stanie się nigdy lepsze.

Kraków, czerwiec 96

Tadeusz CHRZANOWSKI

Koniec sezonu

1. Sezon polityczny dobiega końca

Parlament zamknie jeszcze w czerwcu prace nad tzw. reformą centrum, przygotowaną przez min. Marka Pola i dość gruntownie przepracowaną przez nadzwyczajną komisję sejmową. Ponieważ w drugim czytaniu Izba zgłosiła kolejne 120 poprawek, okazało się konieczne przesunięcie trzeciego czytania na następne (ale jeszcze czerwcowe) posiedzenie sejmu. Zaraz potem ustawą zajmie się senat. Pewne jest, że ostateczna wersja umocni zasadniczo pozycję premiera. W jego dyspozycji będzie określanie zakresu działania ministrów – dotychczas zakres ten wyznacza ustawa. Urząd Ochrony Państwa znajdzie się pod bezpośrednim nadzorem premiera. Zniknie Urząd Rady Ministrów, z którego pozostanie tylko kancelaria szefa rządu. Miejsce MSW zajmie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji Publicznej oraz Budowlanej, ale bez mieszkalnictwa. Siedem resortów ulega likwidacji, powstają trzy nowe, w tym gospodarki i skarbu z agencją prywatyzacyjną, a także ośrodek do spraw strategii gospodarczych oraz integracji z Europą. Wzmocni się pozycja wojewodów, do których przejdzie nadzór założycielski nad przedsiębiorstwami (poza czasowymi, uzasadnionymi, wyjątkami).

Sejm natomiast przyjął już ustawę o służbie cywilnej, przygotowanej równoległe z reformą centrum. Pracownicy służby cywilnej, w czterech kategoriach A, B, C i S (specjaliści) będą mianowani, apolityczni* i nieusuwalni poza wypadkami wyjątkowymi, oraz lepiej wynagradzani. Od nominata wymaga się tu m.in. siedmioletniej (w kategorii A) lub pięcioletniej (w kategorii B) praktyki w administracji. Opozycja krytykowała taką „generalizację” wyższych stanowisk. Zauważono też, że siedmioletnia praktyka oznacza z konieczności PRL-owski początek kariery. Ale proces tworzenia korpusu służby cywilnej i tak potrwa lata. Poseł sprawozdawca, Grodzicki (SLD), przewiduje, że w tym roku wydanych zostanie 500 aktów mianowania, w 1997 – 3.000, a tymczasem do obsadzenia tym trybem jest ok. 70.000 stanowisk. Poza korpusem służby cywilnej pozostają stanowiska polityczne i ministrowie, i wiceministrowie, wojewodowie i wicewojewodowie. W razie zmiany prezesa rady ministrów każdy z nich składa dymisję na ręce nowego premiera, który zresztą nie musi jej przyjąć.

Prace nad obiema ustawami cechowała stosunkowo dobra atmosfera: projekty rządowe poprawiła nie tylko opozycja. Nie było krytyki demagogicznej, jeśli nie liczyć Federacyjnego Klubu Parlamentarnego**. Unia Wolności podnosiła wprawdzie, że najpierw należałoby dokonać reformy podziału terytorialnego, a potem dopiero centrum rządowego, ale wiadomo, że w tej kadencji jest to niemożliwe wobec stanowczej opozycji PSL (i UP), które nie chcą powiatów. Potrzebna byłaby zmiana koalicji na SLD-UW...

Atmosfera debaty znalazła odzwierciedlenie w głosowaniu. Za ustawą o służbie cywilnej głosowało w sejmie 342 posłów, jeden był przeciw, dziewięciu się wstrzymało. Reforma centrum również przejdzie bezpiecznie w trzecie czytanie, choć kłopoty koalicja będzie miała z jej realizacją.

* Nie wolno im kierować się w pracy przekonaniami politycznymi i religijnymi ani poglądów politycznych publicznie manifestować.

** Ten nowy twór założyli wychodźcy z dotychczasowych klubów KPN i BBWR, niezadowoleni z Moczulskiego i Gwiżdża. Osamotnieni wodzowie, przy których pozostało zbyt mało wiernych na utrzymanie klubów (trzeba minimum 15 posłów) i którzy, zdegradowani do roli przewodniczących kół, stracili miejsca w konwencie seniorów, też chcieli się zjednoczyć, ale, jak dotąd, nie zdołali...

Nowy układ rzeczy ma zacząć działać już 1-go stycznia 1997 i potrzebny będzie nowy podział tek w rządzie, nie mówiąc już o tym, że PSL nie jest zachwycone awansem kompetencyjnym premiera z SLD. Ale to już amunicja na przyszły sezon polowań... Zapytany, czy od reformy centrum ubędzie nam urzędników, Marek Pol odrzekł – z właściwym mu melancholijnym uśmiechem – może nie przybędzie...

Sejm popisał się zgodną współpracą w jednej jeszcze sprawie dotyczącej funkcjonowania władzy, lecz trudno się nie zgodzić z drakońską oceną, którą w tej „ustawie o wykonywaniu mandatu posła i senatora” wyraził tytuł z *Rzeczpospolitej*: „Maksimum uprawnień – minimum obowiązków”.

Istotnie, wbrew głosom o potrzebie ograniczenia przywilejów i immunitetów parlamentarnych, następuje ich rozbudowa. Utrzymano immunitet nie tylko od odpowiedzialności karnej, lecz również karno-administracyjnej, a więc między innymi karno-skarbowej (!). Co więcej, immunitet dotyczy także czynów popełnionych przed uzyskaniem mandatu (!).

W razie uchylenia immunitetu, Izba może wyznaczyć jako właściwy do rozpoznania sprawy sąd dzielnicy Śródmieście w warszawskiej gminie Centrum, choć nikt poza tym nie ma w Polsce prawa wybierać sobie sądu.

Adwokat, dziennikarz, lekarz, mogą być zawsze zwolnieni przez sąd z obowiązku zachowania tajemnicy (art. 163 kpk), tzn. zmuszeni do zeznawania – ale nie parlamentarzysty.

Ustawa zawiera aż siedemnaście delegacji, najczęściej dla prezydium odpowiedniej Izby, które pozwalają bardzo swobodnie rozszerzać parlamentarne przywileje, np. wypłacać uposażenie nienależne (kiedy parlamentarzysta nie pracuje, choć nie wziął bezpłatnego urlopu; prowadzi działalność gospodarczą; pobiera emeryturę lub rentę).

Ustawa określa bardzo hojnie uposażenia parlamentarne (od przyszłej kadencji) – łącznie ponad 13 tysięcy złotych (nowych) miesięcznie***, bez dodatków za funkcje w komisjach, z tego mniej więcej połowa wolna od podatków jako

*** Formalnie, samą pensję parlamentarzysty zrównano z pensją podsekretarza stanu, tj. aktualnie 5248 zł. Warto wspomnieć, że w latach trzydziestych podobne ustalenie dawało posłom równowartość z dyrektorami departamentów.

ryczały na utrzymanie biur i diety. A to licząc według aktualnych stawek ryczałtów i diet, które wyznaczają prezydium izb.

Senat wniósł do wersji sejmowej prawie trzydzieści poprawek, z czego zaledwie jedna się ostała. Prezydent ustawę podpisał, ostrzegł jednak, że jeśli sejm nie znowelizuje tekstu tak, aby usunąć sprzeczności z konstytucyjną zasadą równości wobec prawa, zwróci się do Trybunału Konstytucyjnego. Podobno Kwaśniewski miał wielką ochotę wetować, ale złąkł się jeszcze jednego sporu z własną większością.

Nasi parlamentarzyści, zwłaszcza opozycyjni, lubią wygłaszać przemówienia o wyższości tzw. wartości nad pokusami cywilizacji i konsumpcji. Szkoda, że sami są tak nieodporni: w jednym szeregu z obrońcami proletariatu z SLD i chłopami z PSL pod rynnę z państwowymi dukatami podstawiali czapki wyznawcy wysokiego etosu z Unii Wolności i rycerze wartości chrześcijańskich z BBWR/KPN. Jedynie Unii Pracy starczyło przyzwoitości, by głosować przeciw tej ustawie. Oczywiście, zwolennicy nowej regulacji nie omieszkali argumentować, że chodzi o to, by parlamentarzyści nie szukali „zarobku” poza parlamentem. Ale wiadomo, że ci, co szukają, będą szukać nadal: bariera ochronna immunitetu została przecież podwyższona... Po prostu – wstyd.

2.

Koniec sezonu to również upadek Stoczni Gdańskiej: wniosek do sądu o ogłoszenie upadłości miał być z polecenia Zgromadzenia Akcjonariuszy (trzy piąte głosów ma tam skarb państwa, reprezentowany przez Ministerstwo Przekształceń Własnościowych) zgłoszony przez prezesa Stoczni – Gołucha przed końcem czerwca.

Odbył się dwudniowy strajk okupacyjny w stoczni i zapowiadana była manifestacja stoczniowców w Warszawie. Parlament zażądał informacji od ministra Kaczmarka z MPW i w obecności garstki posłów przeprowadził nad nią debatę (tzw. krótką, wyłącznie wystąpienia w imieniu klubów). Potem były pytania i odpowiedzi. Nad wszystkim, strajkiem i debatą, unosiła się atmosfera sprawy przegranej.

Stocznia Gdańska upadła, ponieważ w latach 1990-1993, kiedy już odwołano poprzedni (1988) rozkaz wicepremiera

Rakowskiego o jej rozwiązaniu****, a prezesem był solidarnościowiec Hans Szyg, późniejszy poseł BBWR, związała się serią kontraktów eksportowych, z góry właściwie deficytowych. Szukano wtedy na gwałt zamówień, bo utracono przecież rynek sowiecki i ufano, że „planowe straty” ubezpieczy jakoś prezydent Wałęsa, dziecko Stoczni. Do wyczynów byłego prezydenta i jego księżycowych pomysłów na sukces (pani Piasecka-Johnson na przykład) nie ma co wracać. Straty okazały się o wiele większe niż „planowane” i stale rosły.

Stocznia upadła również dlatego, że w 1993-96 nowe rządy – właściciele – niewiele zrobili, by ją ratować w sposób rozsądny, tzn. wymuszając głęboką restrukturalizację na wzór Stoczni Szczecińskiej. Opozycja solidarnościowa twierdzi, że komuchy zemściły się w ten sposób za historię, ale jest to twierdzenie równie uprawnione jak odwrotne, że historia zemściła się za komuchów. Argument, którym posłużył się w sejmie Jacek Taylor z Unii Wolności, że przecież rząd godzi się dopłacać do innych wielkich zakładów, dlaczego nie do Stoczni, pozwolił Kaczmarkowi zapytać zgryźliwie, czy poseł Taylor skonsultował swe wystąpienie z przewodniczącym UW, prof. Balcerowiczem...

Dopatrywanie się w upadku Stoczni głównie politycznej gry o symbole, przesłania jedynie solidarnościowym opozycjonistom rzeczywistą, programową rolę polityki w tej katastrofie. Bo jeśli rząd nie pomógł, to nie dlatego zapewne, że nie chciał, ale dlatego, że nie umiał, tę zaś nieumiejętność chętnie przykrywał liberalną mądrością, że na wolnym rynku trzeba sobie samemu radzić. Stocznia Gdańska nie jest pierwszą w ostatnich dziesięcioleciach stocznia europejską, która tonie i nie ostatnią w Polsce, bo, jak słychać, stocznia w Gdyni jest następna w kolejce. Wiele stoczni europejskich upadło, ale jednak wiele zostało uratowanych, dzięki głównie planowej akcji ratunkowej rządów. Polska, której przemysł okrętowy jest jednym z niewielu dojrzałych technologicznie

**** Rakowski w myśl uchwały sejmu miał być za to sądzony przez Trybunał Stanu, ale Izba nie może się zdobyć na wyznaczenie posłów oskarżycieli; obecne prezydium ciągle jeszcze nie zgłasza tego punktu do porządku.

branż eksportowych, ma szczególne racje, by ratować swoje stocznie. Tymczasem min. Kaczmarek myśli jak się zdaje głównie o tym, żeby się pozbyć kłopotu i wyprzedać resztki.

Skutkiem braku rzeczywistej polityki przemysłowej jest oczywiście i to, że decyzje o zasilaniu zakładów, znajdujących się w tarapatkach, stają się bezpośrednią funkcją siły nacisku ze strony załóg i *lobbies*. Stocznia Gdańska nie ma, rzecz jasna, siły górników. Choć jednak dawna legenda nie starczy już dziś, by zmobilizować dla stoczniowców liczące się poparcie, ciągle jeszcze historyczny zakład pracy nad Bałtykiem może czegoś nauczyć.

W czerwcu upadek Stoczni udowodnił, że NSZZ Solidarność, mimo dobrych notowań w sondażach poparcia wyborczego, nie jest w stanie skutecznie mobilizować załóg do akcji solidarnościowych, tzn. politycznych. Ludzie uczestniczą dziś w strajku lub wychodzą na ulicę tylko w walce o własny interes ekonomiczny – bezpośrednio własnego zakładu lub co najwyżej własnej branży. Solidarność powinna więc pamiętać, że jej bardzo ogólne hasła programowe – jak np. tekst konstytucji, pod którym zebrano 2 mln podpisów – mają bardzo niewielki walor mobilizacyjny: mobilizować pracowników mogą tylko hasła przetłumaczalne wprost na lokalny konkret. Nie jest to zresztą fenomen nowy, już przecież w wyborach 1993 NSZZ Solidarność przekonał się o jałowości swych akcji politycznych. Dziś jednak Marian Krzaklewski i jego sztab mogą się łudzić, że „w walce z komuną” mobilizacja będzie łatwiejsza i pozwoli im wywrzeć dostatecznie silny nacisk na władze. Dlatego powinni przestudiować doświadczenie gdańskie: zmobilizować ludzi można byłoby (a i to nie na pewno), gdyby opracowano wspólny z dyrekcją autentyczny program naprawy i przekonano do niego załogę i to wszystko, kiedy był jeszcze czas (w 1995). Gdyby wtedy rząd jednak odmówił pomocy, można by skutecznie „zawalczyć” i w mediach, i na ulicy...

To, że Solidarność jest taka bezradna i bezsilna wobec gdańskiej katastrofy, zawdzięcza nie tylko własnym przywódcom, lecz również i partiom opozycji. Wprawdzie nazywają się one solidarnościowymi, ale wobec klęsk związku są tylko zażenowane, jak Unia Wolności, bo dzielą ją w istocie logikę ekonomiczną ministra Kaczmarka, albo nawet zamie-

rzają z niej odnieść korzyści, jak Ruch Odbudowy Polski, który chce „osiadłać” politycznie związek i w tym celu musi zdyskredytować jego aktualne kierownictwo, zbyt niezdecydowane, zbyt wałęsowskie i mało skuteczne.

3.

W grze politycznej pod koniec sezonu notuję przede wszystkim porażkę Kwaśniewskiego w sprawie terminu wyborów parlamentarnych. PSL stanowczo sprzeciwiło się przyspieszeniu, a SLD uznało, że nie warto się o to z sojusznikami spierać, tym bardziej że byłby to spór bez szans. Opozycja nie poparłaby zapewne wniosku o przedterminowe samorozwiązanie parlamentu, mimo, że argument Kwaśniewskiego o budżecie (żeby budżet na 1998 przygotowywał już nowy rząd) uznawała za racjonalny.

Podobno zresztą SLD też nie ma ochoty przyspieszać wyborów. Motywy PSL są dość jasne: stronnictwo znajduje się w dołku, dopiero na jesieni może rozstrzygnąć sprawę przywództwa i potrzebuje czasu, by się przygotować do wyborczej próby. W SLD wszystko jest bardziej powikłane i najprawdopodobniej chciano tam zamanifestować prezydentowi niezadowolenie dawnych towarzyszy. Prezydent może sobie „biesiadować” z prymasem, ale w parlamencie nie ma nic do gadania. Podobnie, w komisji konstytucyjnej zgodnie odrzucono wszystkie pomysły prezydenta, żeby umocnić swe pozycje w dawniej prezydenckich resortach. Trzeba też przypomnieć, że Kwaśniewski, proponując przyspieszenie wyborów, mówił dość enigmatycznie o nowej konstytucji, jakby sugerując, że nie byłoby nieszczęścia, gdyby uchwaliło ją dopiero przyszłe Zgromadzenie Narodowe. Na prawicy znaleźli się komentatorzy, którzy nawet pochwalili prezydenta, że pojmując „niereprezentatywność” obecnego parlamentu. SLD nie mógł tego przepuścić, zwłaszcza, że z końcem kadencji spadają automatycznie do kosza wszystkie nie uchwalone teksty.

Innymi słowy, w terminie pozwolą doprowadzić nową konstytucję do referendum zatwierdzającego wiosną 1997. Natomiast referendum dyrektywne, o które walczyła głównie Unia Pracy, formalnie wspierana przez większość koalicji, najpewniej w ogóle nie będzie: Zgromadzenie Narodowe

zwołane na 21 czerwca miało ten wniosek definitywnie pogrzebać. PSL, które dokonało wolty, zdaje się, że na to po prostu jest za późno. O cóż pytać ludzi, kiedy właściwie mamy gotowy tekst? Tak naprawdę wszyscy wiedzą, że Unia Pracy chciała pytać o świeckość państwa, a odpowiedź pozytywna elektoratu zamknęłaby drogę do kolejnych przetargów i „kompromisów” z hierarchią. A te „kompromisy” są w przygotowaniu. Przyznanie państwowych pensji katechetom (od 1997/98), mimo, że nie obowiązuje ich żadna pragmatyka nauczycielska, jest jedynie zadatkiem (Trybunał Konstytucyjny stwierdził tylko, że za pracę należy się płaca, ale nie określił bynajmniej od kogo: katecheci zaś na pewno nie są funkcjonariuszami ani państwa, ani gminy). Episkopat nie zrezygnował z żadnego ze swych postulatów wobec konstytucji: preambuły z *invocatio Dei*; pominięcia wszelkiej wzmianki mogącej sugerować więcej, niż „autonomię państwa we właściwej mu dziedzinie”, a więc również osławionej „bezstronności”, którą wymyślił Mazowiecki zamiast „neutralności”; gwarancji nietykalności płodu od poczęcia; wymieniania konkordatu w konstytucji, jako regulującego stosunki kościoła i państwa. No i wreszcie z samego konkordatu, mimo że prymas oświadczył był w zapale, iż dzieci poczęte są ważniejsze od konkordatu, z czym oczywiście wypada się zgodzić. Trudno w tej chwili przewidywać, jak potoczą się przetargi i jak wypadnie głosowanie nad ratyfikacją konkordatu: to ostatnie Kwaśniewski obiecywał prymasowi załatwić już w czerwcu, a marszałek Zych załatwił, ale SLD stanął okoniem.

Jak parokrotnie już pisałem w tej rubryce, SLD jest partią bardzo pragmatyczną. Jego odruchy ideologiczne, warunkowe i bezwarunkowe są szczere, ale jego zachowania są bardzo oportunistyczne (i w angielskim pozytywnym, i w polskim sensie). Jeśli wiosną 1997 trzeba będzie wygrać batalię o akceptację konstytucji, wynik zaś tej batalii wpłynie wydatnie na rezultat wyborów jesiennych, to znaczy, że stratedzy SLD zrobią bardzo wiele, by referendum konstytucyjne wygrać. Przeciw nowej konstytucji będzie NSZZ Solidarność i cała lub prawie cała prawica parlamentarna, a na pewno Ruch Odbudowy Polski. Skuteczność tej opozycji będzie w decydującej mierze zależeć nie od artykułów nowej konsty-

tucji, ale od temperatury sprzeciwu społecznego w kraju. Zachowania hierarchii i kleru na pewno na tę temperaturę wpłyną, zwłaszcza, że Kościół polski będzie żyć w tym czasie wizytą papieską na Kongresie Eucharystycznym we Wrocławiu (na Boże Ciało 1997, 29 maja).

Mówiąc ostatnio o Polsce do pielgrzymów z diecezji bielsko-żywieckiej (23 maja) Jan Paweł II podjął dwa wątki.

„Dziś, w dobie przemian, Polska potrzebuje ludzi kierujących się zasadami sprawiedliwości społecznej. Aby nie było wyzyskujących i wyzyskiwanych, aby troska o najuboższych wyznaczała kierunki rozwoju gospodarczego i kulturalnego. Dziś na nowo Polska potrzebuje ludzi, którzy kompetentnie i odważnie staną w obronie życia, od poczęcia aż do naturalnej śmierci. Polska potrzebuje ludzi sumienia”.

„Obserwujemy dziś w Polsce próby ośmieszania religii, podważania autorytetu Kościoła. Niebezpieczne są próby deprawacji młodego pokolenia poprzez promowanie stylu życia, pozbawionego poczucia odpowiedzialności za godność i kształt życia własnego i innych osób. Zasada panująca za czasów Jana Sarkandra – *cuius regio, eius religio* („czyja władza tego religia”) – zdaje się dziś przybierać formę zaplanowanej ateizacji życia”.

Nikt nie miał oczywiście wątpliwości, że głównym oskarżonym w tym dwuczęściowym akcie oskarżenia jest władza SLD. Mimo to, wypowiedź papieska nie wzbudziła entuzjazmu ani wśród bardziej umiarkowanej opozycji, ani nawet w episkopacie: prymas Glemp pospieszył nawet z eksplikacją, że ateizacja, o której mówił papież, to „ateizacja kulturowa, bez podmiotu”, czyli nie zawiniona. Kto ją w takim razie zaplanował? Przecież nie Duch Święty? W oświadczeniu Konferencji Episkopatu, obradującej 11, 12 i 13 czerwca, powtórzono w jednym zdaniu uwagę o wyzyskujących i wyzyskiwanych, natomiast cały tekst poświęcono egzegezie drugiego wątku. W ten sposób biskupi skorygowali papieża.

Zachwyt bez chmurki wystąpienie papieskie wzbudziło tylko w Ruchu Odbudowy Polski, który nie ma żadnych liberalnych zahamowań wobec hasła sprawiedliwości społecznej, ani też nie bawi się w subtelne rozróżnianie cywilizacyjnych tendencji od administracyjnych działań. W

specjalnym oświadczeniu ROP uznał 26 maja, że słowa papieża „są gorzkim podsumowaniem kryzysu narodu i państwa, budowanego na fałszywych zasadach moralnych, społecznych i gospodarczych”.

ROP pozostaje najbardziej dynamicznym fragmentem prawicy, aczkolwiek jego notowania w sondażach ustabilizowały się. Wprawdzie Jacek Kurski – rzecznik ROP i jego główny propagandysta oskarżył 15 czerwca dyrekcję CBOS, że powstrzymała publikację najnowszego wyniku, ponoć rewelacyjnego dla ROP, co spotkało się z *dementi* CBOS, ale o pewnej stagnacji świadczą też i inne badania. W OBOP notowania ROP wzrosły od grudnia do marca z 8% do 12%, po czym w kwietniu spadły do 8%, w maju podniosły się do 11%. W Pracowni Badań Socjologicznych partia Jana Olszewskiego uzyskała od marca do maja kolejno 9%, 9% i 10% wskazań wyborczych. Wszystkie majowe badania odbyły się pomiędzy 15 i 21 maja.

Rosną natomiast, jeśli wierzyć działaczom ROP, szeregi partii. Jan Olszewski zakomunikował 16 czerwca, że ROP ma już 15 tysięcy zarejestrowanych członków, a dalszych 20 tysięcy zgłoszeń czeka na zakończenie procedury. Krystalizuje się postawa programowa partii Olszewskiego jako odrzucenie nie tylko PRL lecz również okresu 1989-1996. „Bo to było drobiazgowo poprawianie PRL, której poprawić się nie da. Tu trzeba poprawić wiele rzeczy od zera – tłumaczył Jacek Kurski w wywiadzie dla *Rzeczpospolitej* (10 czerwca).

– Od zera, czyli co? Program rewolucji?

„Dlaczego rewolucji? Trzeba odebrać złodziejom i uwłaszczyć ludzi na tym majątku, który wówczas stanie się fundamentem budowy normalnego kapitalizmu. A nie kapitalizmu „Polisy” i Banku Śląskiego. To nie żadna rewolucja, tylko przywrócenie elementarnego ładu”.

– Jak odebrać, drogą przepisów sądowych, specjalnych ustaw?

„To jest kwestia woli politycznej i używania władzy. Istnieje na przykład ustawa z 21 czerwca 1990 roku o zwrocie korzyści, uzyskanych niesłusznie kosztem Skarbu Państwa oraz innych państwowych osób prawnych. Tylko, że jest zupełnie martwa...”

Niezależnie od tego, jak w detalach ROP zamierza „używać władzy”, widać, że wywłaszczenie (komuchów, złodziei, itp.) jest podstawą jego programu socjogospodarczego. Dla klienteli ROP, choć zapewne nie dla jego polityków, będzie to punkt nieporównanie ważniejszy od lustracji. Zważywszy wskazaną uprzednio bezradność NSZZ Solidarność w konkretnych sytuacjach przemysłowych, ROP będzie mógł pozyskiwać wielu wyborców Solidarności. Ta perspektywa na pewno zmodyfikuje relacje wzajemne obu organizacji, czy jednak ułatwi ROP „osiadanie” związku (tak, jak Wrzodak oświadczył Solidarnością Ursusa), czy też skłóci ich ze sobą, niepodobna dziś jeszcze przewidzieć.

SLD raczej nie musi się obawiać mec. Olszewskiego i jego partii, choć nie jest wykluczone, że trochę lumpenproletariuszy przewędruje z elektoratu SLD na stronę ROP. Musiałaby nastąpić katastrofa gospodarcza, bardzo głęboka zapaść, żeby zmienić tę ocenę. Aczkolwiek trwają procesy spowalniania wzrostu i degradacji rozmaitych napędów rozwoju (eksport, w tym po raz pierwszy eksport przygraniczny), które sygnalizowałem w poprzedniej *Kulturze*, a nie ma na horyzoncie żadnych zapaści. ROP mógłby raczej liczyć na skutki rozwarstwienia, jakoż mec. Olszewski bardzo umiejętnie prowadzi kampanię przeciw zagranicznym supermarktom w obronie drobnego handlu.

Obawiać się ofensywy prężnej prawicy powinny natomiast partie środka, z Unią Wolności. Jej działacz, Waldemar Kuczyński (minister przekształceń własnościowych u Mazowieckiego), ogłosił właśnie (*Gazeta Wyborcza* 15-16 czerwca) artykuł pod alarmującym tytułem: „Wyborcy środka, nie rozbiegajcie się!” Kuczyński, jak wielu przed nim, ostrzega przed polaryzacją, „wojną w starych okopach”, wszechobecnym podziałem na komuchów i antykomuchów, ale nie tyle chodzi mu o rozdarcie kraju, ile o utratę elektoratu: „Pokusa szukania ratunku przed tymi, których się obawiamy, w obozie ich najtwardszych przeciwników jest groźna, dlatego, że na pierwszy rzut oka ten sposób wydaje się najskuteczniejszy”. Aby temu zapobiec, Unia Wolności powinna wystąpić z nową propozycją gospodarczą, która nie będzie „planem Balcerowicza-bis”, bo on już zrobił swoje i nie jest potrzebny. Plan, nie Balcerowicz, aczkolwiek psycho-

analitik mógłby podejrzewać, że u Waldka Kuczyńskiego jedno idzie z drugim. Ale poważnie, chodzi o to, żeby „gospodarka była żywa a warunki socjalne – ludzkie”, aby „w korzystaniu z owoców rozwoju nie było krzywd i grup wyłączonych” i tak dalej... A ludzkich warunków socjalnych nie sposób stworzyć „wyłącznie siłami rynku”.

Oto więc dowód, że w planie Bożym ROP też się może przydać. Choćby do zachwiania niezłomną wiarą „przyjaciół rynku” w jego nieograniczoną przydatność.

Kończę więc optymistycznie i życzę miłych wakacji.

Warszawa, 17 czerwca 1996

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Znany dziennikarz pyta mnie – „jestem ciekaw kiedy panu skończy się temat, co miesiąc od tylu lat pisze pan o Polsce. A co tu można jeszcze nowego napisać?”

Popatrzyłem na niego żywo przerażony, bo właśnie uświadomiłem sobie, że mi się skończyło. Nie wiem o czym pisać? To nie tylko mój problem.

To nawet problem naszej sztuki. Był festiwal filmów dokumentalnych w Krakowie i widać, że polski dokument nie chce, nie umie, nie potrafi zanotować wielkiej zmiany. Tragedia z filmem fabularnym, nie umie znaleźć tematu. A proza też nie potrafi.

Polska dzisiaj to dorabianie się, skurczowe ale mozolne, konieczne, ale w złym guście, namiętne, ale nieładne. Jak o tym mówić, jak to przerabiać na sztukę? Wszystkie okna i drzwi w naszym domu są otwarte, powinno to być fascynujące, ale przede wszystkim hulają przeciągi, jak je łapać?

Okropne, że nie ma idei, gdzieś wsiąkła w miliony egoiz-

mów, idea budowy Nowego Kraju, Ojczyzny naszej. Ci co głoszą, jaka ma być Polska, nie sadzą bynajmniej kwiatów. Dla człowieka, wedle badań psychologów, najważniejsze jest poczucie celowości życia. I poczucie przynależności. I ważne jest „wycucie kontekstu”, reguł gry. Otóż wszystkie miejsca, gdzie zdarzało mi się ostatnio pracować, zawsze były chore na brak wyraźnych reguł gry, brak rysunku celu, nawet na brak entuzjazmu, a szefowie jak niedojrzałe dzieci. To w mini skali, a w makro...

Skoro nie znamy reguł gry, nie wiemy czym chcemy być, czym jest i ma być Polska, skoro nie kwapimy się by gdzieś należeć, no, może do NATO, ale też bez entuzjazmu, to robi się niewesoło. I okazało się, że kiepsko u nas z uśmiechami. Statystykę poprawiają uśmiechy profesjonalistów, nadal ich za mało, ale w niektórych zakładach usługowych nauczyli się regulować mięśnie twarzy prawie jak w krajach, gdzie to się robi odruchowo.

Ja sam chwilami czuję się zagubiony. Dobrze wtedy zająć się czymś konkretnym. Skoro już wiem, że w mojej Polsce, za mojego życia, nie będzie ładnie – bo u nas jest tylko bez wątpienia niepokojąco szybki przyrost ładnych dziewczyn, w ogóle ładnej młodzieży – ale ładnie tak całościowo, to za mojego życia już nie będzie, o nie.

Dlatego z nagłą pasją maluję klatkę schodową, kopię klepisko na podwórku, sieję trawę i pracowicie przeganiam gołębie, które mi niszczą rodzący się trawnik. Kiedyś miałem wrogów komunistów, teraz nie znoszę gołębi. Gdybym miał dubeltówkę strzelałbym też do pijaków, którzy w zaułku pobliskiego domu piją, wydalają i od świtu prowadzą filozoficzne dysputy. Inna grupa pijaków biesiaduje całymi dniami na sąsiednim podwórku, które niestety widzę i słyszę. Wychowywali się w domu, gdzie w czasie okupacji ukrywał się Rydz Śmigły. Pewnie nie wiedzą kto to był. Między ich pijanymi nogami kręci się spółdzona po pijanemu dziatwa, oto już na progu swego życia istoty przegrane, jest tam nawet pies, jedyny stwór w tym towarzystwie, z którym można by się dogadać.

Innym moim wrogiem, aż strach się przyznać, jest smecz. Trudno, niech to zabrzmie luksusowo, ale moje życie bez tenisa byłoby puste. W soczystych uderzeniach odnajduję młodość, nie tylko wtedy gdy leję młodych. Co za paradoks,

moim największym problemem jest uderzenie, z którego wziętem pseudonim, które po angielsku nazywa się *smash*, a po polsku smecz, ścięcie górnej piłki zwanej lobem, jest to uderzenie pokrewne serwisowi, rakietą odwiedzona do tyłu winna w ruchu przypominać siekierę. Za każdym razem jak knocę smecza, myślę o swoim tekście do *Kultury* i nachodzą mnie wątpliwości, czy tam też nie uderzam błędnie?

Na pięknie odnowionych kortach „Warszawianki”, gdzie zakwitł kapitalizm, są nareszcie eleganckie prysznice. Nikt jednak nie pomyślał, by przykleić wieszaki na ręczniki. A więc jak to u nas, nawet jak jest już dobrze, to nie do końca.

Słucham na tych kortach ludzi, którzy układają się w dziwną tkaninę. Dwóch starszych wiekiem trenerów wspomina dawne czasy i dochodzą do wniosku, że wtedy, kiedyś, było lepiej. Dołącza się do gadania kortowy. To ten cholerny kortowy, który gdy przywiozłem przed rokiem na „Warszawiankę” Jerzego Sołtana, mieszkającego w Bostonie, tego co „Warszawiankę” tak pięknie zaprojektował, ale od wielu lat obiektu nie widział – ze strachu co z tym porobili – to ten kortowy zatrzasnął nam bramę przed nosem i wezwał groźną ochronę. Byliśmy z kamerą, żądał jakiegoś pozwolenia na wejście. Ojciec nie mógł zobaczyć swego architektonicznego dziecka. Co przyjął ze zrozumieniem. Oczywiście jak to u nas, jakoś sprawę się załatwiło, ale ile było hałasu. (Ten kortowy mówi, że wychowała go ulica, że dziwne, że nie wylądował w kryminale, a wyszedł na ludzi. I on też oświadcza, że dawniej było lepiej. Mój tenisowy partner, wybitny artysta malarz, ze skłonnościami do pełnego wdzięku malkontenctwa – widzę w nim siebie jak w krzywym lustrze, co od razu poprawia mi humor – on też mówi, że kiedyś to ludzie chętniej podawali piłki, dzisiaj to nikt już nie poda. Dla niego już nie komuniści są problemem, a serwis. Ciekawe, czy ten problem jakoś odbije się na jego malarstwie? Nazajutrz kortowy funduje wszystkim korty za darmo – mówi, że trafił jakiś ciepły interes. Już nie tęskni za przeszłością. Dzisiaj ma gest. I bądź tu mądry.)

Dla wielu Polaków zrobiło się wygodniej, wolniej, ale jakby mniej przyjemnie. Mechanizm myślenia, które wiedzie na manowce, to idealizacja przeszłości – to młodość utracona, to luksus przeszłości wolnej od zagrożeń, bo co było złe

spopiełało, a co miłe przypomina się jako utrata.

Wybory prezydenckie były tego dowodem, oto więcej niż pół Polski idealizuje przeszłość. Spali z komunizmem, a teraz im się wydaje, że to była ładna dziewczyna.

O czym pisać? Co do dziewczyn, wiem, że Redaktor jest wrażliwy w sprawach obyczajowych, więc pokrywam je tylko milczeniem: tekst zyskałby na atrakcyjności, ale ja bym wiele stracił.

Kim jest agent O? Nowa rewelacja i wielkie spekulacje, kim jest ów tajemniczy agent O? Większość fachowców twierdzi, że to na pewno nie Oleksy. Mnożą się koncepcje, jest ich już killkanaście, nawet Premier zabiera w tej sprawie głos, nic nie wyjaśniając, a zamęczając, ważne, że to nie Oleksy.

Sprawy szpiegowskie są podobno poważne. Myśmy udowodnili, że można z tego zrobić groteskę. Amatorstwo i niechlujstwo właściwie wszystkich urzędów i osób zaangażowanych w tę sprawę, wystawiło spektakl, który się nie kończy, ale który już właściwie nie ma publiczności, tylko zacierzonych aktorów.

Spotykam Michała Ogórka – zawodowego kpiarza z *GW*, też ma kłopot – o czym do diabła pisać? Kończą się w Polsce dla felietonisty tematy. Rozmyły się kryteria, już nie wiadomo co to za zwierzę agent, polityk, złodziej, lewicowiec, prawicowiec. Nawet *Gazeta Polska* twierdzi, że nie jest antysemicka. Nie wiadomo czym jest tajemnica, wiadomo tylko, że tak te pojęcia schudły, że wszystkie wyciekają z tajnych zbiorników.

Jestem na dnie polskiego tematu. Łążę po nim na czworakach i próbuję udowodnić, że na dnie też bywa ciekawie. Czy to znaczy, że nasza sytuacja jest denna? Bez trudu znajdują się w Polsce zastępy polityków i zwykłych obywateli, którzy skwapliwie potwierdzają, że jesteśmy na dnie. (Jan Olszewski ze swoją partią ROP, która tak nagle utyła – moim zdaniem to chorobliwa otyłość, twierdzi, że Polska została zniszczona i wszystko zmierza w kierunku katastrofy. Mój znajomy, wybitny socjolog uważa, że pod chropowatą skórą Polski, gdzie fragmenty całkiem już gładkie, ma miejsce destrukcja i psucie. „Za 10 lat będzie mała rewolucja” – uważa. Na szczęście ludzie wybitnie inteligentni przewidując przyszłość zawsze wybitnie się mylą.) Ale optymistów wokół

też nie brakuje, umiarkowanych, bo optymizm w stylu amerykańskim, z szerokim uśmiechem, nie jest u nas praktykowany, to raczej optymizm z zaciśniętymi zębami, a czasami też dłońmi.

Nawet w lekko depresyjnej Szwecji, którą dobrze znam, mimo pewnej melancholii, zawsze górą jest inżynierski stosunek do problemów – jest kłopot, rozwiązujemy go, pracowicie i metodycznie, razem. U nas najpierw trzeba urodzić górę narzekania, potem zaczynają się podziały i spory, potem kombinacje, a przy okazji zawsze myślenie o własnych interesach. Ile w Polsce napsuto przez te siedem lat, bo każdy problem, w projekcie lub w rozwiązywaniu, zawsze bywa obłożony pieluszkami własnego interesu. Ostatnio dowiedzieliśmy się, że polska telekomunikacja nadal pod tłustą łapą państwa, a co można było kiedyś zrobić w rok, będzie się zółwić po roku dwutysięcznym. Bo niby państwo musi na tym zarobić. W sumie straci, stracimy wszyscy. Partolenie nadal trwa, ale kapitalistyczna dżungla krzewi się, chociaż próbuje się ją trzebić podatkami. Statystyki dotyczące zakupów samochodów, znowu mówią, że zwiększa się grupa ludzi, którym się lepiej wiedzie i przesiadają się na więcej mechanicznych koni.

Polski tygrys ekonomiczny zaskakująco szybko biegnie, ale jest zabiedzony jak zwierzę długo trzymane w złych warunkach, w ogrodzie zoologicznym, tu ślady świerzb, tam brakuje kła, nieco kuleje, a ze wzrokiem chyba nie najlepiej, więc może gdzieś wyrznąć łbem. Czy mamy twarde czoło – tego też nikt nie jest pewien.

Moja przyjaciółka pracuje w firmie reklamowej, jej współnikiem jest człowiek z Zachodu. On jest codziennie załamany i chce rezygnować. Ich praca to pasmo nieustannego zawałania terminów, zawałają kolejni podwykonawcy. Nawalają praktycznie wszyscy, małe firmy i duże. Właściwie żaden termin nie jest dotrzymywany. W końcu jednak zamówiony towar rodzi się i jest w jako takim stanie. Ten brak solidności jest we krwi ludzi tu urodzonych. Młodzież, która wchodzi w zdrowy układ działa profesjonalnie, ale równie łatwo się demoralizuje w układzie chorym. A jednak dzięki kapitalistycznym mechanizmom, to daje postęp. Bo setki

tysięcy małych błędów w posuwaniu się do przodu, nieco opóźniają marsz, ale nie zabierają energii. Tylko gdzie my do diabła idziemy? Na pewno na cmentarz – ale to odpowiedź idioty.

Jaki jest więc ten nasz polski krajobraz? Przepraszam, jest postmodernistyczny. Pełen cytatów z przeszłości, dziwności, z ironicznymi fragmentami, ale też są nowe formy. W sumie dużo chaosu, który trzyma się kupy dzięki naturalnej elastyczności systemu. Rosną w Warszawie eleganckie wieżowce, chociaż to kalki zachodnich kalek, czyli jednak kaleki, nikt nawet nie próbuje szukać polskiego wzoru w architekturze. Koreańczycy właśnie zaczynają budować jakieś szklane monstrum. To wszystko zasłania naszą prowincję, małe miasteczka i wsie. Tam mieszkają największe problemy, a o skali tych problemów nawet nie zdajemy sobie sprawy. Jeśli dzisiaj chłopci gromadzą się i krzyczą, że Polska jest sprzedawana w obce ręce, ta ich ziemia, gdzie ich pot i krew, to ten krzyk jest jednym z piorunochronów ich głębinowego lęku o własny los. Problem, jak Polska wchłonie milionową armię alkoholików? Ten milion przyssanych do alkoholowego cycka, jest istotną częścią charakteru tego kraju i jego kolorytu, czy chcemy czy nie. A wieś jest szczególnie zalkoholizowana, tworząc splot podwójny. Nie jest to jednak węzeł gordyjski. Znamy kraje na początku wieku bardziej zalkoholizowane, a teraz są względnie trzeźwe, czasami aż za bardzo. Wszystko prędzej czy później wsiąka w ziemię, a ona jest tolerancyjna. Gdyby było inaczej, polskie cmentarze byłyby pijane w trupa.

Tłum szkolnych dzieci, na chodniku mnie nagle otoczył, aż dostałem zawrotu głowy, patrzyłem, chłonałem ich buzie, tak, to nowa generacja, powstaje nowa kultura i cywilizacja. Nie ma w niej miejsca dla Mickiewicza, staje się rówieśny Kochanowskiemu, a obaj odchodzą do Hadesu. Pokolenie 20-latków już nie zna nazwisk pisarzy, którzy tworzyli kulturę ostatniego półwiecza.

Ukazały się dzienniki Mariana Brandysa, rok 76-77, opisujące powstanie KOR-u. Żona Brandysa, Halina Mikołajska, była bardzo zaangażowana i prześladowana. Kto to jest Halina Mikołajska, pyta mnie znana pisarka młodej gene-

racji? Co mam jej odpowiedzieć? Ten dziennik to zapis szyszan, ówczesnych naszych emocji, nadziei, życia codziennego. Jakie okropne, jakie wspaniałe czasy, świat dla nas nie był szary, bywał czarno-biały z kolorowymi błyskami radości, gdy udało się coś wygrać z reżimem. A reżim nie miał już zębów, tylko nagie czerwone dziąsła. Ja też pisałem wtedy dziennik, i odnajduję te same co u Brandysa poruszenia, ale też naiwności. Ktoś napisał tekst, który wykipiwa dziennik Brandysa. Tak, bywa ten dziennik naiwny, ale bez tej naiwności bunt nie ma siły, siłę buntowi daje naiwność. W tych zapiskach uderza przerażenie każdym konfliktem w małej opozycyjnej grupie, każdą odmiennością poglądów. To typowe dla małych grup poddanych presji, a to tworzy mentalność getta, rodziny. Ta mentalność odegrała swoją rolę w roku 89, a myślenie rodzinno-notesowe odbiło się rykoszetem o ścianę i trzasnęło nas w głowę. Tak straciliśmy władzę, a dawna, wymuszona przez okoliczności miłość, przerodziła się w nienawiść. I pomyśleć, wtedy na jednej małej łódce, wśród groźnych oceanicznych fal, płynie Jan Olszewski, Antek Macierewicz, J.M. Rymkiewicz, Michnik. Jedni dzisiaj jadają kolacje z generałem Jaruzelskim, inni odkryli, że lata KOR-u to był początek spisku przeciwko istocie polskości. Ale się porobiło.

A ja upieram się – dziennik to potwierdza – źródła były czyste, opozycja zrodziła się z odruchu moralnego buntu, nikt nie wierzył w przejście władzy, każdy wierzył w porażkę. Halina Mikołajska próbuje popełnić samobójstwo, Marian Brandys też czasami o tym myśli. Im dłużej żyję, tym wyraźniej widzę, że świat jest pełen ludzi, którzy śmiertelnie boją się życia. A niektórzy z tych przerażonych, pokonując lęk, idą z gołymi rękami naprzeciw totalitarnemu państwu – zwykle przegrywają. Ale czasami ponoszą inną porażkę, gdy wygrywają. Przejmują władzę i powtarzają grzechy, z którymi kiedyś walczyli, narażając życie. Tutaj na szczęście to zjawisko wystąpiło w postaci łagodniejszej. Najbardziej wstrząsający czarny scenariusz, to los komunistów.

Odwiedzam Mariana Brandysa na Marszałkowskiej, w mieszkaniu gdzie ściany pulsowały od podsłuchów. Teraz na półkach obok książek zdjęcia już nie żyjącej Mikołajskiej. Wspominamy stalinizm, bo Marian Brandys, jak niemal

wszyscy intelektualiści, był w nim po uszy. Zbierając materiały o dniu śmierci Stalina, trafiłem na opowieść o jego niepokoju i rozpacz. Nie pamięta tego – on znany anegdotyczar, za to pamięta, że była jakaś uroczystość ku czci zmarłego ojca ludzkości. Aktorka Chojnowska krzyczała ze sceny, że „zaszło słońce Gruzji”. Aktor Wichniarz nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Śmiertelnie przeraził się swego czynu i zamienił śmiech na szloch, po czym cała sala rozszlochała się. Kiedyś pisałem, jak podobny atak śmiechu na takiej uroczystości miał mój ojciec, i matka musiała go wyprowadzić z sali, skulonego w pół.

Zbierając materiały o tym dniu, fascynuje mnie jak ważną częścią tej czarnej religii był Stalin. Religii, w którą wierzone i nie wierzone, co częste w religiach, wiara i zwątpienie były zlepione plecami jak syjamskie monstrum. Ale był w wierze w komunizm element religijny. Było nawet poczucie winy i zasługi. W chrześcijaństwie ma to charakter indywidualny, Nowa Wiara, co zauważył Leszek Kołakowski, zastąpiła je pojęciem zasługi i winy historycznej.

Wierzone, że formy nierówności, biedy, ucisku, to był wynik konfliktu klasowego, a ludzie byli ofiarami swojej świadomości. Boga to nie interesowało, bo Bóg umarł, ale czy do końca? Była idea, wielki zbawienny plan dla świata. Ruch historii wcielić go miał w życie, ale należało mu pomóc. I tu niezbędne były dłonie wielkiego człowieka, Boga Stalina. Dłonie jak kolumny. Gdy umarł Stalin, zachwiały się wielki plan i zadrżała wiara.

Ciekawe, że nawet ci, co wiedzieli iż umarł zbrodniarz, czuli wielki niepokój, przerażenie, czy nie zwali się strop.

W pismach narodowo-prawicowych nieustanne ataki na polskich intelektualistów, jakby to był największy wróg Polski. „Tak zwani intelektualiści”, to jest ulubiony zwrot naszej narodowej prawicy, lub „tak zwani Europejczycy”. No, ale prosty człowiek Wałęsa, proszę jak nawalił, a prosty człowiek Pawlak. A proszą ludzi co rządzą PRL-em? Bo to nie prosty człowiek, jak u komunistów, jest idolem narodowców, a „prosty, prawdziwy Polak”.

Z okrutnym opóźnieniem ukazały się u nas oficjalnie „Szkice piórkem” Bobkowskiego (pierwsze wydanie Instytut

Literacki, rok 57). To moim zdaniem jedna z najlepszych książek napisanych po polsku, we wszystkich dokumentalnych i literackich wymiarach. Kiedyś do niej wrócę – teraz chciałem przytoczyć trafny fragment tyżący właśnie bardzo polskiego podziału na człowieka prostego i inteligenta. Bobkowski pisze: „Najczęściej inteligent nie uważa prostego tak całkiem za ‘człowieka’, a prosty widzi w inteligencie wiele, ale mało z ‘człowieka’. Obustronna pogarda, wrodzona, zaostzona z jednej strony zawiścią, z drugiej obawą ‘masy’, nie ułatwia przekroczenia tego małego ząbka. Szczególnie u mas.”

Wracając do problemu, kto to jest „prawdziwy Polak”? To nie Żyd, nie mason, nie socjalista, a katolik. Nie może być też zbyt czytany i rozgarnięty, bo wtedy wpada w sidła intelektualne, a tam siedzi diabeł liberalizmu. Pojęcie prawdziwego Polaka jest tak nieostre, że nawet można takiego osobnika fizycznie poznać, po pewnym rozmyciu części głównej.

Na wiecach ROP-u takich osobników bez liku. Jeden z nich właśnie przemawia. „We własnej ojczyźnie nie mamy nic do powiedzenia. Rządzą nami mniejszości narodowe, bo są lepiej zorganizowane”. Olszewski by tak nie powiedział, ale nie protestuje.

Prawdziwi Polacy mają zawsze przy sobie klucz do polskości, z niewielkim krzyżykiem, po kryjomu używają go nie tylko do modlitwy.

Jaki jest nasz krajobraz, nie jest burzowy, już raczej paradoksalnie – idiotyczny. Taki jest kolor nieba nad naszą sceną polityczną. Żadnych dużych katastrof, kraj jednak idzie do przodu, z zewnętrznych zagrożeń można, trzeba mówić o Rosji, ale dzisiaj dla Polaków Rosja, to tylko ci pachnący potem handlarze dzwigający walizy pełne towaru.

Szczególny idiotyzm tam, gdzie polityka. Sytuacja może się wkrótce zmienić w lejek o dwóch pyszczkach, które mają dużą siłę ssania. Jeśli nas wessie, okaże się, że wypłyniemy dwoma czubkami do dwóch osobnych i wrogich sobie zbiorników, czasami wbrew woli i uczuciom. ROP Jana Olszewskiego wydaje się zmierzać nieuchronnie w stronę dogadania się z PSL-em. ROP coraz częściej cmoka do wsi jak na konia, któremu chce dać cukier. Mają więcej punktów

stycznych niż są skłonni przyznać. No i ta przynęta w postaci możliwości przejścia władzy. PSL ma teraz jej sporo, ale SLD jest dla niej ciałem obcym. Wzajemna niechęć przeradza się w nienawiść i pogardę. „Ale to są chamy” – szepczą po kątach postkomuniści. Każdy kto ma kontakt z ludźmi z PSL-u, mówi, że ci ostatni na tle „chłopów” robią wrażenie znakomite. Europa.

Jeśli przyszłość realizować będzie taki scenariusz, a nie wykształci się jakieś centrum, a już widać, że nie, chyba nie, to Unia Wolności i Unia Pracy zostaną wepchnięte w ramiona SLD, by ratować kraj przed kretynizmem ekonomicznym, który bez wątpienia zagrozi Polsce, gdy Olszewski z Pawlakiem zaczną przemeblowywać naszą gospodarkę. Ciekawe jak ROP będzie dekomunizował, a to jedno z głównych ich haseł, po tylu latach to doprawdy fascynująca zagadka, szczególnie, że prawo ma nadal być prawem. I jak z tej dekomunizacji wyłączyć ludzi z PSL-u. I jak to robić, gdy wedle ROP-u, Unia i liberałowie wszelkiej maści, są jeszcze gorsi od postkomunistów. Czym będą to robić, skoro Olszewski nie ma ani praw ani ludzi, a co ma, pożał się Boże. Wizja rządu, wizja Sejmu pełna tego towarzystwa, to doprawdy obraz śmieszny i straszny.

Biedny Jan Olszewski, znałem go i ceniłem, uwierzył, że Polska padła ofiarą spisku. I jak owoc, jest od środka wyżerana przez robaka. Tak, jest jakiś robak, ale ten sam robak co gryzie Polskę, gryzie Olszewskiego. Skrętek mózgowy, pospolity. „To chyba uczciwy człowiek, jednak uczciwy” – mówią ci co znali mecenasa Jana z dawnych lat, ja też go znałem i chwilami chcę tak myśleć. Ale co myśleć, gdy uczciwy człowiek w walce o swoją sprawę siada w jednej wannie z Wrzodakiem i Kurskim, a woda zabarwia się na czarno.

Ogon, który ciągnie się za Olszewskim tak blisko jego nasady, jak i blisko końca, pachnie narodowym socjalizmem, oczywiście w stylu nie weimarskim a polskim, endeckim. Sojusznik Olszewskiego – Wrzodak z Ursusa, ujawnił już dawno swój światopogląd, powinien być raczej w partii Tejkowskiego, która śledzi Żydów, masonów i pedałów.

(Maciej Jankowski, szef mazowieckiej „Solidarności”, miał okres lekkiego odjazdu w kierunku radykalizmu poli-

tycznego. Jak obejrzał sobie Wrzodaka, konkurenta na stołek szefa w regionie „Solidarności Mazowsze” jak posłuchał ludzi z ROP-u, to nagle otrzeźwiał. I wraca do krainy zdrowego rozsądku.)

Coraz częściej spotykam ludzi, którzy gdy zwiedzili nasz polityczny ogród zoologiczny, gdzie klatki coraz mniejsze, a ich mieszkańcy coraz bardziej zdziczali, dochodzą do przerażającego dla nich samych wniosku. Niech już lepiej rządzą postkomuniści. A opozycja musi tylko patrzeć im na palce u rąk, a nawet u nóg, w razie czego używając broni strajku. W obecnej sytuacji przejęcie władzy przez narodowców, populistów i chłopów, może zagrozić dorobkowi ostatnich kilku lat.

Niby próbuje się tworzyć teraz środek na użytek wyborów, z „Solidarnością”, KPN-em, ZChN-em, z „Ruchem Stu”. Świadomie bez Unii Wolności i bez ROP-u. Pierwsza za lewicowa i bezkształtna, drudzy są za populistyczni. I nie chcą błogosławieństwa Wałęsy, a ten ma pobłogosławić ów środek, który jak na środek jest tak szeroki, że rozum tego nie obejmie ramionami.

Minister edukacji prof. Jerzy Wiatr, nie jest moim idolem, bynajmniej. Ale idea poważnej edukacji seksualnej w szkole, o co jest atakowany, to ważna sprawa. Prasa doniosła, że wedle badań 18 milionów Polaków w ciągu miesiąca kocha się 55 milionów razy. Jak coś takiego pomieścić w wyobraźni? Daje to jednak kiepską średnią europejską – raz w tygodniu. Aż około 50% Polaków stosuje środek antykoncepcyjny w postaci stosunku przerywanego, co jest metodą więcej niż kiepską, ani przyjemną ani bezpieczną. Pigułka to niewielki procent. A wiedza na tematy seksualne u nas prawie zerowa, w czym spora zasługa Kościoła.

A pewna liberalizacja, czy większa elastyczność nauki religii w szkole, o co walczy prof. Wiatr, też nie wydaje mi się pomysłem szatana. Nie podoba mi się jego biografia, nie podoba mi się jak o niej mówi, oraz jego nadal socjalistyczne poglądy, ale wolę go na tym stanowisku niż kogokolwiek z naszej narodowej prawicy. Nasza szkoła już kiedyś była w rękach doktryny. A z jajek, które wylądowały na głowie profesora, gdy spotkał się ze studentami w Krakowie, nie

wylęganie się żadne rozsądne piskle. Ile dumy było z tych jajek na głowie ministra. Rozbijać jajka, to potrafimy, pieścić je by się coś wykluło, to już nie.

Ewidentnym skandalem jest natomiast sytuacja w Ministerstwie Kultury. Anegdota na temat ministra kultury Zdzisława Podkańskiego (PSL), to jedyne dobre dowcipy jakie znam z ostatniego roku. Jeśli proponuje swoim współpracownikom by pomogli mu spotkać się z Józefem Czap-skim, to niestety nie jest to świadectwo jego metafizycznych pasji. Można było się zżymać na Dejmka, ale na tym tle błyszczy jego klasa. PSL zaskakuje wszystkich brakiem klasy, pazernością na posady i załatwianiem własnych interesów kosztem państwa.

Warszawskie Targi Książki w brzuchu daru Stalina. Jak zwykle wirówka książek i wydawców. Książka bywa niezwykle delikatnym produktem, a ręce wielu wydawców są szorstkie. Spotykam kilku kolegów z czasów podziemia, niewielu z nich utrzymało swoje wydawnictwa i prowadzi je do dzisiaj. Jest teraz ogromnie wiele wydawnictw, niektóre małe, inne wielkie rekiny, a wszyscy twierdzą, że pływają nad wulkanem, a jednak jakoś sobie radzą. Nawet książki trudne znalazły sobie nisze i w nich rosną.

Kolejki po autograf do Różewicza i Miłosza, jak kiedyś po mięso. Patrząc na Różewicza, coraz bardziej schowany w sobie, ta ludzka nić czytelników jest jak pępowina, która go łączy z życiem. Pytam Miłosza, czy nie upokarza go taka ilość książek i autorów, tu nawet wielcy maleją. Nie! Jest bardzo zadowolony. Spotykam dziesiątki, setki piszących, ci jednak cierpią w tym tłoku. Bo jednak nic tak nie rozbudza próżności jak sztuka. Ale kto się do tego przyzna? Przypomina mi się genialne zdanie Markiza de Custine'a „Z ambicją bywa jak ze skąpstwem i skąpi zawsze rachują, nawet gdy są przekonani, że kierują się jedynie bezinteresownym uczuciem”.

Wzruszające spotkanie z autorami *Kultury* paryskiej. Przy okrągłym stole jest Miłosz i cała nasza pokazna grupka, którzy pisali lub piszą nadal. I co ważne i miłe, wszyscy chyba lubimy się nawzajem, w kraju gdzie tak wiele dawnego lubienia się uszło, zgniło, albo przerodziło się w silne niechęci.

Dobrze, że Giedroyc kolejnych głosów nie słyszał, bo nie

byłby w stanie przełknąć tylu pochwał i komplementów.

A potem szefowa targów zaprowadziła nas do swego gabinetu, złote listwy i karmazyny, siedzenia foteli pamiętają zady innej epoki. Z gabinetu przez balkonowe drzwi otwiera się niebywały widok na Salę Kongresową. Kolos w półmroku, pusty jak puste bywają sale koncertowe podczas wojny, ale ja tylko słyszę wybuchy czasu: stalinowskie wiece, a w roku 68 tłum wyjący: Wiesław, Moczar, gdy na trybunie miotał się Gomułka zaplątany we własne sieci, i wycie koncertu Rolling Stonesów, i jak wyprowadzano w roku 90 zwłoki PZPR...

SMECZ

MARC S. FRANCISZKOWSKI
LETTRES SLAVES
LIBRAIRIE – EDITIONS

18, rue Brillat Savarin. F. 75013 PARIS

Tel. 45-81-52-52 FAX 45-81-27-24

Prowadzę kupno i sprzedaż książek dawnych i nowych, rzadkich i wyczerpanych oraz rycin, map, rysunków dotyczących Polski i krajów słowiańskich w językach oryginalnych i tłumaczeniach.

I

Prowadzę działalność księgarską i antykwaryczną na miejscu i drogą pocztową

I

Na życzenie wysyłamy katalogi

O religii bez namaszczenia

Testament zamordowanego zakonnika

W końcu maja br. obiegła świat wiadomość o zamordowaniu przez fundamentalistów islamskich siedmiu zakonników-trapistów porwanych w końcu marca z ich klasztoru Notre-Dame de l'Atlas. Ich przełożony O. Christian de Chergé pozostawił po sobie w zapieczętowanej kopercie swój testament, do ogłoszenia dopiero po jego śmierci. Oto ten dokument, który zdaje się zawierać w sobie in nucleo całą teologię, wyznanie wiary człowieka, który głową sięgał nieba, nogami stał mocno na ziemi, a serce miał i tu, i tu.

Gdyby się pewnego dnia zdarzyło – a mogłoby to być już dzisiaj – że padnę ofiarą terroryzmu, który zdaje się obecnie zagrażać wszystkim cudzoziemcom zamieszkującym w Algierii, pragnąłbym, aby moja wspólnota, mój kościół, moja rodzina pamiętała, że moje życie było oddane Bogu i temu krajowi. By zdali sobie sprawę, że Jedynemu Władcy wszelkiego życia to moje brutalne odejście nie było obce. By modlili się za mnie: bo jakże mogłem zostać uznany za godnego złożenia takiej ofiary? By potrafili związać moją śmierć z tylu innymi, które są równie okrutne, lecz pozostają ledwo zauważone i bezimiennie. Moje życie nie jest więcej warte niż jakiegokolwiek inne. Ale też nie jest mniej warte. W każdym razie nie ma w nim niewinności dzieciństwa. Żyję już na tyle długo, że świadom jestem własnego udziału w złu, które niestety zdaje się przeważać na tym świecie, nawet tego, które może we mnie ślepo uderzyć. Chciałbym, gdy ten moment

nadejdzie, mieć umysł na tyle jasny, bym mógł prosić o przebaczenie Boga i wszystkich moich bliźnich i równocześnie przebaczyć z całego serca temu, który ugodzi we mnie.

Nie życzę sobie takiej śmierci.

Myszę, że muszę to jasno powiedzieć.

Bo nie wyobrażam sobie, jak mogłbym się cieszyć z tego, że ten naród, który kocham, miałby być w czambuł oskarżany o zamordowanie mnie. To zbyt wysoka cena, za coś co prawdopodobnie zostanie określone jako „łaska męczeństwa”, by płacił ją Algierczyk, ktokolwiek nim będzie, nawet jeśli powie on sobie, że czyni to w imię po swojemu rozumianego islamu. Wiem jaką pogardą świat darzy Algierczyków, wszystkich, bez różnicy. I znana mi jest karykatura Islamu, forsowana przez pewien typ ludzi *dobrze myślących*. Ci ludzie zbyt łatwo uspokajają własne sumienie, stawiając znak równania między religią i ideologią skrajnych fundamentalistów. Dla mnie Algieria i islam to dwie różne rzeczy; to ciało i dusza. Stwierdzałem to już wielokrotnie, w pełni świadom tego, co im zawdzięczam, tak często odnajdując w nich prostą nić przewodnią Ewangelii, tak jak nauczyła mnie jej moja matka, mój pierwszy kościół – odnajdując ją właśnie tu w Algierii, w postawie szacunku wierzących muzułmanów. Moja śmierć zapewne okaże się argumentem na rzecz tych, którzy szybko skwitowali mnie jako naiwnego idealistę. „Niechby nam powiedział teraz, co o tym myśli.” Ale niech ci ludzie wiedzą, że wtedy będzie już zaspokojona moja najbardziej dociekliwa ciekawość. Bo wtedy, jeśli Bóg zechce, będę mógł stopić moje spojrzenie ze spojrzeniem Ojca i wraz z nim zobaczyć Jego dzieci islamskie tak jak On je widzi, ludzi ogarniętych światłością chwały Chrystusa, owocu Jego Męki, obdarzonych Darem Ducha, którego tajemną radością będzie zawsze tworzenie wspólnoty, ukazywanie podobieństw i radowanie się różnicami.

Za życie utracone, całkowicie moje i całkowicie ich dziękuję Bogu, który jak gdyby tylko dla tej Radości je stworzył, radości ze wszystkiego i mimo wszystko.

Do tego mojego *Dziękuję* za całe moje życie wraz z tym, co jeszcze może się w nim zdarzyć, włączam Was wszystkich,

przyjaciół dawnych i dzisiejszych, i Was przyjaciół tu na miejscu, a także moją matkę i ojca, siostry i braci, i ich rodziny – moje stokrotnie przyręczone dzięki! A także ciebie, przyjacielu mojej ostatniej minuty, który nie będziesz wiedział, co czynisz. Tak, ciebie też do mojego *Dziękuję* włączam i do mojego *A-Dieu, z Bogiem*, którego widzę także w twojej twarzy. By dane nam było się spotkać, jak dobrym lotrom, w raju: bo tak spodobało się Bogu, który jest Ojcem nas obu. Amen.

Christian

Tłumaczył z oryginału francuskiego A.P.

Notatki Redaktora

Doskonałym posunięciem prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego było zaproszenie na zjazd w Łańcucie prezydenta Ukrainy, Kuczmy, ale wielka szkoda, że nie został zaproszony również prezydent Litwy, Brazauskas.

Problem Polaków na Litwie jest klasycznym przykładem braku polityki wschodniej rządu polskiego. Wydawałoby się, że politykę rządu reprezentuje ambasador Widacki, który konsekwentnie dąży do normalizacji stosunków polsko-litewskich, a specjalnie broni pozycji mniejszości polskiej. Jego polityka jest gwałtownie zwalczana przez kilku liderów Związku Polaków na Litwie i jego politycznej przybudówki Akcji Wyborczej Polaków na Litwie. Przez swoją demagogiczną działalność liderzy ci pogłębiają tylko szkodliwe antagonizmy polsko-litewskie. Ich działalność znajduje, niestety, poparcie w Polsce, a przede wszystkim u przewodniczącego Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” – prof. Andrzeja Stelmachowskiego. Prof. Stelmachowski, pod ich wpływem, dzieli Polaków na Litwie na niedobrych – prolitewskich i dobrych – antylitewskich, którym należy pomagać. Popiera on utopijną koncepcję tworzenia polskiego uniwersytetu w Wilnie czy budowy Domu Polskiego. O tych sprawach pisałem zresztą kilkakrotnie w swoich „Notatkach”.

Ta nieodpowiedzialna działalność pp. Maciejkiańca i Sienkiewicza spotyka się na szczęście z rosnącym oporem. Najlepszym dowodem jest powstała nowa organizacja Kongres Polaków Litwy czy też działalność Czesława Okińczycza lub p. Mieczkowskiego.

Przypuszczam, że jest sprawą pilną, by premier RP zainteresował się tym i powołał np. komisję międzyministerialną

dla uregulowania tych spraw, a przede wszystkim dla zastanowienia się, w jakim kierunku powinna funkcjonować „Wspólnota Polska” p. Stelmachowskiego, jak również wyjaśnić m.in. sprawę repatriacji Polaków ze Wschodu, bo w tej dziedzinie jest kompletny chaos i zbyt wiele krzyżujących się inicjatyw, i tu inicjatywy „Wspólnoty” są nie bardzo szczęśliwe.

O uchwalonej ustawie o wykonywaniu mandatu posła i senatora pisze w tym numerze Krzysztof Wolicki. Chciałbym dodać tylko kilka uwag i informacji. W roku bieżącym Kancelaria Sejmu ma budżet 156 mln złotych, a więc na jednego posła przypada 347 tys. złotych. M.in. w tym 3 mln. złotych jest przewidziane na podróże zagraniczne, tj. mniej więcej 900 podróży. Te podróże obejmują nie tylko rozjazdy delegacji do różnych instytucji europejskich ale praktycznie biorąc również podróże o charakterze chyba turystycznym, bo jak inaczej określić podróże, dosłownie po całym świecie, marszałka senatu, Adama Struzika, który ofiarowuje głowom państwa polskie stroje ludowe. Niezależnie od tych przywilejów materialnych, został rozszerzony immunitet poselski. M.in. immunitet posła ma być rozszerzony na odpowiedzialność karno-administracyjną oraz będzie dotyczył czynów przed uzyskaniem mandatu.

Ustawa o państwowej służbie cywilnej przewiduje, że wraz ze zmianą gabinetu odchodzą również wojewodowie i wicewojewodowie. Praktycznie może to spowodować destabilizację administracji państwowej i ułatwić rządzącej w danym momencie koalicji walkę o stanowiska. Jak wygląda ten przydział stanowisk, nie oparty na odpowiednich kwalifikacjach, widzimy wyraźnie na przykładzie obecnego gabinetu, w którym są z przydziałów partyjnych minister kultury czy minister obrony narodowej.

Jeśli idzie o politykę ministra kultury i sztuki to IV Zjazd Delegatów Stowarzyszenia Pisarzy Polskich podjął poniższą uchwałę:

„IV Zjazd Delegatów Stowarzyszenia Pisarzy Polskich deklaruje stanowczy sprzeciw wobec – przewidzianego w Uchwale rządu z 16 IV 1996 r. (tzw. Pakiet 2000) – projektu wprowadzania progresywnego podatku VAT od książek i podobnych publikacji, który to podatek w roku 2000 ma osiągnąć wysokość 7%. Uznajemy projekt ten za rujnujący nie tylko sytuację materialną pisarzy i wydawców, lecz – co najważniejsze – sprawę czytelnictwa w Polsce, od którego zależy trwałość pamięci historycznej i rozwój kulturalny społeczeństwa. Ufamy, że projekt ten zostanie wycofany i nie zamieni się w ustawę.

IV Zjazd Delegatów SPP protestuje równocześnie przeciwko kwestionowaniu przez Ministra Kultury i Sztuki prawa do dotacji resortu dla 40 ze 115 tak wspieranych czasopism. Restrykcja ta ma objąć zarówno najważniejsze czasopisma regionalne, decydujące o awansie cywilizacyjnym przeważającej części kraju, jak czasopisma literackie, nawet najbardziej zasłużone, jak też czasopisma naszych mniejszości narodowych i religijnych, co uważamy za szczególnie groźne dla polskiej racji stanu.

Ponieważ projekt wprowadzenia podatku VAT od książek nie spotkał się – co nie ma precedensu w naszej nowej rzeczywistości – ze sprzeciwem aktualnego Ministra Kultury i Sztuki, zaś wspomniane wyżej, tak ważne czasopisma, zostały przez niego zakwestionowane co świadczy, że kierownik tego resortu nie docenia ani pozycji, ani dorobku, ani społecznej wagi piśmiennictwa i czasopiśmiennictwa polskiego, IV Zjazd Delegatów Stowarzyszenia Pisarzy Polskich zwraca się do Prezesa Rady Ministrów RP z apelem o taką zmianę na stanowisku kierowniczym resortu kultury i sztuki, która zapobiegnie degradacji tego najważniejszego działu kultury narodowej.”

O cięciach budżetowych ministra kultury pisałem w ostatnich „Notatkach”. Tu chciałbym tylko dodać, że nie wypłacono również dotacji dla miesięcznika *Ex Libris*, którego egzystencja jest zagrożona. A jakie znaczenie ma to pismo, tego nie trzeba uzasadniać.

W związku z wizytą prezydenta Ukrainy Kuczmy, pięknym gestem byłoby zwołanie specjalnego posiedzenia parlamentu dla uchwalenia ustawy o odszkodowaniach za operację „Wisła” i uczczenia rocznicy układu Marszałka Piłsudskiego z Symonem Petlurą. Byłoby również warto wydać z tej okazji specjalny, pamiątkowy znaczek pocztowy.

Nieszczęsna sprawa Józefa Oleksego doprowadziła praktycznie do zniszczenia wywiadu, który, zresztą, nie stanął na wysokości zadania. Wynika z tego, że wywiad jest sprawą zbyt poważną by powierzać go jedynie szpiegom, ludziom związanym z poprzednim okresem. Jedynym wyjściem jest jego likwidacja i zorganizowanie na nowo, powierzając służby informacyjne ludziom wywodzącym się z innych środowisk. Najlepszym przykładem jest Izrael, gdzie szefem słynnego Mosadu jest Meir Amit, wykształcony w Bussines Economics na Uniwersytecie Columbia, który naśladuje metody pracy i kierowania wywiadów handlowych wielkich korporacji. Również w Szwecji Anders Eriksson, szef szwedzkiej policji bezpieczeństwa i kontrwywiadu cywilnego, był uprzednio wysokim urzędnikiem ministerstwa sprawiedliwości, i jako prawnik nigdy wcześniej tymi sprawami się nie zajmował.

Polski wywiad został przez Rosjan ośmieszony, Polska została pokazana jako kraj, w którym służby informacyjne mogą mieć ambicje podważania demokratycznych wyborów, a do tego jeszcze mamy w tej chwili prawdziwą inflację lirycznych zwierzeń byłych ubeków: szpiegujący dla potrzeb KGB Zacharski powołuje się na tradycje Szarych Szeregów a Andrzej Kapkowski z dumą podkreśla, że w bezpieczeństwie przepracował 28 lat. Tylko niezależni ludzie, bez życiorysowych i partyjnych obciążeń, mogą postawić polski wywiad na odpowiednim poziomie, a do tego ludzie rozumiejący zasady i potrzeby nowoczesnego wywiadu. No, ale kto z polskich polityków będzie miał odwagę i siłę przeprowadzić taką reformę?

W tej chwili najważniejszym problemem są losy Stoczni Gdańskiej. Pomijając światowy kryzys w tej dziedzinie, sprawa stoczni od czasów premierostwa Mieczysława Rakowskiego była przedmiotem nieodpowiedzialnej gospodarki i nieodpowiedzialnych inicjatyw. Jakakolwiek racjonalna reforma była uniemożliwiona przez legendę jaka otaczała stocznice – ośrodka, w którym wykuwała się niepodległość Polski. Obawiam się, że fala demagogii uniemożliwi jakąkolwiek reformę, tym bardziej w momencie, kiedy wmieszało się w to Stronnictwo Ludowe, które wykorzystuje to jako okazję do usunięcia ministra Kaczmarka. Rząd premiera Cimoszewicza grozi jedynie usunięciem z rządu któregoś z ministrów z PSL. A więc znów wszystko sprowadza się do walki o stołki.

Nie jestem entuzjastą Stronnictwa Ludowego ani jego prezesa p. Pawlaka, których działalność uważam za niezmierzenie szkodliwą, ale myślę, że jedynym wyjątkiem w tej partii jest marszałek sejmu, Józef Zych, który przez swój takt i wyrobienie potrafił podnieść autorytet sejmu. Atak na niego przypuszczony przez *Nie Urbana* jest czymś wyjątkowo obrzydliwym. Nie chcę domyślać się, kto ten atak zainspirował i jakim interesom ma on służyć.

Jerzy Łukaszewski, Ambasador RP w Paryżu, po zakończeniu swej kadencji opuścił Francję. W czasie urzędowania zdobył dużą pozycję w świecie politycznym Francji. Było mu w tym niewątpliwie pomocne wieloletnie kierowanie College d'Europe Libre w Brugges.

Ambasador Łukaszewski nawiązał bardzo dobre stosunki z organizacjami emigracyjnymi i polskimi placówkami we Francji, jak również z naszymi sąsiadami. Dużym atutem w ostatnim okresie jego urzędowania były przyjacielskie stosunki z prezydentem Francji i jego rodziną. Szkoda, że nie będzie mu towarzyszył w czasie jego wizyty w Polsce jesienią br.

Niepokojącym zjawiskiem jest inflacja orderowa w Polsce. Przede wszystkim jest to rażące przy rozdawaniu Orderu Orła Białego, który jest najwyższym odznaczeniem Rzeczypospolitej Polskiej przyznawanym głowom Państwa czy osobom o wyjątkowych zasługach. Celował w tym poprzedni prezydent, ale niestety Aleksander Kwaśniewski idzie jego śladem. Specjalne zdziwienie wywołało przyznanie Orderu Orła Białego Włodzimierzowi Reczkowi, którego jedyną zasługą jest to, że należał do partii „od zjazdu zjednoczeniowego w 1948 roku aż do jej rozwiązania”. Jeżeli się czymś odznaczył to jedynie na odcinku kultury fizycznej i sportu.

Nie należy mieszać Orła Białego ze Sztandarem Pracy czy Budowniczym Polski Ludowej.

REDAKTOR

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

Sprawy i troski

Niech „inni” nie będą „obcy”

Przeciw stereotypom i uprzedzeniom

Znamiennym rysem polskiej rzeczywistości stały się po 1989 roku zachowania społeczne wyrażające agresywną nietolerancję wobec mniejszości narodowych, religijnych i kulturowych. Lista ich jest długa. Antyukraińskie wystąpienia w Przemyślu, antycygańskie ataki w Mławie, czy ostatnia demonstracja członków Polskiej Wspólnoty Narodowej na terenie obozu zagłady w Oświęcimiu to tylko przykłady najbardziej znane i spektakularne.

Na przeciwnym biegunie mieszczą się ważne, choć zdecydowanie słabiej „nagłaśniane” przez mass-media, a przez to mniej znane, liczne inicjatywy na rzecz tolerancji i pojednania, zmierzające do stworzenia w Polsce warunków, w których „u siebie” czuliby się ludzie różnych wyznań i narodowości. Przykładem takiej inicjatywy jest Społeczna Szkoła Podstawowa i Liceum „TAK”, działające w Opolu pod patronatem Towarzystwa Alternatywnego Kształcenia.

Polskiego społeczeństwa lat 90-tych nie sposób zrozumieć nie znając – jak pisze Jerzy Giedroyc – tej „dziwnej mieszanki pięknej tolerancji i krótkowzrocznego szowinizmu”. Zmienić proporcje, na rzecz przewagi zachowań tolerancyjnych, może kształtowanie takich postaw u ludzi młodych, podejmowane na szeroką skalę w ramach programów edukacyjnych. Z tego punktu widzenia opolska inicjatywa jest propozycją z przyszłością.

Historia mojej rodziny

Spółeczna szkoła podstawowa „TAK” powstała w 1990 roku i była jedną ze szkół niepublicznych, które w oparciu o nowe przepisy rodziły się w tym okresie „jak grzyby po deszczu”. Podobnie jak inne szkoły niepubliczne, opolska „TAK” znalazła się pod baczną i nie zawsze życzliwą obserwacją miejscowego Kuratorium Oświaty i Wychowania, które podobnie jak większość kuratoriów z nieufnością przyglądało się nowym inicjatywom edukacyjnym. Ich powstanie było przede wszystkim reakcją na skostniały i nie przystający do współczesnych potrzeb system edukacyjny ukształtowany w warunkach autorytarnej PRL. Dlatego też społeczne inicjatywy edukacyjne – a opolska szkoła podstawowa „TAK” była tego przykładem – realizując obowiązkowe minimum programowe jednocześnie kładły nacisk na niekonwencjonalne metody kształcenia, łączące walory poznawcze z wychowawczymi. Zespół pedagogów z opolskiej szkoły – co również nie było wyjątkowe – na własną rękę szukał tych metod. Bardzo interesujące rezultaty tej pracy to wynik konsekwentnych, wieloletnich działań, które – jak w każdym wypadku gdy przecierane są nowe szlaki – nie były samym pasmem sukcesów. W Społecznej Szkole „TAK” własne poszukiwania rozpoczęto od programu „Historia mojej rodziny” – była to „wyprowadzenie do korzeni”, szukanie przez dzieci ich rodzinnej tradycji – opowiada Beata Malisziewicz, dyrektor szkoły. Dzieci miały dowiedzieć się gdzie urodzili się i mieszkali ich rodzice, dziadkowie, a jeśli było to możliwe, dalsi przodkowie. Chodziło zarówno o poznanie miejsca, jak i środowisk. Dzieci szukały odpowiedzi na pytania: co jest szczególnego w ich rodzinach, w jakich ważnych, dziwnych i ciekawych wydarzeniach członkowie rodziny brali udział, porównywały losy rodzin obojga rodziców. Rezultaty tych dociekań były przedmiotem lekcji historii, gdzie indywidualne losy, jeśli to było możliwe, wpisywano w historię narodową i powszechną. Na zakończenie programu każde dziecko przygotowało planszę, na której przy pomocy zdjęć, rysunków i tekstów opowiadało historię swojej rodziny. Finałem była wystawa 70 najciekawszych plansz, która w 1991 roku odbyła się w

Muzeum Diecezjalnym, stając się wydarzeniem szeroko komentowanym w Opolu. W ten sposób odkrywaliśmy przed dziećmi znaczenie rodzinnej tradycji, splatającej się z losami społeczeństwa – mówi Beata Malisziewicz. Realizacja tego programu była wstępem do dalszych poszukiwań, które, jak często w takich sytuacjach bywa, uruchomił przypadek.

W 1992 roku, jako jedna ze szkół podstawowych na Opolszczyźnie, Społeczna Szkoła Podstawowa „TAK” została objęta programem badań socjologicznych na temat uprzedzeń i stereotypów narodowościowych u dzieci i młodzieży. Badania te zaprogramowała i przeprowadziła, kierowana przez prof. Wiesława Łukaszewskiego, katedra psychologii opolskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej (obecnie Uniwersytetu Opolskiego). Z badań tych wynikało, że dzieci i młodzież są silnie naznaczeni uprzedzeniami narodowościowymi, przy czym najwięcej niechęci budzą Cyganie, Ukraińcy i Żydzi, a zatem narodowości, z których przedstawicielami dzieci na Opolszczyźnie miały kontakt rzadki (Cyganie) lub incydentalny. Najmniej zaobserwowano uprzedzeń antyniemieckich, co autorzy ankiety tłumaczyli codziennymi kontaktami zarówno z członkami mniejszości niemieckiej, jak i z gośćmi zza zachodniej granicy. Wyniki badań wskazywały, że dzieci przejmują i powielają stereotypy uprzedzeń, z którymi spotykały się w domach rodzinnych. Tym przede wszystkim tłumaczono istnienie silnych uprzedzeń i stereotypów antyżydowskich i antyukraińskich. Okazało się przy tym, że biorąc pod uwagę poziom uprzedzeń, dzieci w szkole „TAK”, wywodzące się w większości z dobrze sytuowanych rodzin, w znacznej części inteligentnych, nie różnią się od innych wybranych losowo grup badanych w Opolu i na Opolszczyźnie. Wyniki tych badań zainspirowały dyrekcję szkoły „TAK” do podjęcia w ścisłej współpracy z katedrą psychologii WSP dwuletniego programu edukacji wielokulturowej, zatytułowanego „Spotkajmy się z innymi: niech inni nie będą obcy”. Ze strony uczelni liderem grupy psychologów animujących program stała się dr Barbara Weigl, będąca zarazem prezesem Towarzystwa Alternatywnego Kształcenia.

Edukacja i święto

Celem programu „Spotkajmy się z innymi: niech inni nie będą obcy” było zmodyfikowanie stereotypów i uprzedzeń poprzez dostarczenie dzieciom wiedzy o mniejszościach narodowych mieszkających w Polsce i stworzenie okazji do bezpośrednich kontaktów z przedstawicielami tych mniejszości. W programie uwzględniono sześć „polskich” mniejszości: białoruską, cygańską, litewską, niemiecką, ukraińską i żydowską. Każdy „narodowościowy” segment programowy trwał w szkole trzy miesiące i był wkomponowany w ramy normalnych zajęć lekcyjnych we wszystkich klasach. Program realizowano na lekcjach historii, geografii, języka polskiego, wychowania muzycznego i plastycznego. W cyklu „cygańskim” np. na lekcjach języka polskiego dzieci poznawały wiersze Papuszy, na lekcjach historii wprowadzono elementy historii narodu cygańskiego, na wychowaniu muzycznym dzieci uczyły się cygańskich piosenek, a na wychowaniu plastycznym rysowały i malowały znane z opowiadań, a często wyobrażone, obrazy z życia Cyganów. W cyklu „ukraińskim” tematem zajęć były np. kozackie dumki oraz wiersze Tarasa Szewczenki, współczesne opowiadania i ludowa muzyka ukraińska. Dzieje Ukrainy i Ukraińców były tematami lekcji historii, a na geografii uczniowie charakteryzowali obszar i specyfikę terytoriów zamieszkiwanych przez Ukraińców. Punktem wyjścia lekcji była wiedza na temat „innych” wyniesiona z domu i zdobyta skądinąd. Elementem kształcenia były tzw. gry psychologiczne, z jednej strony osławiające dzieci z odrębnościami kulturowymi, religijnymi i językowymi, z drugiej skłaniające do przyjęcia postawy wyjścia naprzeciw „innym” i do chęci nawiązania z nimi współpracy. Poświęcając szczególną uwagę mniejszościom mieszkającym w Polsce, nauczyciele uwrażliwiali uczniów na uniwersalne zjawisko odrębności narodowościowych, kulturowych i religijnych. Na zakończenie każdego cyklu cała szkoła przygotowywała odświętny „wieczór narodowy”, będący podsumowaniem edukacyjnego cyklu związanego z każdą z mniejszości. Na program „wieczoru narodowego” składały się tańce i pieśni poszczególnych mniejszości przygotowane przez uczniów, po koncercie serwowano narodowe dania kulinarne. Gośćmi

wieczoru, w którym uczestniczyli rodzice, byli przedstawiciele poszczególnych mniejszości, którzy odpowiadali na pytania dotyczące jej historii i zwyczajów, a później brali udział we wspólnej zabawie. Na zakończenie dwuletniego programu w opolskim Teatrze im. Jana Kochanowskiego odbył się w czerwcu 1994 roku „Koncert narodów”, w którym wspólnie z uczniami szkoły „TAK” wystąpiło ok. 200 wykonawców reprezentujących sześć mniejszości – byli to soliści i zespoły białoruskie, cygańskie, litewskie, niemieckie (zespół „Eichendorff” z Raciborza), ukraińskie (z liceum w Legnicy) i żydowskie. Przygotowując nowatorski program edukacyjny nauczyciele sami musieli uczyć się właściwie „od zera” – wykształceni w szkołach PRL nie mieli albo żadnej wiedzy o mniejszościach narodowych, albo była to wiedza zafałszowana. Beata Maliszkievicz nie ukrywa, że trudności w realizacji programu wynikały także z konieczności przełamywania uprzedzeń i stereotypów, które, jak się okazało, nieobce były nauczycielom. Najtrudniejsze chwile przeżyliśmy przygotowując się do części „niemieckiej” – przyznaje dyrektor szkoły „TAK”, zaznaczając że rodzice nie protestowali przeciwko realizacji programu i brali czynny udział w związanych z nim imprezach.

– Ta edukacja na pewno coś „przekręca” w umysłach dzieci – mówi Beata Maliszkievicz podsumowując dotychczasowe doświadczenia, związane z realizacją programu „Spotkajmy się z innymi”. Dla zilustrowania swego poglądu opowiada zdarzenie, jakie niedawno miało miejsce na lekcji w klasie ósmej, podczas której jeden z uczniów użył w wypowiedzi słowa „czarnuch” na określenie Murzyna. – Miałam ochotę zareplikować, ale opanowałam się. A jeden z kolegów opowiadającego, odezwał się z wyraźnie zaznaczoną ironią: co ty, po dwóch latach programu wielokulturowego mówisz „czarnuch”? I w tym stylu ironiczno-perswazyjnym zaczęły wtórować inne osoby. Po naszym programie mówiąc „czarnuch”, uczniowie mają co najmniej poczucie „grzechu” – podsumowuje Beata Maliszkievicz.

W stronę historii regionalnej

Doświadczenia zdobyte w dotychczasowo zrealizowanych programach „pilotażowych” wykorzystywane są w szkole na

co dzień. Program „Historia mojej rodziny” jest corocznie realizowany w klasie czwartej. Lekcje, których tematem jest kultura i historia mniejszości narodowych są obecne w programie przez cały rok. Obecność tekstów ukraińskich, białoruskich i żydowskich na zajęciach, obok programowego minimum obowiązującego we wszystkich szkołach, to teraz dla dzieci „normalka”. Od roku szkolnego 1996/97 nauczyciele postanowili poświęcać każdej z sześciu mniejszości jednoroczny cykl edukacyjny (w kolejnych klasach), którego finałem będzie „wieczór narodowy”. Przygotowanie takich „wieczorów”, jak pokazało doświadczenie, było wydarzeniem długo pamiętanym przez uczniów, utrwalającym wiedzę o mniejszościach i pozytywnie wpływającym na integrację szkolnej społeczności.

„W nowym roku szkolnym, konstytuując dotychczasowe formy edukacji, chcemy skoncentrować się na kulturze i historii Opolszczyzny. Żyjemy w regionie, którego mieszkańcy nie mają świadomości lokalnej historii” – mówi Beata Maliszewicz. Podobnie jak większość nauczycieli szkoły „TAK”, należy ona do pokolenia, które ze szkolnych podręczników dowiadywało się, że historia polskich ziem zachodnich i północnych to czasy piastowskie, a potem czarna dziura, z której w 1945 roku wyjeżdżają czołgi „wyzwolicielskiej” Armii Czerwonej. Proponując uczniom szkoły podstawowej poznanie lokalnej przeszłości – wielokulturowej i wielonarodowej, związanej z historią kilku państw – nauczyciele opolskiej szkoły chcą rozbudować edukację o wątek regionalny, obecny w sposób naturalny w kształceniu szkolnym na ziemiach, które należały do Polski przed 1945 rokiem. – Nie chcemy ograniczać się do kręgu problematycznego Polak-Ślązak-Niemiec, a jednocześnie ze względu na miejsce, gdzie szkoła pracuje, nie chcemy ani uciekać, ani uchylać się od problematyki związanej ze skomplikowaną historią tych ziem – mówi dyrektor szkoły, przypominając, że elementy kształcenia w zakresie historii regionalnej pojawiały się już w związku z programami poświęconymi mniejszości niemieckiej.

W roku 1995/96 obok szkoły podstawowej „TAK”, w której uczy się 120 dzieci, powstało liceum. W lutym tego roku licealiści odwiedzili liceum ukraińskie w Legnicy. Przez cztery dni mieszkali w tamtejszym przyliccalnym internacie

uczestnicząc w lekcjach, próbach zespołu folklorystycznego i poznając historię ukraińskiej szkoły. Był to rezultat kontaktów z ukraińskim liceum, nawiązanych w 1994 roku, które przekształciły się w stałą współpracę. We wrześniu 1995 grupa dzieci pod opieką Teresy Kudyby, nauczycielki języka niemieckiego, pojechała do Poppenhausen Rodhloz w Bawarii, gdzie przez trzy dni poznawali niemiecki folklor. Kontaktów tych jest coraz więcej. Obecnie szkoła szuka możliwości stałej współpracy ze szkołą niemiecką, z terenów przygranicznych np. w Szlezwiku-Holsztynie lub na pograniczu francusko-niemieckim i chce nawiązać kontakty z polską szkołą we Lwowie.

Szkolne Centrum Edukacji Wielokulturowej

W 1994 roku Towarzystwo Alternatywnego Kształcenia, które patronuje szkole „TAK”, powołało Szkolne Centrum Edukacji Wielokulturowej. Jego pomysłodawcami i działaczami jest kilkunastoosobowa grupa nauczycieli ze szkoły „TAK” oraz naukowcy z katedry psychologii Uniwersytetu Opolskiego. Centrum ma być forum spotkań, wymiany doświadczeń i programów, realizowania projektów badawczych i nawiązywania współpracy w zakresie edukacji wielokulturowej. Na razie Centrum prowadzi działalność korzystając z pomieszczeń szkoły i lokali Uniwersytetu Opolskiego. Pedagodzy i psychologowie ze szkoły „TAK” prezentują też swoje doświadczenia na konferencjach krajowych i zagranicznych (w 1995 roku w Izraelu, Austrii i Niemczech). Z myślą o rozwinięciu działalności Szkolnego Centrum Edukacji Wielokulturowej szkoła stara się o uzyskanie od władz Opola co najmniej dwudziestoletniej dzierżawy całego budynku przy ulicy Barlickiego, w którego części mieszczą się obecnie sale lekcyjne szkoły i liceum. Uzyskanie wieloletniej dzierżawy jest warunkiem uzyskania grantu od jednej z fundacji międzynarodowych na remont budynku i przystosowanie go w całości dla potrzeb szkoły oraz Centrum. Starania te na razie nie mogą zostać sfinalizowane, ponieważ część pomieszczeń zajmuje w budynku relikty peerelowskiej przeszłości – Ochotnicze Hufce Pracy.

Od programu do podręcznika

W ubiegłym roku pedagodzy ze szkoły „TAK” opracowali i przygotowali do druku materiały dydaktyczne dla nauczycieli na temat edukacji wielokulturowej. Potrzebę takiego podręcznika sygnalizowali wielokrotnie nauczyciele z różnych części Polski, uczestniczący w seminariach i konferencjach organizowanych przez szkołę „TAK”. Gotowe do druku materiały to rezultat kilku lat prac programowych prowadzonych w szkole. Są one podzielone na sześć części – odpowiadających sześciu mniejszościom. Podręcznik ten zawiera przykłady tzw. gier psychologicznych, które można prowadzić na lekcjach w celu uwrażliwienia dzieci na „inność” wynikającą z odrębności narodowej, kulturowej i religijnej, konspekty lekcji, krótkie kalendaria historyczne pokazujące dzieje narodów mieszkających w Polsce, mapy przedstawiające terytorialne rozmieszczenie mniejszości i przykłady lektur, które mogą być przedmiotem zajęć. Materiały zostały opracowane przez nauczycieli, którzy realizowali program „Spotkajmy się z innymi: niech inni nie będą obcy”: Marię Bitkę (część historyczna), Beatę Maliszewicz i Macieja Mielczarka (część literacka), Elżbietę Boroń (część plastyczna), Ireneusza Poznańskiego (część muzyczna) oraz Elżbietę Poznańską (przepisy kulinarne). Poszczególne segmenty konsultowali przedstawiciele sześciu mniejszości zgłaszając uwagi, które zostały wykorzystane przy redagowaniu ostatecznej wersji. Opracowanie materiałów sfinansowała Polska Fundacja Dzieci i Młodzieży, a o pieniądze na ich publikację szkoła zwróciła się do Funduszu PHARE i obecnie czeka na odpowiedź.

Rafał BUBNICKI

P.S.

Zdobywanie pieniędzy na programy edukacyjne i imprezy organizowane przez szkołę to już stałe zajęcia kierownictwa Towarzystwa Alternatywnego Kształcenia. Szkoła utrzymywana jest z chętnego płaconego przez rodziców (na średnim poziomie krajowym – w roku 1995/96 było to 2 mln zł miesięcznie) i z ustawowej dotacji Ministerstwa Edukacji Naro-

dowej (obecnie wypłacanej przez samorząd lokalny, czyli opolską gminę). Fundusze te wystarczają na podstawowe zadania edukacyjne. Środki na programy edukacyjne i w znacznej części na remont przejmowanego stopniowo budynku, szkoła uzyskuje ze źródeł pozarządowych i dzięki własnemu wkładowi pracy rodziców. Realizację autorskich programów edukacyjnych konsekwentnie wspiera Polska Fundacja Dzieci i Młodzieży, która finansowała także podstawowy dwuletni program „Spotkajmy się z innymi: niech inni nie będą obcy”. „Koncert narodów” podsumowujący ten program współfinansowały Fundacja Batorego i Zarząd Opola. Program zajęć dotyczących praw człowieka, realizowany w szkole od dwóch lat finansuje np. Fundacja Helsińska. Ten model finansowania, w którym instytucje pozarządowe wspierają nowe programy edukacyjne, sprawdza się, chociaż wymaga od kierownictwa szkoły dużego, dodatkowego wkładu pracy, związanego z procedurą uzyskiwania takich funduszy.

R.B.

LISTA CZŁONKÓW WSPIERAJĄCYCH TOWARZYSTWO OPIEKI NAD ARCHIWUM INSTYTUTU LITERACKIEGO W PARYŻU

INSTYTUCJE

CardCo sp. z o.o., Łódź	2.500 ZŁ
NSZZ Solidarność, Komisja Zakładowa nr 553, „Polfa” Warszawa	200 ZŁ
Powszechny Bank Kredytowy S.A., Warszawa	5.000 ZŁ

OSOBY PRYWATNE

Marian Daniuk, Rybnik	25 ZŁ
Daniela Filipińska, Szczecin	50 ZŁ
Halina Grodzicka, Buenos Aires	100 USD
Kamila Halpern-Chylińska, Niemcy	300 FRF

Zofia Mecych, Warszawa	50 ZŁ
Andrzej Mietkowski, Warszawa	100 ZŁ
Urszula Niesiołowska, Poznań	20 ZŁ
Danuta Pawlak, Łódź	20 ZŁ
Barbara Ramontowska, Kolno	250 ZŁ
Józef Ramontowski, Kolno	250 ZŁ
Tomasz Strzembosz, Warszawa	100 ZŁ
Marian Talarczyk, Australia	200 FRF
Bogumiła Trusz-Koch, Warszawa	50 ZŁ
Wanda Wieczorek, Tychy	50 ZŁ

Apelujemy do Czytelników *Kultury* w kraju i zagranicą o wsparcie naszych działań. Wystarczy zadeklarować wysokość rocznej składki członkowskiej i przekazać odpowiednie kwoty na nasze konto:

Bank Zachodni S.A. II Oddział Warszawa: 380014-7520-132-3000

Wpłaty z zagranicy prosimy przysłać bezpośrednio na:

Fundusz Kultury w Instytucie Literackim w Paryżu.

PRENUMERATA KRAJOWEGO WYDANIA „KULTURY”

Cena prenumeraty rocznej wynosi 60 złotych wraz z przesyłką

Cena prenumeraty półrocznej – 35 złotych wraz z przesyłką

PRENUMERATA KRAJOWEGO WYDANIA „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH”

Cztery numery rocznie – wynosi 40 złotych z przesyłką.

Prenumeraty należy wpłacać na konto:

BANK ZACHODNI S.A. II/0 W-wa

380014-7520-132-3000

**KRAJOWE WYDANIA „KULTURY” I „ZESZYTÓW
HISTORYCZNYCH”** ukazują się staraniem Towarzystwa
Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu.

Adres:

02-103 Warszawa,

ul. Hankiewicza 1p. 0103.

Krajowe wydania „Kultury” i „Zeszytów Historycznych”
mogą być sprzedawane wyłącznie w Polsce.

Sąsiedzi

Notatki rosyjskie

Władimir Wysocki napisał kiedyś piosenkę o domu wariatów: „Zamiast zjeść, wypić, pokręcić się i zapomnieć o świecie, cały szpital szaleńców siedzi przed ekranem”. Podobnie przebiegł wieczór 16-go czerwca 1996 roku. Rosja zasiadła przed telewizorami, aby czekać na wyniki wyborów prezydenta Republiki Rosyjskiej. Cały świat zresztą siedział przed ekranem, bo ewolucja Rosji nie jest dla jego losów obojętna.

Wiele gazet zachodnich, które przeczytałem, śmiało pisało: są to pierwsze wybory głowy państwa w tysiącletnich dziejach Rosji. Błąd: wybory są drugie. Pierwsze odbyły się 12 maja 1991. Naród wybrał wtedy na prezydenta Federacji Rosyjskiej Borysa Jelcyna. Drugie wybory nie wyłoniły – w pierwszej turze – zwycięzcy. Ostatnie półrocze było pełne wątpliwości: odbędą się wybory? Nie odbędą? Odbyły się. Teraz świat zastanawia się, czy odbędzie się druga tura. I przede wszystkim – jeśli się odbędzie – kto zwycięży.

17 czerwca, w dniu w którym piszę niniejszy tekst, znane są tylko częściowe wyniki. Zdziwienia nie budzą: do drugiej tury przeszli ci, których się spodziewano, Borys Jelcyn i Gennadij Ziuganow. Po obliczeniu 98% głosów obecny prezydent miał 34,82%, a przywódca komunistów Ziuganow 32,13%. Mniej więcej taki wynik zapowiadały prognozy. Jurij Lewada, jeden z autorytatywnych specjalistów, pod koniec maja przewidywał 33% dla Jelcyna i 26% dla Ziuganowa.

Wybory sprawiły dwie niespodzianki: stosunkowo słabą frekwencję i wynik Aleksandra Lebiedia. Biorąc pod uwagę, że wyborcy Ziuganowa są lepiej zorganizowani niż inni,

stratedzy Jelcyna prowadzili kampanię pod hasłami: „Głosuj albo przegrasz”, „Przyjdź (głosować), żeby po ciebie nie przyszedł”. W rezultacie Ziuganow zebrał główną część głosów, które – zgodnie z przewidywaniami – mógł zebrać (około 30% rosyjskich wyborców stanowią renciści, pełni oburzenia na politykę Jelcyna), natomiast wielu potencjalnych wyborców Jelcyna pojechało opalać się na plażę albo po prostu nie poszło głosować, zawierzywszy niebaczny słowom Jelcyna, który w przeddzień wyborów zapewnił, że wybór ma zapewnić.

Drugą niespodzianką jest trzecie miejsce (14,71% głosów) Aleksandra Lebiedia, który wyprzedził Żyrynowskiego (5,84%) i Jawlinskiego (7,41%). Są to, powtarzam, wyniki częściowe. W chwili, kiedy numer ten trafi do ich rąk, czytelnicy *Kultury* będą już znali wyniki ostateczne – druga tura zapowiedziana jest na pierwszą dekadę lipca (według konstytucji ma się odbyć 25 dni po ogłoszeniu wyników pierwszej). Wstępne wyniki pozwalają, wydaje mi się, przewidzieć główne linie, czy też – jak się dziś pięknie mówi po rosyjsku i po polsku – trendy. Pierwszy wniosek: wyborcy rosyjscy woleli zamiast ekstremisty Żyrynowskiego, bardziej umiarkowanego Lebiedia. Drugi wniosek: Rosja szuka silnego wodza. Jedyni dwaj poważni kandydaci, którzy nie pochodzą z tradycyjnej nomenklatury, to Władimir Żyrynowski i Aleksander Lebied'. Owszem, Żyrynowski to kreatura KGB i Wydziału Ideologicznego KC KPZS. Jednak kreatur takich było mrowie, a tylko Żyrynowskiemu udało się zająć poczesne miejsce na rosyjskiej szachownicy politycznej. Można też powiedzieć, że Lebied' jest generałem, przedstawicielem interesów wojska. Ale wśród bohaterów wojny afgańskiej, z której wywodzi się trzon dzisiejszej armii rosyjskiej, były znacznie silniejsze osobowości – na przykład ostatni dowódca „ograniczonego kontyngentu” generał Borys Gromow. A Lebied' zdołał ich wszystkich wyprzedzić.

Niesprawiedliwością byłoby zapomnieć o zwycięzcach. Borys Jelcyn, któremu zaledwie kilka miesięcy temu dawano 40 głosów, ocknął się i wytrzymał długą, wyczerpującą kampanię wyborczą, objechał cały kraj, obiecał wszystkim złote góry i rozpoczął trudną operację zakończenia wojny czeczeńskiej. Bezsensowna wojna, w której żadna strona nie mogła

zwyciężyć, dobiega końca: po zabójstwie Dudajewa, po zdobyciu czeczeńskiej twierdzy Bamut, po pięćdziesięciu tysiącach ofiar, zaczęto szukać kompromisu, który znacznie łatwiej było osiągnąć cztery lata wcześniej. Bez wojny czeczeńskiej Jelcynowi byłoby nieporównanie łatwiej wygrać wybory.

Gennadij Ziuganow może być zadowolony z wyników: przeszedł do drugiej tury. Ale to tylko połowa zwycięstwa. Zwycięstwo prawdziwe wymaga zdobycia ponad pięćdziesięciu procent głosów. Plakat wyborczy Ziuganowa zachęca: „G.A. Ziuganow – niezłomny komunista, patriota, konsekwentnie broni interesów ludu pracującego i jedności państwa rosyjskiego, domaga się wskrzeszenia odnowionego Związku, wzywa do zjednoczenia wszystkich narodowo-patriotycznych sił Rosji”. Komunista, patriota, bojownik o wskrzeszenie Związku (czyli Związku Socjalistycznych Republik Rad). Jeden z najbliższych doradców Ziuganowa, Wiktor Pieszkow, jeszcze ładniej formułuje program komunistów: „Nasza strategia zmierza do tego, by zespolić wszystko, co było dobre w przeszłości, z wszystkim, co jest pożyteczne dziś i zapewnić zaufanie do przyszłości”. O tym, co było dobre i pożyteczne, decydować będzie Ziuganow i jego drużyna.

Ani Ziuganow, ani jego doradcy nie poszli w ślady słabego ducha komunistów polskich, węgierskich itd., którzy wyparli się swego imienia i wyrzekli spadku. Ziuganow podkreśla, że jest niezłomnym komunistą. Ponieważ zaś religia weszła w modę, przewodniczący komunistycznej partii Rosji ogłosił, że pierwszym komunistą był Chrystus, on zaś kontynuuje dzieło Chrystusa i Lenina-Stalina.

Wydawało mi się, że ocena działalności komunistów w czasach, kiedy sprawowali władzę, może budzić wątpliwości tylko u tych, którzy nie chcą pamiętać przeszłości, nie mogą o niej pamiętać albo są do niej – z rozmaitych powodów – przywiązani. Dlatego zdziwił mnie artykuł Andrieja Siniawskiego, opublikowany w *New York Times*'ie 5 czerwca, a w *Le Monde* 13-go. W amerykańskiej gazecie artykuł zatytułowany był: „Wyboru nie ma: Jelcyn jest groźniejszy niż komuniści”. W gazecie francuskiej tytuł był krótszy: „Jelcyn groźniejszy niż komuniści”. Z tekstu wynikało, że komuniści są znacznie mniej niebezpieczni niż Jelcyn. Jelcyn zaś jest

groźny, bo to jego polityka doprowadziła do wzrostu prokomunistycznych nastrojów w Rosji. Jego „reformy” zepchnęły 30% ludności do poziomu nędzy. Komuniści są mniej groźni, właściwie w ogóle nie są groźni, ponieważ nie mają już kogo represjonować, nie mogą też „zmienić praw własności”, bo mafia, która sprawuje realną władzę w państwie, na to nie pozwoli. Zresztą, dzisiejsi komuniści nie są podobni do „wczorajszych fanatyków”, nawrót terroru jest niemożliwy, bo nowe pokolenie, wyrosłe po 1985 roku, nie zechce zrezygnować z „prawa do samodzielnego myślenia i jawnego wyrażania swych myśli”.

Andriej Siniawski bezustannie powtarza, że jest pisarzem, polityką się nie zajmuje, jego niezgoda z władzą sowiecką ma charakter stylistyczny. Co się stało? Dlaczego autor książki pod tytułem „Sąd idzie”, autor „Lubimowa” i innych książek, oderwał się od sztuki i zaczął publikować ulotki polityczne? Andriej Siniawski podkreśla: „Niczego nie zapomniałem. Doktryna komunistyczna jest mi równie obca jak była trzydzieści lat temu i nie zamierzam głosować na pana Ziuganowa”. Na kogo więc? Na Michaiła Gorbaczowa! Do tego też wzywa Siniawski wszystkich innych. Niech za jego przykładem głosują na Gorbaczowa.

Wiadomo: serce nie służy. Zakochać się można w każdym. Nawet w Gorbaczowie, który równo sześć lat temu, w czerwcu 1990 roku, oświadczył w wywiadzie dla *Time*'u: „Zawsze byłem i zostanę komunistą”. Do zagadek kampanii wyborczej należy nie tylko list miłosny Andrieja Siniawskiego, ale też sama decyzja Michaiła Gorbaczowa, by kandydować. Według wstępnych obliczeń padło na niego 0,6% głosów. Siódmy sekretarz i ostatni prezydent ZSSR zbywał niechętny stosunek wyborców do niego na zebraniach przedwyborczych: „Jestem jak Chrystus na Golgocie. Kiedy szedł ulicami, naród pluł na niego”. Aleksander Lebied', o ile mi wiadomo, niczego o Chrystusie nie mówił. Niespodziewanie dla wszystkich wybił się na trzecie miejsce. Wziął pod uwagę szkodę, jaką w czasie wyborów do Dumy w grudniu 1995 przyniosło mu związanie się z Jurijem Skokowym, zerwał ze swym politycznym mentorem i wystąpił we własnym tylko imieniu – surowego, małomównego żołnierza, który chce i potrafi zaprowadzić porządek. Najstynniejszy dziś satyryk rosyjski,

Michaił Żwaniecki, mówi: „Nasza wolność to burdel. Nasze marzenie – porządek w burdelu”. Rosyjscy wyborcy dowiedli, że wolą, aby porządek w burdelu zaprowadzał generał Lebied', a nie major (epolety dostał w podarunku od Graczoza) Żyrynowski. Lebied' wygląda poważniej i mniej radykalnie.

Trudno przewidzieć, na kogo padną głosy Lebiedia z pierwszej tury. Handel teczkami ministerialnymi między obecnym prezydentem a kandydatami rozpoczął się na długo przed pierwszą turą. Mówi się, że Aleksander Lebied' nie zadowala się stanowiskiem ministra obrony. Marzy mu się – sądząc po pogłoskach – posada koordynatora wszystkich głównych ministerstw (obrony, spraw wewnętrznych, byłego KGB). Istnieje taka funkcja, pełni ją sekretarz Rady Bezpieczeństwa. Jest nim Oleg Łobow, który dysponuje prawdziwą władzą i nie lubi jej pokazywać. Aleksander Lebied' ma inne usposobienie.

Piąte miejsce – po Żyrynowskim – zajął ulubieniec demokratów i amerykańskich liberałów, Grigorij Jawlinskij. Podoba się on też Andriejowi Siniawskiemu. Jawlinskij zebrał ok. 8% głosów (Żyrynowski: 9,5%). Adam Michnik zaczął artykuł o wyborach w Rosji (*Gazeta Wyborcza*, 8-9.6.96) od znanej prawdy: „Nie jest łatwo być rosyjskim inteligentem”. Początek pieriestrojki symbolizował film „Niełatwo być młodym”. Też banalna prawda. Być starym – też trudno. Trudno być analfabetą. Trudno w ogóle żyć. Wydaje mi się, że zauważono to już dawno.

Artykuł Adama Michnika „Między złem i złem” jest bardzo długi, bo autor życzliwie udzielił trybuny przedstawicielom bodaj wszystkich odłamów dzisiejszej inteligencji rosyjskiej. Poglądów jest mrowie i jedne drugim przeczą. Bałagan, o którym wspomina Żwaniecki, panuje też w głowach tych, których Piotr Ławrow określał jako „krytycznie myślące jednostki”. Adam Michnik ma rację: „Grigorij Jawlinskij, którego prawdziwie lubię i szanuję, nie wygra tych wyborów, tak jak w Polsce nie wygrał wyborów Jacek Kuroń. To nie jest dobry czas dla rosyjskich demokratów.” Więc może i dla polskich demokratów nadeszły złe czasy?

Inteligencja rosyjska i demokracja rosyjska zapadły na straszną chorobę: trawi je wciąż żywy rak komunizmu.

Ustawicznie karmiony, rozsiał przerwany do wielu komórek organizmu. Komunizm, co więcej, zbanalizowano. Odpuszczono mu wszystkie grzechy i przyznano wszystkie prawa. Wystarczy sobie wyobrazić: 1955 rok, w czasie wyborów w Niemczech partia hitlerowska zajmuje drugie miejsce w wyborach prezydenckich, a już ma większość w parlamencie. Przyznaję, że buchalteryjne zestawianie zbrodni jest zajęciem bezmyślnym. Nie należy jednak zapominać, że hitlerowcy rządili w Niemczech przez dwanaście lat, a komuniści w Związku Sowieckim przez siedemdziesiąt.

Czytam u Adama Michnika: „Ziuganow niewątpliwie nie jest tradycyjnym komunistą. Jest on komunistą przetransformowanym”. Ciekawe skąd redaktor *Gazety Wyborczej* to wie? Ziuganow dopiero pnie się ku władzy. Kiedy Lenin zmierzał do władzy, uważano go za socjaldemokratę o nieco bujniejszej fantazji niż inni. Kiedy Mao parł do władzy, Amerykanie uważali go za reformatorskiego przywódcę chłopstwa. Powstanie Czerwonych Khmerów Pol Pota korespondent *Le Monde* nazwał „wyzwoleniem miasta”.

Banalizacja komunistów... Jej widomym przykładem jest finansowanie partii i kampanii wyborczej. Oczywiście, do Stanów Zjednoczonych jeszcze daleko. Ale eksperci obliczyli, że milion głosów, które były wymagane aby kandydat mógł wpisać się na listę wyborczą, kosztował od osiemdziesięciu tysięcy do półtora miliona dolarów. Pełna kampania wyborcza kandydata kosztuje do dziesięciu milionów dolarów, plus minus sto miliardów rubli. Skąd pochodzą pieniądze? Najłatwiej było prezydentowi Jelcynowi: ma dostęp do kasy państwowej. Innych kandydatów finansują banki. Jest ich dziś w Rosji dwa i pół tysiąca. Za ciężkich sowieckich czasów banków było wszystkiego pięć. Wspomniani specjaliści dzielą banki rosyjskie – jeśli chodzi o wybory – na cztery grupy. Pierwsza to „optymiści”: bankierzy, którzy wierzą w zwycięstwo Jelcyna i pomagają jego kampanii (pieniędzy nigdy nie za dużo). Drugą grupę nazywają „renegatami”: to banki, które finansują Ziuganowa. Należałoby ich właściwie nazywać optymistami, bo wierzą, że powrót komunistów do władzy nie zmieni ich sytuacji. Trzecią grupę stanowią „milczuszki”: to drobne prowincjonalne banki, które nie obstawiają nikogo i czekają. Najciekawsze zjawisko stanowi jednak grupa zwana

„kurzą fermą”. Należą do niej banki, które rozkładają jaja po różnych koszykach. Są to największe banki kraju. Wniosek z tego można wysnuć taki: bankierzy, podobnie jak ludzie którzy wierzą, że komunizm jest reformowalny, inwestują. Przypomnijmy jednak, że partię Lenina, przed jej dojściem do władzy, aktywnie finansowali najbogatsi przemysłowcy i bankierzy Rosji. Wydawałoby się, że wszyscy powinni znać dalszy ciąg. Tymczasem, jak widać, wszyscy zapomnieli.

17.6.1996

Adam KRUCZEK

P.S. z 18.6.96: Aleksander Lebed' przyjął stanowisko sekretarza Rady Bezpieczeństwa Rosji. Aby pozyskać Lebedia, prezydent zdymisjonował ministra obrony Graczowa, osobistego wroga nowego sekretarza Rady Bezpieczeństwa.

Ukraińska droga do Europy

Zbliża się piąta rocznica niepodległości Ukrainy. Kijów będzie ją obchodził w atmosferze kontrastu pomiędzy rosnącą stabilizacją na zewnątrz i niezmiennym kryzysem polityczno-ekonomicznym wewnątrz państwa. Prezydent Leonid Kuczma jest świadom tego rozziwu i stąd jego wzmożone wysiłki, aby tę dysproporcję możliwie szybko jeśli nie usunąć – co jest chyba w obliczu istniejących trudności sprawą beznadziejną – to przynajmniej zmniejszyć do minimum. Wysiłek zharmonizowania polityki zagranicznej z wewnętrzną jest w ukraińskich warunkach sprawą niełatwą. Społeczeństwu, wychowanemu w długoletniej atmosferze kolonialnej, brak świadomości w dziedzinie spraw międzynarodowych. Zawsze te sprawy w epoce imperialnej były domeną St. Petersburga a

potem Moskwy. Nastąpił zanik wszelkiej działalności zewnętrzno-politycznej. Oprócz „dzieł” agitacyjno-paszkwilowych, służących wspomaganie „starszego brata” w jego antyzachodnich i antychińskich akcjach lub opluwaniu ukraińskiej emigracji politycznej, w ciągu dziesięcioleci nie ukazywały się na rynku wydawniczym żadne prace badawcze z dziedziny stosunków międzynarodowych. Pięćdziesięcioletnia Ukraina – formalnie jedno z państw fundatorów Organizacji Narodów Zjednoczonych – nie posiadała żadnego czasopisma poświęconego polityce zagranicznej. W prasie i radiu nie było komentarzy poświęconych tej tematyce. W ten sposób oduczono ogół od myślenia w kategoriach spraw zagranicznych. Do czego to doprowadziło, widać ze szpalt prasy ukraińskiej, pozbawionej, niemal że gruntownie, analizy życia międzynarodowego i wciąż jeszcze nie posiadającej sieci korespondentów zagranicznych. Motywowanie tego rzekomym brakiem środków pieniężnych jest często wymówką – często po prostu brakuje wykwalifikowanych dziennikarzy. Edukacji instynktu i znajomości przedmiotu miały służyć audycje Radia „Swoboda”, co było praktykowane za czasów kierownictwa Bohdana Nahajły, a obecnie zamarło pod nieudolną redakcją Romana Kupczyńskiego. To, co niedouczeni korespondenci nadają z Nowego Jorku, Waszyngtonu, Paryża, Bonn, czy Londynu jest nie opracowaną sieczką, bez własnego zdania i poglądu.

Stara się temu trochę zaradzić miesięcznik *Polityka i Czas*, który jest nieoficjalnym organem Ministerstwa Spraw Zagranicznych, i ukazujący się od zeszłego roku tygodnik *Ruchu Czas*. Ale są to dwie krople wiadomości w morzu niewiedzy. Sytuację pogarsza wciąż jeszcze bałwochwalcza sympatia do ONZ. Przyczyna tej jednostronnej miłości jest bardzo prosta: po drugiej wojnie światowej Stalin przydzielił Ukrainie miejsce w tej instytucji i większość obecnie aktywnych dyplomatów ukraińskich tam zdobyła swe doświadczenie. Skutkiem tego ta większość jest pozbawiona w ogóle krytycznego stanowiska wobec czegokolwiek i często praktykuje nabyte ongiś biurokratyczne nawyki.

Wierność ONZ to jedna niepotrzebna kula u nogi. Ale istnieją jeszcze inne elementy, często krępujące swobodę manewru. Są nimi zasada neutralności i deklaracja niezaangażo-

wania. Zostały one przyjęte u progu niepodległości i służą głównie jako argument przeciwko dążeniom Rosji do reintegracji dawnych republik sowieckich i tworzeniu własnego sojuszu wojskowego jako przeciwwagi do NATO. To stanowisko wywołuje często dezorientację za granicą. Ostatnio dał temu wyraz prezydent Czech, Vaclav Havel, na konferencji w Łańcucie, prosząc prezydenta Kuczmę o sprecyzowanie neutralności Ukrainy i celowości takiej orientacji. Kuczma udzielił mu wymijającej odpowiedzi, dając zresztą do zrozumienia wszystkim uczestnikom narady, że prawdę mówiąc, Ukraina niezbyt dobrze czuje się w „neutralnej” roli. W Kijowie odbywają się zresztą dysputy na temat uelastycznienia dyplomacji i odejścia od doktrynalnych zobowiązań. Napomknął o tym również pierwszy zastępca ministra spraw zagranicznych, Anton Butejko, podczas spotkania warszawskiego „Renesansu Ukrainy”.

Otwarcie na Zachód

W ciągu pięciu lat ukraińska polityka zagraniczna działała we wszystkich kierunkach, nie zastanawiając się nad priorytetami. Siłą faktu przewagę miały stosunki z sąsiadami. Wielkie nadzieje pokładano w Niemczech, zwłaszcza po optymistycznych prognozach czołowego banku niemieckiego o znakomych, rzekomo, warunkach dla rozwoju gospodarki Ukrainy. Potem te nadzieje ostygły, doszło nawet do stagnacji. Ale w dużym stopniu byli temu winni nieudolni przedstawiciele Kijowa w Bonn – Piskowij i Kostenko. W późniejszej fazie „odkryto” Amerykę i ten element w końcowej fazie władzy Krawczuka stał się na długi czas centralnym zadaniem ukraińskiej polityki zagranicznej, a potem przede wszystkim w zewnętrznej działalności jego następcy, Kuczmy. Z czasem ta koncentracja okazała się bardzo owocna. Dzisiaj stosunki Ukrainy ze Stanami Zjednoczonymi, i to zarówno z Białym Domem jak z opozycją, są przyjazne. Dotyczy to zresztą również spraw wojskowych. Amerykanie odbywają od przeszło roku systematyczne manewry lądowe wspólnie z oddziałami ukraińskimi na ogromnym poligonie w Jaworowie pod Lwowem, a marynarze ćwiczą na Morzu Czarnym i na Pacyfiku. Mimo to, dyplomacja Kuczmy zanadto się rozpraszała,

tracąc wiele czasu na niezliczone wizyty w Azji, Ameryce Łacińskiej i częściowo na Bliskim Wschodzie. Najlepiej udało się wysiłki w stosunku do Izraela. To, razem z prożydowską polityką mniejszościową wewnątrz państwa ukraińskiego, dało dobre wyniki – ustały wreszcie notoryczne ataki żydowskie o antysemityzm, a w związku z tym zmieniło się, dawniej negatywne, stanowisko czołowych dzienników amerykańskich wobec interesów Ukrainy. Przypominam, że ważną rolę odegrał w tym wszystkim utworzony przed dwoma laty pod przewodnictwem Zbigniewa Brzezińskiego i Henry Kissingera Amerykańsko-Ukraiński Komitet Doradczy.

W Europie przez długi czas nie było widać jasnej koncepcji Kijowa, który często szamotał się w gąszczu niedowzajemnych pomysłów. Tak było na przykład na tle kryzysu jugosłowiańskiego. Początkowo Ukraina miała dobre szanse, aby stać się ważnym współczynnikiem w grze międzynarodowej, w tym splocie różnorodnych interesów. Pozycją wyjściową mogła być Chorwacja, z którą nawiązano stosunki, nawet przed ogłoszeniem niepodległości. Ale potem zabrakło odwagi i jasnej koncepcji. Zaczęto oglądać się na Belgrad, zaniebano zupełnie Bośnię, a początkowo zignorowano Macedonię z uwagi na Grecję, od której poparcia obiecywano sobie złote góry i zapomniano o Słowenii. Wskutek tego, oficjalny Kijów znalazł się pomiędzy dwoma frontami. Dziś musi z trudem odrabiać zaległości, ale już bez widoków na odegranie kluczowej roli w konfliktach bałkańskich.

Może dzięki tej porażce nastąpiło swoiste otrzeźwienie i przejście do skoncentrowanej ofensywy na odcinku środkowo-europejskim. Jest to też owocem dynamicznej działalności Borysa Tarasiuka przy siedzibie NATO i Unii Europejskiej w Brukseli. Był on przez kilka lat wiceministrem ukraińskiego MSZ i miał markę głównego architekta, zwłaszcza w stosunkach z Ameryką. Ukraina znalazła się w międzyczasie – przy wydatnym poparciu ze strony Polski – w Radzie Europy, a prezydent Kuczma skoncentrował swe wojaże na Genewie, Strasburgu i Paryżu. Ukrainę przyjęto – i tu również za wstawiennictwem Warszawy – do struktur Inicjatywy Środkowo-Europejskiej, organizacji, która powstała przed laty z ambicji włoskich powołania dla Rzymu „własnej” Międzynarodówki dla poszerzenia wpływów na Bałkanach i w Europie Środko-

wo-Wschodniej. Ale jest to chyba najmniej wpływowa z istniejących instytucji międzynarodowych i nie ma nawet stałej siedziby i normalnego aparatu urzędniczego.

Ważne jest, że ostatnio wpływowe instytucje zapraszają Kucznię na swoje imprezy, jak np. niedawno zgromadzenie Unii Zachodnio-Europejskiej w Paryżu, czy przedtem Rada Europy w Strasburgu.

Zupełnie inaczej mówiono o znaczeniu Ukrainy na konferencji ministrów spraw zagranicznych szesnastu krajów NATO na początku czerwca w Berlinie niż dawniej, kiedy ją konsekwentnie ignorowano. Oczywiście nie jest to tylko zasługą wspomnianych zabiegów dyplomacji ukraińskiej. Gdyby NATO i Zachód nie miały w tym interesu, istniałaby dalej taktyka „cicho sza” na temat tego państwa.

Cóż się więc zmieniło? Otóż zmiany te odbywają się w obliczu wyborów prezydenckich w Rosji, podczas których załamało się wiele dawnych planów i utopii demokratycznych. Wyrosło realne niebezpieczeństwo zwycięstwa rosyjskich „narodowych bolszewików” Genadija Ziuganowa. W obliczu niebezpieczeństwa utraty władzowanych już w Rosję wieluset miliardów dolarów i marek, Zachód postawił na kartę Borysa Jelcyna bez żadnych warunków i żądań. Obydwaj pretendenci do fotela prezydenckiego nie ukrywają swych imperialistycznych ciągotek.

W tej sytuacji przypomniano sobie o ustawicznych przestrobach Kissingera i Brzezińskiego, domagających się poparcia dla Ukrainy jako jedyne go czynnika, osłabiającego odbudowę imperializmu. Zmiana politycznej strategii wobec Ukrainy uwydatniła się w pełni podczas konferencji NATO w Berlinie, gdzie po raz pierwszy podkreślano znaczenie Ukrainy. Dotyczyło to też planów zawarcia odrębnych układów pomiędzy dowództwem NATO z Rosją i Ukrainą. Podobne tony zabrzmiały też w niektórych przemówieniach podczas spotkania prezydentów z dziewięciu państw w Łańcucie, szczególnie w oświadczeniu prezydenta Niemiec, Romana Herzoga, który dotychczas stronił od wszelkich deklaracji tego rodzaju.

Polska i Ukraina

Tenże Herzog wyraził w czasie telewizyjnej dyskusji

uznanie dla polskiej *Ostpolitik*. Nieważne, czy to bardzo pośtechtało ambicje nowego prezydenta Polski na polu polityki zagranicznej. Ważne jest chyba, że tego rodzaju uwagi zebranych w Łańcucie mężów stanu, wzmocniły tendencję do ożywienia i pogłębienia współpracy polsko-ukraińskiej. Pomysł Aleksandra Kwaśniewskiego, aby do zachodnio-środkowo-europejskiego spotkania, od Włoch po Niemcy, zaprosić prezydenta Ukrainy Leonida Kuczmę, był doniosłą inicjatywą. Dało to przywódcy z Kijowa okazję do swobodnej wymiany poglądów i przedstawienia problemów Ukrainy w bardziej towarzyski i kameralny sposób, niż to bywa na sztywnych oficjalnych naradach. Teraz ukraiński polityk jest dla innych kolegów bardziej żywą postacią, niż to było dotąd. Stał się też członkiem tego nieformalnego, ale w naszych warunkach dość ważnego klubu.

Zaproszeniem Kuczmy do Łańcuta prezydent Kwaśniewski odrobił w pewnym stopniu zaniedbania lub niepostrzeżenie Ukrainy, które mu wytknęła *Kultura* w „Notatkach Redaktora”, i do tego doszło też zignorowanie Ukrainy w specjalnym artykule prezydenta Polski, ogłoszonym w przeddzień berlińskiej konferencji NATO w tamtejszym dzienniku *Der Tagespiegel*, gdzie wyrażono dużo dobrych chęci pod adresem Rosji. Ale jak rozwiną się stosunki Warszawa–Kijów, zobaczymy dopiero po oficjalnej wizycie prezydenta Ukrainy nad Wisłą pod koniec czerwca.

Ostatnio ożywiło się także zainteresowanie Ukrainą nowego ministra spraw zagranicznych Dariusza Rosatiego. Dał na to dowody w *exposé* i podczas debaty w sejmie, a ostatnio w przemówieniu w berlińskiej Akademii Europejskiej, na początku czerwca, o zakończeniu konferencji NATO. Podczas tych obrad doszło też do spotkania Rosatiego z ukraińskim ministrem spraw zagranicznych, Henadijem Odowenką. Według tego, co mi potem relacjonował polski minister (ukraińskiego nie zobaczyłem, bo wyleciał przed zakończeniem konferencji do Paryża, by dołączyć do świty prezydenta Kuczmy), obydwaj partnerzy postanowili stworzyć warunki dla rozwoju infrastruktury wzajemnej współpracy w szerokim zakresie. Dałby Bóg, aby tym razem nie skończyło się, jak często bywało w ostatnich latach, na dobrych chęciach.

Możliwe, że nagła gorliwość obozu rządowego celem

nadrobienia starych i nowych zaniedbań, jest podyktowana nie tylko chęcią robienia korzystnej atmosfery przed wizytą Kuczmy, ale także naprawieniem błędów popełnionych podczas konferencji „Renesans Ukrainy”, zorganizowanej w Warszawie w połowie maja przez Fundację Batorego. Ta od dawna przygotowywana impreza była czymś w rodzaju prezentacji współczesnej elity politycznej i naukowej Ukrainy (niestety wyłącznie kijowskiej, z pominięciem ośrodków regionalnych, w czym zresztą uzupełniają się dwa bliskie sobie centralizmy społeczne) – przedstawicielom polskich kręgów elitarnych z dziedziny polityki, nauki i kultury. Otóż na prelekcje ukraińskich gości przysłała cała prawie opozycja i dużo wybitnych historyków, ekonomistów i to nie tylko ze starszego pokolenia, ale wielu młodych. Natomiast oprócz kilku od dawna zajmujących się problematyką ukraińską działaczy politycznych, obecnie związanych z kancelarią prezydenta lub MSZ, z koalicji rządowej przybył jeden jedyny poseł Majewski z OPZZ. Politycy z obozu rządowej i sejmowej lewicy swą nieobecność tłumaczą konferencją, która istotnie odbywała się w tym samym czasie poza Warszawą. Ale panowie ludowcy? Czyżby w partii chłopskiej, która w okresie międzywojennym miała wielu wybitnych polityków, interesujących się współpracą polsko-ukraińską, obecnie zapanował prowincjonalny izolacjonizm?

Ludziom z establishmentu zrobiło się chyba nieswojo, kiedy się zetknęli po konferencji z szerokim echem w prasie, radiu i telewizji. Stwierdzili, że stosunki polsko-ukraińskie mają w społeczeństwie polskim widocznie jeszcze inny wymiar niż karmelicki Ciemnogród w Przemyślu. I musiało im się chyba zrobić wstyd, że ich organ *Trybuna* nie tylko, że zignorował spotkanie z Ukrainą, ale na dowód dystansu do Kijowa ogłosił ostentacyjnie nazajutrz po konferencji – kiedy w niezależnej prasie warszawskiej roiło się od relacji z konferencji – długi wywiad z ambasadorem Rosji w Warszawie. Co styl – to styl! A dla wielu gości z Ukrainy powiało nagle zatęchłą atmosferą Peerelu.

12 maja 1996

Bohdan OSADCZUK

O studentach białoruskich w Polsce

Zwolna wypełniają się „białe plamy” w powojennej historii mniejszości narodowych w Polsce. W ostatnich kilku latach ukazały się opracowania dotyczące akcji „Wisła”, społeczności polskich Słowaków, niezależnego białoruskiego ruchu wydawniczego, losów polskich Czechów, mniejszości niemieckiej, nie mówiąc już o pozycjach poświęconych polskim Żydom. Bardzo ciekawym wydawnictwem, powstałym dwa lata temu, jest kwartalnik *Białoruskie Zeszyty Historyczne*.

Pomimo, że tych wydawnictw jest stosunkowo sporo, ciągle jeszcze bardziej szczegółowego opisu wymagają wszystkie te działania środowisk narodowościowych, które sprzyjały emancypowaniu się mniejszości narodowych spod wszechwładzy państwa.

Badzo ciekawą pozycją, w tym kontekście, jest książka wydana niedawno w Białymstoku pt. „Białoruski ruch studencki w Polsce 1981-1992. Wybór dokumentów” opracowana przez Sławomira Iwaniuka i Eugeniusza Wappę.

Książka dostarcza sporej dawki informacji o sprawach i problemach, którymi żyli Białorusini w latach 80-tych i na początku lat 90-tych. Dowiadujemy się z niej, jak tworzyło się społeczeństwo obywatelskie polskich Białorusinów.

Oczywiście, najwięcej jest tutaj o genezie i działalności Białoruskiego Zrzeszenia Studentów. I jest to zrozumiałe. Wszak od pomysłu stworzenia tej organizacji do jej formalnego zarejestrowania upłynęło siedem lat (inicjatywa powołania Zrzeszenia pojawiła się w 1981 roku, zaś do jego rejestracji doszło w 1988 roku).

Z książki dowiadujemy się również sporo o działalności studentów białoruskich w ramach tych możliwości, jakie istniały w Polsce po stanie wojennym, a w szczególności o aktywności Białorusinów w ramach Krajowej Rady Kultury Studentów Mniejszości Narodowych, afiliowanej przy oficjalnie istniejącym Zrzeszeniu Studentów Polskich. A była to działalność różnorodna: począwszy od rajdów studenckich (np. „Baćkauschyna”, „Padarożża”, „Razwitannie”, „Załataja

Wosień”), poprzez coroczne otrzęsiny, kupalle (obrzędy nocy świętojańskiej), wydawanie studenckiego pisma „Sustreczy”, redagowanie stałego dodatku studenckiego „Prysutnaść”, do oficjalnego pisma białoruskiego pt. „Niwa”. To również świadectwo powstania i roli dla młodego pokolenia Białorusinów Festiwalu Piosenki Młodej Białorusi „Basowieszcza”. Z dokumentów tych rekonstruujemy również mozolne i pozbawione, niestety, większego sukcesu zabiegi o wprowadzenie języka białoruskiego do nabożeństw w cerkwi prawosławnej.

Nie wtajemniczony czytelnik zostanie z pewnością zaskoczony informacją, że w środowisku polskich Białorusinów pod koniec lat 80-tych działał Białoruski Uniwersytet Ludowy (białoruski odpowiednik Towarzystwa Kursów Naukowych).

Znacząca część dokumentów jest świadectwem przechodzenia aktywistów z ruchu studenckiego do działalności politycznej: do współpracy z polską opozycją czy do tworzenia białoruskiej partii politycznej – Białoruskiego Zjednoczenia Demokratycznego.

Innym rodzajem aktywności studentów białoruskich były próby nawiązania mniej lub bardziej stałej współpracy z Białorusinami z Białorusi radzieckiej oraz z białoruskiej emigracji na Zachodzie.

Wszystko to, co wyżej napisałam, to niewątpliwie walory „Białoruskiego ruchu studenckiego...”. Niestety książka, o której mowa ma też swoje mankamenty. Największym z nich to hermetyczność. Autorzy wyboru nie zadbali o niezbędne objaśnienia do dokumentów, które drukują. W efekcie nie jest to lektura dla czytelnika, który dopiero „wchodzi w temat”. Najzwyczajniej w świecie, taki czytelnik nie będzie w stanie zorientować się o co do końca chodzi w poszczególnych dokumentach.

W wyborze razi również brak przejrzystych reguł, na podstawie których dany dokument został zakwalifikowany do tego wydawnictwa. Na przykład o rejestracji studenckiej organizacji w Olsztynie dowiadujemy się nie tylko z wcześniej przywołanych dokumentów ale również z notatki zamieszczonej w miesięczniku *Bietarus* wychodzącym w Nowym Jorku. Równie nieuzasadnione wydaje się sporadyczne zamieszczanie druków typu zaproszeń na otrzęsiny studenckie, zawiadomień o rutynowych zebraniach, pokwitowań wypłat za prelekcje. Gdyby to był zbiór, a nie wybór, dokumentów

lub gdyby takie dokumenty wносиły coś nowego, to ich zamieszczenie miałoby oczywiście sens. A tak, czytelnik ma wrażenie pewnego chaosu: tak jakby pośpiesznie zebrano to, co akurat było pod ręką.

I rzecz następna. Wybór, mimo że obszerny, pomija niemal zupełnym milczeniem wydarzenia dla życia białoruskich studentów, a myślę, że i w ogóle polskich Białorusinów, niezwykle ważne. Przede wszystkim więc, za wyjątkiem bodajże jednego dokumentu (dokument numer 124 „List byłego działacza BZS w Polsce Eugeniusza Ryżyka do duchownego prawosławnego”) nie znajdziemy w prezentowanej pozycji informacji o przejściu do ruchu ukraińskiego licznej grupy wcześniejszych działaczy białoruskich z Podlasia (działacze ci później stworzyli Związek Ukraińców Podlasia). Również współpracę studentów-Białorusinów z polską opozycją zaprezentowano niezwykle fragmentarycznie. Próżno szukałam na przykład dokumentów mówiących o udziale Eugeniusza Wappy w komisji do spraw mniejszości narodowych Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność” Lechu Wałęsie, pomimo że doskonale pamiętam spotkania tejże komisji z jego udziałem.

A jak jesteśmy przy Komitecie Obywatelskim, to wbrew informacji, którą spotykamy na str. 223, że Marek Edelman był posłem na Sejm z ramienia tegoż Komitetu, to prostuję, że nie jest to prawda, ponieważ Marek Edelman w 1989 roku w ogóle do Sejmu nie kandydował.

Niedociągnięcia, o których napisałam wyżej, nie umniejszają wagi tej publikacji (czy doczekamy się podobnych publikacji dotyczących ukraińskiego czy litewskiego ruchu studenckiego?), raczej skłaniają mnie do wniosku, że potrzebne jest drugie, uzupełnione i poszerzone jej wydanie.

Bogumiła BERDYCHOWSKA

„Białoruski ruch studencki 1981-1992. Wybór dokumentów”. Opracowanie Sławomir Iwaniuk, Eugeniusz Wappa, Białystok 1995, ss. 330.

Ci, co odeszli

Ksiądz Zenon Modzelewski

Nagła śmierć księdza Zenona Modzelewskiego zasmuciła wielu jego przyjaciół; a przyjaciół miał wielu, we Francji i w Polsce przede wszystkim. Umarł 30 maja. Przyczyną śmierci był wylew krwi do mózgu. Pogrzeb odbył się 6 czerwca, na historycznym polskim cmentarzu w Montmorency pod Paryżem.

Biografia księdza Modzelewskiego nie wydaje się na pierwszy rzut oka zajmująca. Typowa biografia polskiego księdza, urodzonego na wsi, w rodzinie bardzo zwartej i kochającej się (wzruszające było bardzo liczne pojawienie się rodziny zmarłego na pogrzebie). Urodził się w roku 1933. Był więc dzieckiem podczas okupacji, należał do pokolenia „młodszych braci”, za małych na partyzantkę, za dużych na niewinną ignorancję historii. Odbył gruntowne studia, zaczynając od pallotyńskiego Seminarium Duchownego w Ołtarzewie i Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, a kończąc na paryskiej Sorbonie. Studiował filozofię i literaturę polską. Świecenia kapłańskie przyjął w roku 1958.

Na pewno największą przygodą jego życia był wyjazd do Paryża; wyjazd ten stał pod znakiem przyjaźni z człowiekiem niezwykłym, księdzem Józefem Sadzikiem, rówieśnikiem poznanym jeszcze w Ołtarzewie. Przyjaźń z Sadzikiem miała dla biografii księdza Modzelewskiego charakter determinujący. Młodzi księża, wykształceni i odważni, sami – zdaje się, że nie bardzo oglądając się na hierarchię kościelną – projektowali dla siebie swoją przyszłość. Ksiądz Sadzik znalazł się w Paryżu w roku 1962, a ksiądz Modzelewski w 1963. W latach 1972-1987 ks. Modzelewski był ojcem superiorem

paryskich pallotynów, pięciokrotnie wybierany przez swych współbraci. Obaj – Sadzik i Modzelewski – wierni byli zasadzie apostołstwa, tak jak ją pojmował w połowie dziewiętnastego wieku założyciel zakonu pallotynów, włoski ksiądz Wincenty Pallotti, ale niewątpliwie wiele uwagi poświęcali pytaniom dotyczącym wykładni tej zasady w naszych czasach.

Wkrótce zmodyfikowali tradycyjną filozofię apostołstwa, opowiadając się raczej za dialogiem. A w dialogu słuchają obie strony, nie tylko jedna. Dialog zakłada zgodę na to, że druga strona, druga osoba, obca nam, różna od nas, kryje w sobie własną tajemnicę. Zawsze wiemy o tym, że my sami mamy swoją tajemnicę i ta wiedza jest źródłem naszej siły, ale bardzo niechętnie przyznajemy ten sam przywilej – królewski przywilej – innym. Tymczasem młodzi księża pallotyni potraktowali ideę dialogu poważnie i umieścili ją w herbie swojej paryskiej instytucji; uważa się, że była to idea i inicjatywa ks. Sadzika.

Od samego początku nie zważali na niezliczone polskie tabu, na podziały społeczności emigracyjnej. Zaprzyjaźnili się z redaktorem Giedroyciem i z całą grupą z Maisons-Laffitte; ta przyjaźń przetrwała wszystkie te lata i wszystkie polityczne ewolucje i rewolucje. I gdy Czapski był już bardzo słaby, ks. Zenon przyjeżdżał do Maisons-Laffitte, żeby odprawić dla niego mszę świętą. Ale opiekował się też Romanem Palestrem w jego ostatnich latach. I z pewnością innymi też osobami – był dyskretny, więc nie wiedziało się o tym.

Był człowiekiem skromnym i dobrym, i często podkreślał, że tylko kontynuuje dzieło księdza Józefa Sadzika. Ta skromność była czymś ujmującym – jest przecież właściwością niezmiernie rzadką. U księdza Modzelewskiego wydawała się cnotą najzupełniej naturalną. Zdawało się, że nie chciał zwracać na siebie uwagi, tak jakby mówił „nie patrzcie na mnie, patrzcie na to, co robię”. Miał też duże poczucie humoru, nieco w stylu brytyjskim.

Ks. Józef Sadzik stał się w polskiej literaturze – oczywiście głównie dzięki pełnej czułości uwadze, jaką poświęcił mu Czesław Miłosz – postacią legendarną. Filozof o zainteresowaniach estetycznych, pasjonujący się sztuką i literaturą, stał się nieledwie bohaterem literackim i kto wie, może młodsze pokolenia będą pytały: czy ks. Sadzik istniał naprawdę?

Ksiądz Zenon Modzelewski nie miał łatwego zadania, gdy po przedwczesnej śmierci Sadzika w roku 1980 obejmował prowadzenie paryskiego *Centre du Dialogue*. Nie miał równie oczywistego, „charyzmatycznego” wdzięku, jakim obdarzony był ks. Sadzik. Dla przyjaciół ulicy Surcouf był zapewne do roku 1980 kimś, kto pozostawał w cieniu księdza Sadzika. Trzeba go podziwiać za to, że z niezwykłym taktem przejął i poprowadził przypadłe mu w udziale dziedzictwo – pomagała mu w tym Danuta Szumska. Tym większa jego zasługa, że dorobku „lat Sadzika” nie tylko nie zmarnował, lecz nawet pomnożył. To podczas jego kadencji, w latach, gdy Polskę zmroził stan wojenny, sala na ulicy Surcouf stała się dla mieszkających w Paryżu – lub tylko przez Paryż przejeżdżających – Polaków, przestrzenią witalną, jedynym publicznym obszarem swobodnej wymiany intelektualnej. I zawsze „wysoki ksiądz” serdecznie witał gości.

Teraz, gdy ksiądz Modzelewski umarł, wydaje się zupełnie oczywiste, iż jego życie stało pod znakiem podwójnej wierności: wierności pallotyńskiej misji i wierności młodzieńczej jeszcze przyjaźni z Józefem Sadzikim. Był przy tym doskonałym organizatorem, umiał dbać o utrzymanie i rozwinięcie materialnej bazy „koncernu pallotynów”.

Przypomnijmy krótko na czym polegają ogromne zasługi polskich pallotynów we Francji: składają się na nie działalność wydawnicza i odczytowa. Wydawnictwo *Editions du Dialogue* opublikowało w serii „Znaki czasu” 56 tomów i 5 tomów w zainicjowanej przez księdza Modzelewskiego serii „Świadkowie XX wieku”. Książki wydane w tych seriach były bardzo zauważane w Polsce, informowały o nowych tendencjach w myśli teologicznej Zachodu, przyczyniały się do utrzymania niezbędnego dla kraju kontaktu z życiem intelektualnym Europy.

Centre du Dialogue założony został w roku 1974 (działalność wydawnicza zainicjowana została dużo wcześniej, jeszcze w latach 50-tych). To od tej pory mała uliczka Surcouf położona w 7-ym *arrondissement*, w samym sercu zamóżnej, burżuazyjnej dzielnicy, o dwa kroki od placu Inwalidów – czyli i od grobu Napoleona – stała się jednym z najważniejszych punktów polskiego Paryża. Pomieszczenie, położone na parterze zwyczajnej kamienicy, jest kaplicą i salą

odczytową jednocześnie. To jest miejsce szczególne – sygnalizują to wspaniałe witraże Lebensteina, których ciemny koloryt odgaduje się nawet na zewnątrz, i piękna głowa Chrystusa, płaskorzeźba Aliny Szapocznikow. Podobno pierwotnie miała tu być filia banku. Ale salę przy ulicy Surcouf czekało przeznaczenie ciekawsze niż szelest banknotów.

Dwa nurty działalności księży pallotynów – wydawnictwo i organizacja *Centre du Dialogue* – uzupełniały się i dopełniały. Na pierwszy rzut oka wydaje się może, że wydawanie pożytecznych książek jest osiągnięciem większym i, przede wszystkim, trwalszym niż z natury rzeczy efemeryczna akcja prowadzenia odczytów i spotkań autorskich w niewielkiej sali przy ulicy Surcouf. Tak się jednak stało, iż właśnie owa efemeryczna aktywność nabrała charakteru symbolicznego.

Księża pallotyni mieli bowiem odwagę i fantazję, żeby zapraszać do siebie, z wykładem, z wieczorem autorskim, z pogadanką, ludzi kultury często od kościoła katolickiego bardzo odległych, zapraszać nie według przynależności ideowej, partyjnego klucza, lecz tylko według jednego kryterium: merytorycznej wartości. Dzięki temu udało się im stworzyć przestrzeń prawdziwie wolną.

W *Centre du Dialogue* występowali ludzie różnych poglądów i różnych wyznań. Zaczął Stefan Kisielewski, ale na długiej, bardzo długiej liście znajdziemy nazwiska najrozmaitsze. Tu czytał wielokrotnie nowe wiersze Czesław Miłosz (dla którego zapewne przez wiele lat paryska sala była nieomal jedynym miejscem żywego kontaktu z polską publicznością), tu Adam Michnik miał wspólny wieczór z Józefem Czapskim, tu występowali Jerzy Giedroyc, Jerzy Turowicz, Krzysztof Pomian, Andrzej Kijowski, Jan Kott, Karl Dedecius, Tadeusz Mazowiecki, Michał Borwicz, Michał Heller, Wojciech Karpiński, Wojciech Pszoniak, Sławomir Mrożek, Julia Hartwig i Artur Międzyrżecki. I wielu innych. Częstym gościem na ulicy Surcouf bywał Konstanty Jeleński. Kazimierz Brandys miał kilka wieczorów autorskich, pojawiał się regularnie Aleksander Smolar.

Centre du Dialogue stał się – w konkretnie paryskiej przestrzeni – odpowiednikiem tego rozumienia katolicyzmu,

katolicyzmu otwartego, które od lat znajdowało wyraz w krakowskim *Tygodniku Powszechnym*. Nie było w tym żadnej zmywy, tylko spontaniczne pokrewieństwo duchowe.

Na ulicy Surcouf księża pallotyni stworzyli coś niezwykle: model polskiego kościoła otwartego. Stało się to jakby mimochodem, jakby bez planowania, bez podkreślania: my jesteśmy inni. A przecież nie było to łatwe. Można sobie wyobrazić podobne przedsięwzięcie grzęznące w prowincjonalności, w partyjnym, wąskim podejściu do wyboru zapraszanych gości. Ten sukces był zasługą ks. Zenona.

Ksiądz Zenon Modzelewski tak zostanie zapamiętany: pogodny, uśmiechnięty, życzliwy, dotrzymujący wierności ideałom i przyjaźniom młodości.

Adam ZAGAJEWSKI

KSIĄŻKI POLSKIE

ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

4, rue Frédéric Sauton 75005 Paris

Telefon (1) 40 51 76 40

Fax (1) 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Kronika kulturalna

Kultura polska po komunizmie

ZAPROSZENIE DO DYSKUSJI*

I

W ciągu ostatnich kilku lat kultura stała się w Polsce jedynie młodszą i mniej atrakcyjną siostrą polityki. Na początku przejmowano się jeszcze jej stanem, badano puls, sprawdzano, czy i jak oddycha. Choć prawdę powiedziawszy, czynili tak przede wszystkim ludzie profesjonalnie z kulturą związani, politycy bowiem dość szybko o niej zapomnieli, a w programach wyborczych sprawy kultury załatwiano w najlepszym razie krągłym frazesem. Powszechnie panowała opinia, że kultura pierwsza padnie ofiarą wolnego rynku i należy pogodzić się z tym faktem jak z prawami przyrody. A pogląd ten podzielały także osoby i instytucje powołane do opieki nad kulturą i podtrzymywania naturalnej jej żywotności. Ponieważ zaś nikt, wyjąwszy zdeklarowanych sadystów, nie lubi spoglądać w oczy rzeźnemu zwierzęciu, kultura powoli przestawała być tematem publicznych debat. Była trzecią, obok szkolnictwa i służby zdrowia, wstydliwą chorobą odradzającej się demokracji.

Równocześnie jednak okazało się, że kultura wykazuje niezwykłą zdolność przystosowania się do nowych warunków. Że sama wytwarza mechanizmy obronne i wymusza na społeczeństwie minimalne bodaj ustępstwa na swoją korzyść. Że wciąż wychodzą książki, a liczba rozprowadzających je

księgarń nie maleje, lecz wzrasta, że funkcjonują teatry i filharmonia, a przeciętne zubożenie artystów nie jest większe od tego, jakie dotknęło inne grupy społeczne. Ci więc, którzy spodziewali się jakiegoś wielkiego, operowego konania kultury, też poczuli się zawiedzeni. Na ulicach nie widać staruszków z kartką „Jestem głodującym pisarzem”, a telewizja nie informuje o wzroście liczby samobójstw popełnianych przez wydawców. Prawdziwe zaś znaczenie słowa „sponsor” znane jest jedynie tym, którzy mają za sobą związane z tym doświadczenia. Na dodatek życie polityczne zaczęło dostarczać tak mocnych wrażeń, że nawet gdyby w ciągu miesiąca nie ukazała się ani jedna książka i zamknięto połowę teatrów, nikt by tego zapewne nie zauważył. Nietaktowne jest więc, być może, przyciąganie uwagi do spraw kultury w chwili, gdy większość światłych umysłów zajmuje się badaniami kwestii, dlaczego Polską rządzą dziś post-komuniści. Choć nie pozbawione podstaw wydaje się mniemanie, że śledząc losy kultury można natrafić na rozwiązanie, częściowe bodaj, i tamtej zagadki.

Zanim udzieli się jakiegokolwiek sensownej odpowiedzi na pytanie o kulturę po komunizmie, trzeba zdać sobie sprawę z tego, że wciąż niewiele wiemy o kulturze kształtowanej w łonie komunizmu, to zaś, czego jesteśmy świadomi, ma w dużej mierze postać wiedzy ogólnikowej i rozproszonej. Sprowadza się ona do utrwalonych wyobrażeń na temat ideologicznej instrumentalizacji kultury, przy czym oczywistsze i lepiej znane są negatywne niż pozytywne przejawy tej instrumentalizacji, jeśli przez pozytywność rozumieć niekoniecznie działania na rzecz wartości powszechnie uznanych, lecz stymulację przeciwstawioną restrykcyjności. Spośród przejawów negatywnych najszybciej przychodzi nam na myśl cenzura, choć nie zawsze pamiętamy, jak wiele i jak różne przybierała ona postaci. Ale już samo pojęcie cenzury rozszczepia się na dwa metaforyczne znaki, jeden odwołujący się do obrazu cięcia, drugi – do obrazu knebla. Pierwszy rozrasta się w wyobrażenie gigantycznej amputacji, mechanicznego okaleczenia, które musimy

* Pierwodruk: *Dekada Literacka* nr 4 (116).

uznać za historycznie nieodwracalne, mimo wszystkich wysiłków podjętych przez drugi obieg. Obraz knebla, choć bezpośrednio odnosi się do przemocy fizycznej, wskazuje na okaleczenie psychiczne: niemożność wyrażenia tego, co pragnie się wyrazić. I kulturę czasów komunizmu łatwo określić jako kulturę z wmontowaną blokadą ekspresji, które to określenie świadomie odsyła do pojęcia nerwicy, czyli choroby.

Treści poddane stłumieniu obejmowały ogromny obszar doświadczeń, przez jakie przeszła zbiorowość. Wbrew powszechnemu mniemaniu do doświadczeń tych należała też wojna, ludobójstwo, zagłada. Zanim bowiem doświadczenie to znalazło dla siebie pełną formę wyrazu, zostało wyciszone, a potem przekształcone w „temat okupacyjny”, którym na różne sposoby manipulowano, wprowadzając go ostatecznie w zideologizowanej postaci do kultury masowej. Na tamto doświadczenie bardzo szybko nałożyło się drugie, objęte o wiele silniejszym zakazem wysłownienia, mianowicie doświadczenie stalinizmu, a zakaz ten rozszerzony został na większość tematów związanych ze stosunkiem jednostka – władza, niekiedy także: jednostka – naród. Owa blokada ekspresji sprawiła, że część tego doświadczenia pozostała niewysłowiona, część zaś weszła do kultury w postaci zalegoryzowanej (literatura aluzyjna, literatura kostiumu historycznego czy egzotycznego, szeroko rozumiana parabola, wszystko, co zwykło się nazywać „językiem ezopowym”). W ten sposób cenzura stała się czynnikiem formującym (czyli deformującym) kulturę i jej „ciche” działanie, przejawiające się w decyzjach twórców, wymyka się opisowi historycznemu. Możemy jedynie domniemywać, że owa blokada ekspresji spowodowała trwałe zniszczenia i straty, których wbrew pozorom nie da się odrobić. Nie tylko dlatego, że szuflady pisarzy okazały się w znacznej mierze puste. Także z tego względu, że np. powieść o stalinizmie napisana i przeczytana w r. 56 byłaby dla kultury czymś zupełnie innym niż ta sama powieść czytana w roku 92. Ale blokada wyrażania miała, jak wiemy, także inne skutki. Spowodowała, że kultura stała się wewnętrznym sposobem porozumiewania się dużej części społeczeństwa skierowanym przeciw władzy. Można powiedzieć, że dzięki uruchomieniu mechanizmu alegoryczności i aluzyjności-

ci, kultura na oczach władzy rozpowszechniała tajemnicę, co zwiększało jej atrakcyjność i podnosiło jej rangę. Kultura polska przypomina więc trochę kastrata w papieskim chórze: dużo musiała stracić, by uzyskać ten szczególny dźwięk swojego głosu.

Ale państwo ideologiczne posługuje się nie tylko presją i zakazem, dysponuje ono także wieloma środkami stymulacji, zwanymi polityką kulturalną. Komunizm używał kultury do celów propagandowych, ale równocześnie jej rozwój traktował jako świadectwo swojej witalności, czym uwikłał się w nierozzerwalną sprzeczność. Ucisk doktryny powodował skarleńnię kultury, zmniejszenie ucisku wpływało korzystnie na jej dorodność, ale też prowadziło automatycznie do niepokojącego przyrostu wolności i wiedzy, co podmywało zręby ideologii. Polityka kulturalna miała na celu utrzymanie zbawiennej równowagi między tymi dwiema skrajnościami, była też rodzajem laboratorium, gdzie pracowano nad wyhodowaniem sztucznych przejawów życia kulturalnego, które sprawiałyby wrażenie naturalnych, a równocześnie dawały się bez przeszkód wkomponować w ideologiczny krajobraz. W ten sposób stymulowano rozmaite nurty (np. nurt wiejski w prozie), szkoły, zjawiska (pokolenie literackie co trzy lata), kreowano wielkości. **Było to robione na tyle zręcznie, że sami uczestnicy gry nie zawsze umieli się w niej rozeznaczyć, a i dzisiaj z perspektywy lat nie łatwo jest odróżnić autentyk od socjalistycznej kultury hodowlanej,** trudno zaś wyobrazić sobie opis tamtych czasów bez podjęcia bodaj wysiłku takiego odróżnienia.

Zanim wszakże powstaną nowe syntezy PRL-owskiej kultury, musimy się zadowolić zwięzłą i uproszczoną z konieczności konstatacją. Kultura, z której wyłania się na wolność pokolenie ludzi dojrzałych, a którą młodzi po nich automatycznie dziedziczą, była kulturą okaleczoną, chorą i sztucznie stymulowaną, a jednocześnie kulturą o wzmożonej atrakcyjności.

Gdybym miała wskazać centralne doświadczenie, łączące różne kręgi i grupy społeczne, które znalazło swój wyraz w

powojennej kulturze, nazwałabym je prosto, choć mało oryginalnie doświadczeniem alienacji, czyli zwyczajnie mówiąc wykorzenienia, w słabszej zaś wersji – doświadczeniem zachwiania tożsamości. Wiązało się ono z wieloma i z różnymi przeobrażeniami społecznymi, zmianą granic, gwałtowną industrializacją, z walką ideologiczną prowadzoną z kilkoma tradycjami naraz. Bo i ze szlachecką, i z mieszczańską, i z konsekwentnie chłopską. Nie mówiąc już o najszerzej pojętej tradycji chrześcijańskiej. Wyszło z tego względnie cało jedynie chrześcijaństwo, bo ono obejmowało najszerszy krąg społeczeństwa i znajdowało oparcie w instytucji Kościoła; wyszło też poczucie narodowości, przyznać jednak trzeba, że tego poczucia szkoła socjalistyczna (po 56 r.) nie zwalczała jawnie, a nawet je poprzez naukę literatury i historii – niezależnie od wszelkich przekłamań – podtrzymywała. Ani jednak bycie katolikiem, ani bycie Polakiem nie stało się podłożem pozytywnego przeżycia egzystencjalnego, które znalazłoby swój wyraz w kulturze. Literatura tzw. katolicka trzymała się, ze zrozumiałych względów, z dala od współczesności i najczęściej posługiwała historycznym kostiumem. Życie więc religijne obywatela Polski Ludowej, dramaty gwałconych sumień oraz zwykłego konformizmu pozostawały w sferze cienia, wygnane w przemilczenie, nie utrwalone, nie rozjaśnione przez sztukę. I nie jest to zjawisko całkowicie pozbawione znaczenia dla współczesnego życia społecznego. Bycie Polakiem przybrało w wysokiej kulturze przede wszystkim postać kwestionującej stereotyp groteski. Od Dygata przez Mrożka po Andermana, że pozostaniemy przy autorach tworzących w kraju, raczej dobierano się do szlachecko-romantycznych urojeń niż tworzone jakiegokolwiek nowy projekt poczucia narodowego. Pozytywny więc obraz polskości był albo obrazem archaicznym, dziewiętnastowiecznym, albo wziętym w spadku po przedwrześniowej Polsce kiczem patriotycznym. Wszystko to wiąże się bezpośrednio z innym charakterystycznym dla powojennej kultury zjawiskiem: z poczuciem utraty naturalnej więzi z rzeczywistością, z czymś, co najprościej da się określić jako życie w świecie nie-moim. Komunizm w sposób jawny zmierzał do wytworzenia nowej rzeczywistości, która odpowiadałaby ideologicznym wyobrażeniom

i tworzył ją od języka począwszy, na architekturze i krajobrazie skończywszy. Z tą rzeczywistością – a myślę tu przede wszystkim o świecie namacalnym, przedmiotów, domów, mieszkań, zachowań, szeroko rozumianej codzienności, mało kto identyfikował się uczuciowo. Nawet jeśli ten świat był przystępniejszy od dotychczasowego, bo jednak w blokach z ciepłą wodą i gazem zamieszkali ludzie, którzy niekiedy wychowali się w dziewięciorgu w jednej izbie. Ale przyzwyczajenia i pamięć silniejsze bywają od ułatwień, a więź ze światem wytwarza się zazwyczaj poprzez to, co gotowi jesteśmy uznać za drogie i własne.

Toteż zarówno zdeklasowani jak i wyemancypowani przez socjalizm byli – jedni w ten, drudzy w inny sposób nieszczęśliwi. Dlatego zapewne, nie zaś z przyczyn wyłącznie cenzuralnych, nie powstała w Polsce powieść realistyczna czy realistyczne kino. Zadowolona z siebie i z życia warstwa społeczna – socjalistyczne drobnomieszczaństwo – pojawia się przy końcu lat sześćdziesiątych, gdy dały znać o sobie pierwsze oznaki gospodarczego kryzysu. Ona też od razu stała się przedmiotem satyry: wysokiej i gorzkiej jak u Różewicza, łagodnej i komicznej – jak w „Czterdziestolatku”.

Paradoksalnie, to poczucie wyobcowania, utożsamione tu z doświadczeniem socjalizmu, ma swój wyraźny odpowiednik w kulturze Zachodu w zgoła odmiennie kształtowanym łożysku. Ale choć w znacznej swej części kultura polska ma charakter naśladowczy w stosunku do kultury zachodniej, część jej fenomenów wiąże z Zachodem „podobieństwo w różnicy”: Różewicz da się pomyśleć bez Becketta, a Mrozek bez Ionesco.

Obraz tej „sytuacji wyjściowej” byłby jednak fałszywy, jeśli pominąć dwie ważne kwestie. Jedną jest sprawa dostępności kultury. Upowszechnianie kultury było jedną z zasad komunistycznej ideologii, pierwotnie związaną z utopijnym zaiste przekonaniem, że robotnik wyzyska sztukę czytania jedynie w celu pogłębienia swej klasowej świadomości. W realnym socjalizmie ideologowie nie żywili już takich złudzeń, ale na mocy wewnętrznego paradoksu polityki

kulturalnej, o którym wcześniej była mowa, utrzymywali zasadę udostępniania kultury, choć przezornie wiązali ją z zasadą selekcjonowania treści. Wszystkie jednak niegodziwości systemu i szkody wyrządzone przez niego w kulturze nie zmieniają faktu, że polityka kulturalna oznaczała także wyrabianie w tzw. szerokich kręgach społecznych nawyku korzystania z dóbr kulturalnych. Bo powstają nowe biblioteki, w których znaleźć można nie tylko Gorkiego, Wasilewską i Polewoja, książki są nierzadko dofinansowywane, zakłady pracy wykupują bilety do teatru, pojawia się wiele dobrych tłumaczeń. Chłopi wbrew oczekiwaniom czytają Kraszewskiego nie Reymonta, a łódzkie tkaczki Rodziewiczównę zamiast „Pamiętki z Celulozy”. I niezależnie od karykaturalnej postaci, jaką niekiedy przybierają działania związane z upowszechnianiem kultury, jej dostępność staje się faktem. Zwiększa się ona dzięki zmianom cywilizacyjnym: rozszerzeniu sieci radiowej, potem telewizyjnej.

Równocześnie przebiega proces o szerokim, światowym zasięgu, który kulturę polską także obejmuje: to coraz ostrzejsza polaryzacja kultury wysokiej i kultury masowej. Doktryna komunistyczna kontroluje obie sfery, bardziej wszakże, co rozumiało tę, która obejmuje większy krąg odbiorców. Sztuka awangardowa miała swoją niszę ekologiczną, szybko bowiem się połapało, że w większości przypadków jest ona całkowicie niegroźna dla systemu, jej zaś obecność stanowi świadectwo jego wielkodusznej tolerancji. Możliwe więc było, choć niełatwe, istnienie teatru Grotowskiego czy Kantora, raczej ułatwiano niż utrudniano życie takim pisarzom jak Buczkowski czy Parnicki. Polska natomiast kultura masowa była straszliwie nudna, nie spadała jednak poniżej pewnego poziomu, jeśli pominąć takie jej przejawy lokalne jak kabarety w powiatowych miasteczkach. Generalnie też przeważała tendencja do homogenizacji ze znakiem dodatnim – raczej w górę niż w dół. Toteż choć cudzoziemcy śmiali się do łez oglądając sekretarzy partii zwiedzających obory w pegeerach (a nie wiedzieli, że krowy tam pokazywane bywają zazwyczaj pożyczane od indywidualnych rolników) i wodzących rozmarzonym wzrokiem za kolejnym spustem stali, zazdrościli nam teatru telewizyjnego i programów kulturalnych. Wiadomo też było, że o ile na

tzw. najwyższym szczeblu kulturą steruje aparat partyjny, to szczeble średnie i najniższe należą do fachowców. Dyrektor wydawnictwa bywał zwykle „swoim” człowiekiem, ale redaktorami działów czynił już na ogół ludzi wyspecjalizowanych w swoim fachu. Uległość obowiązywała w dziedzinie ideologii, ale nie w dziedzinie składni. No, wyjąwszy może składnię Machejka. Stąd poza rewirem ideologicznej bzdury i ewidentnego kłamstwa średni poziom kultury był dość przyzwoity, a twórca, który nie wchodził w konflikt z systemem, miał być względnie ustabilizowany. Prześladowania zaś, jakie spotykały tych, co wdali się w spór z władzą, choć niewątpliwie szarpały im nerwy i utrudniały życie, zwiększały równocześnie ich społeczny autorytet. Skoro są tak groźni, musi być w nich siła – miał prawo myśleć przeciętny obywatel.

Można więc powiedzieć: kultura okresu komunizmu wytwarza mechanizmy i treści negatywne (okaleczeni, poczucie obcości), ale konserwuje też odruchy pozytywne, jakim było nieustające prowadzenie dialogu z tradycją, utrzymywanie w pamięci zbiorowej obrazu duchowego oporu i z nim związanej funkcji pisarza. Z takim posagiem znaleźliśmy się niespodziewanie w ramionach wolności, czyli wkroczyliśmy w okres po-komunistyczny.

II

Pierwsze zaskoczenie, że likwidacji cenzury nie towarzyszy żaden wybuch twórczości, mamy już za sobą. W obrębie kultury dają się natomiast zaobserwować dwa ruchy zastępcze. Pierwszy, to odzyskiwanie materii dotąd niedostępnej: literatury emigracyjnej, twórców z różnych powodów zakazanych – zarówno krajowych jak zagranicznych. Od Żeromskiego po Koestlera i Jamesa Bonda. W ten sposób uzupełnia się owe mechaniczne ubytki w kulturze i przywraca naturalny kształt jej zniszczonej postaci. Odruch drugi to próby (z ducha utopii regresywnej poczęte) powrotu do miejsca, w którym nastąpiło zerwanie tradycji, w naiwnym przeświadczeniu, uświadomianym bądź nie, że da się w tajemniczy sposób unieważnić doświadczenie komunizmu i

nawiązać bezpośrednią łączność z nietkniętą przez złe moce kulturą przedwojenną. Choć dokonania tej transplantacji (zakładając sterowaną amnezję pozytywną) przejawia się głównie w sferze życia zbiorowego, w stylu obchodzenia świąt narodowych i rocznic, we frazeologii przemówień, w poświęcaniu banków itd. Próby takiego rekonstruowania kultury są zabiegiem ryzykownym i, co pokazuje praktyka społeczna, nie w pełni udanym. Bo jest to, niestety, Orwellowska w swej naturze pokusa wymazywania z pamięci rzeczywistego doświadczenia, choć pokusa w intencjach swych szlachetna. W bajce o królewnie-strzydze dzielny kmiotek, co przechytrzył diabelskie siły, trzeciego dnia o świcie znajduje przy grobowcu śliczną piętnastoletnią królewnę, która, poczęta w grzesznym związku, przyszła na świat jako maskara. Nasza królewna jest już kobietą w średnim wieku, gorzko doświadczoną i naznaczoną przeżyciami poprzedniego wcielenia. Toteż choć zwolennicy „pozytywnej rekonstrukcji” wiele mówią o zgubnym wpływie komunizmu, równocześnie wpływ ten w swoim projekcie kultury unieważniają. Ten błąd perspektywy popełnia wielu polityków identyfikujących się z różnie pojmowaną prawicą. Popełnia go także i Kościół, choć wystarczy posłuchać listów pasterskich, by stwierdzić jaki był zasięg spustoszenia, które nowomowa poczyniła w naszym języku.

To właśnie wewnątrz samej kultury współczesnej musi się dokonać rozpoznanie rzeczywistego stanu rzeczy, to ona musi udzielić odpowiedzi na pytanie, kim jesteśmy po komunizmie. Odpowiedzi takich będzie zapewne wiele, bo dadzą je ludzie w różnym wieku i różnorodne mający za sobą przeżycia. Warto pamiętać, że każdy dzień zwycięstwa jest zawsze dniem poległych i okaleczonych, więc dniem żałoby. **Może zbyt mało płakaliśmy nad sobą i zbyt łatwo zabiłnialiśmy nasze rany.** Psychologia kliniczna zna pojęcie zatajonego kalectwa i pokazuje, jak niszczące bywają tego skutki. Jeśli człowiek, który stracił w wypadku nogę, zaczyna w tydzień później uczyć się języków obcych, jest wysoce prawdopodobne, że za miesiąc skutecznie popełni samobójstwo. Ten, kto zaczyna od próby samobójczej, zazwyczaj powraca do równowagi i radzi sobie z kalectwem, on bowiem naprawę

zobaczył rzeczywisty stan rzeczy, gdy tamten nie dopuścił go do świadomości.

Jeśli zgodzić się, że kultura okresu komunizmu była kulturą wykorzenionego „ja”, kulturą okaleczoną i sztucznie stymulowaną, nie da się tego przykryć archaicznym sztafażem, ani jakimkolwiek mechanicznym odwoływaniem się do tradycji. I w najlepszej nawet woli budowane rekonstrukcje okażą się – jak zresztą już się okazują – fałszywe.

Równie wątpliwa, bo zacierająca rzeczywisty obraz, wydaje się powierzchowna europeizacja, która w sferze życia codziennego przynosi błogosławione skutki. Przyjemnie jest wchodzić do czystych toalet i ładnie, choć na modłę austriacką, urządzonych sklepów. Ale dopiero czas pokaże, jak to, co dziś ma charakter imitatorski, przekształci się w autentyczną mutację, którą będziemy odczuwać jako coś własnego. Odnajdywanie swojej tożsamości – narodowej, środowiskowej, grupowej, bo tych tożsamości będzie wiele i będą się one wzajemnie krzyżować – jest procesem długotrwałym. Dlatego też zapewne milczy wielu wybitnych pisarzy, zwłaszcza prozaików, bardziej od rzeczywistości uzależnionych. Trudno jest bowiem ustawić głos w rozgwarze i hałasie.

Wprowadzenie wolnego rynku kultury bardzo szybko odsłoniło swoją ambiwalencję. Oznaczało nie tylko zniesienie cenzury. Także napływ towaru niekontrolowany przez specjalistów, czyli bardzo duże zróżnicowanie rynku. W kulturze nie działa zapewne mocne prawo Grahama i kultura „gorsza” nie musi wypierać kultury „lepszey”, obserwacja jednak poucza, że w przeważającej liczbie wypadków tak się właśnie dzieje. Staje się tak zwłaszcza wówczas, gdy słabnie obieg informacji, gdy spada wiarygodność czynników opiniotwórczych lub gdy głos ich jest zagłuszany przez reklamę. Taką właśnie sytuację można w tej chwili zaobserwować w Polsce. Rozległy i bardzo zróżnicowany rynek, coraz gorzej zorientowany nabywca kultury, nie zawsze fachowo prowadzone poradnictwo: media najmocniejsze – telewizja i gazeta codzienna nie mają wyrobionego języka porad, zwłaszcza że same podane są coraz wyraźniejszemu ciśnieniu komercjalizacji i

trudno im zachować bezstronność osądu. Pojawia się więc pytanie, na które niełatwo znaleźć odpowiedź: w jaki sposób, nie wprowadzając restrykcji, sterować wyborem estetycznym przy rozsądnym założeniu, że człowiek mając naturalną skłonność do dobra (czyli do tego, co estetycznie wartościowe), ulega w sposób równie naturalny lenistwu i pokusie łatwej atrakcyjności? Pytanie to jest tym ważniejsze, im lepiej widoczne staje się sprzężenie zwrotne między domniemanym gustem odbiorcy, rzeczywistą ofertą i gustem wtórnie ukształtowanym. Nie jest rzeczą absolutnie bezsporną, że polski odbiorca kultury musi ulec infantylizacji, czy kulturze masowej w stylu amerykańskim. Nie można jednak zakładać, że będzie się jej heroicznie opierał, jeśli względy komercyjne i stymulowana potrzeba spowodują szerokie otwarcie śluz, poprzez którą popłynie, jak już płynie, tandeta. Toteż dyskusji na temat standardów kultury nie można mylić z dyskusją o cenzurze, a tak się na ogół dzieje. Takie standardy obowiązują na rynku żywnościowym, farmaceutycznym, chemicznym itd. Nikomu też, kto wycofuje z handlu trujące ciasteczka nie stawia się zarzutów, że pomniejsza zakres wolności jednostki. Choć może z punktu widzenia poprawności politycznej lepiej byłoby jednak sprawdzać ciasteczka, opatrując je w rogu dyskretnym napisem: nieco trujące po spożyciu.

● Tak oto zbliżyliśmy się do kolejnego zjawiska charakterystycznego dla postkomunistycznej kultury. Jest nim wycofywanie się znawców oraz ich wypieranie z pola praktyki kulturalnej. Świadomie używam tutaj słowa „znawcy” nie „autorytety”, mam bowiem na myśli wiedzę i kompetencję, nie zaś moralne uprawnienia. Zjawisko to wiąże się z właściwym kapitalizmowi dążeniem do otrzymania taniego towaru, czyli zwiększania zysku, z uzależnieniem od kapitału i obronności, a także braku moralnych skrupułów, czym znawcy nie zawsze mogą się pochwalić. Wynika również z nieudolności samych znawców, z ich konserwatyizmu, niechęci do popularyzacji. W miejsce znawców więc wchodzi „uzurpatorzy”, niedouczeni dziennikarze, niedoświadczeni

redaktorzy, źli, ale szybko działający tłumacze, telewizyjni amatorzy itd. Znawcy odpowiadają na to wyniosłą izolacją oraz poczuciem krzywdy, co zmniejsza jeszcze zakres ich oddziaływania i ich kulturalną produktywność. W Polsce chorobliwość tej sytuacji została pogłębiona przez działanie czynnika politycznego: każdy zwycięski obóz wprowadzał do kultury swoich kombatanów, co odbiło się w sposób szczególnie spektakularny na stanie telewizji publicznej. Oczywiście, znawcy też nie są święci i sami również ulegają korupcji, tworząc fałszywe hierarchie lub nie sprzeciwiając się rozpowszechnianiu tandetnych towarów. Wiążą ich, jak zawsze wiązały, układy środowiskowe, naciskają na nich prawa rynku, zmuszając do uległości lub materialnych wyrzeczeń, wreszcie wywiera presję swojska forma *political correctness* – lęk przed ekspansją „ciemnogrodu”, którego siłę sami niekiedy współtworzą za pomocą mitologizacji. Lęk, by wypowiadając swój sąd nie znaleźć się po niewłaściwej stronie, znawcy wynieśli jeszcze z PRL-u, przy czym nie chodzi tu bynajmniej o prosty koniunkturalizm. Nie można było wtedy napisać, że Machajko jest grafomanem, ale nie wypadało również nisko ocenić twórczości pisarza wciągniętego w opozycję, by nie stanąć po stronie oszczerców. Teraz, gdy geografia społeczna znacznie się skomplikowała, gdy wzrosła populacja Katonów w niezbyt czystych togach, trudno jest zachować jasność sądu i mieć odwagę jego wypowiedziania. Ale też tym bardziej wzrasta jego wartość, choć nie zawsze cena.

● Rzeczą niewątpliwie nową i niezwykle ważną jest coraz lepiej widoczna decentralizacja kultury, która wynika ze współdziałania wielu różnych sił. Po pierwsze jest rezultatem załamania się socjalistycznego typu zarządzania kulturą, ale zbiega się też z głoszonym przez liberałów „prawem do indywidualnej ekspresji”, która podważa zasadę hierarchiczności. Warto pamiętać, że to „Solidarność” wprowadziła ongiś pojęcie regionu i struktur poziomych, rozbijając pionowy układ władzy. Ale równocześnie owe odśrodkowe tendencje właściwe są całej współczesnej kulturze nazywającej

się kulturą postmodernistyczną. Hierarchia i centrum to są dla niej idee negatywne, chciałoby się powiedzieć – szatańskie, gdyby nie to, że ich wcieleniem i reprezentacją zarazem są figury Boga i Ojca. Wiąże się to logicznie z charakterystyczną dla naszych czasów mitologizacją regionalności, małych ojczyzn i wszelkich grup nieformalnych. Ma to zażegnać niebezpieczeństwo tkwiące w nacjonalizmach i w państwie jako narzędziu opresji. Okazuje się wszakże w praktyce, że sama decentralizacja jest zjawiskiem pozytywnym, bo żywa kultura rodzi się z autentyzmu, z bezpośredniego kontaktu ze światem, a twórczość wyzwala się najczęściej w małych grupach – wiekowych, towarzyskich, czy w inny naturalny sposób spojonych, to trudno przychodzi wyobrazić sobie kulturę z której wymontowanoby mechanizm selekcji, zróżnicowania, hierarchizacji obiegu. A kultura polska w tej chwili staje się strukturą coraz bardziej spłaszczoną, zregionalizowaną, rozdrobnioną, pociętą na wiekowe getta. Nie jest to nawet zabawa w głuchy telefon, bo ta zakłada deformację w łańcuchowym układzie komunikacji, tu zaś każdy szepce w swoim kącie, odwrócony tyłem do innych. Trzydziestolatkowie czytają głównie trzydziestolatków, dwudziestolatkowie dwudziestolatków, krakowianie krakowian, a warszawiacy siebie. Każdy autor ma swojego krytyka, każde pismo swoich autorów. **Odbiorców kultury zastępują fani.** Ukazanie się książki czy zrobienie wystawy zależy nie tyle od jakości dzieła, co od obrotowości autora i umiejętności pozyskiwania sobie finansowego wsparcia. Zanik centrum, o którym pisał nie tak dawno w *Kresach* Janusz Sławiński, daje się zaobserwować nie tylko w poezji, dotyczy to także prozy, krytyki literackiej i artystycznej i całego życia kulturalnego. Poezja stanowi może najjaskrawszy przykład, gdyż jest produktem tanim i jej rozrodzności nie ograniczają finansowe względy, dopuszczalne zaś zróżnicowanie jej form jest tak duże, iż każda niemal konwencja może znaleźć oparcie w jakimś kryterium wartości. Czy jest w tych zjawiskach coś niepokojącego? Może zamiast kultury opresyjnej, rządzonej przez centrum, hierarchię i autorytet pojawia się oto nowa jej odmiana: kultura liberalno-ludyczna, dla której najważniejsza jest swoboda wyrazu i lokalne więzi? Każdy może sobie sięść pod drzewem i napisać wiersz, który

przeczyta siedzący pod drugim drzewem poeta. Trzy osoby zakładają pismo literackie. Malarze noszą ze sobą przenośne wystawy. Państwo każdemu daje skromną dotację na działalność artystyczną i pozwala ją odstąpić innym, jak świadectwo udziałowe. W ten sposób znika bolesny problem mecenatu i można wreszcie rozwiązać Ministerstwo Kultury.

Ale żarty na bok. Oczywiście, nie dzieje się nic strasznego. Kultura jest po to, by nią żyć, nie po to by się w niej orientować, choć trudno sobie wyobrazić świadomość kulturalną, która nie ogarniałaby szerszego horyzontu. Rozproszenie widoczne w kulturze budzi jednak niepokój, ponieważ z jednej strony powoduje marnotrawstwo cennego niekiedy materiału, nikt bowiem nie ma dość czasu, by przeczytać wszystkie wychodzące czasopisma, z drugiej – prowadzi często do amatorszczyzny, jako że małe kręgi nie poddawane zewnętrznej ocenie nie tylko pielęgnują bliskie sobie wartości, ale także utrwalają własne błędy. Od błędów gramatycznych poczynawszy. Ten stan rozproszenia nie wpływa też najlepiej na samopoczucie potencjalnych i realnych odbiorców kultury, którzy stają się coraz mniej pewni swoich wyborów, nadmiar bowiem również paraliżuje zdolność rozróżniania, o czym wie każdy, kto wszedł kiedykolwiek do wielkiego domu towarowego. Muszą komuś zawierzyć, ale nie bardzo wiedzą komu, skoro autorytety się wykruszają, a wśród znawców panuje nie mniejsze zamieszanie. Na dodatek towar jest drogi i nie opatrzony żadną gwarancją jakości. Nikt przecież nie zwróci pieniędzy za źle przetłumaczoną albo głupią książkę, którą anonimowy autor reklamuje na okładce jako dzieło wybitne. Publiczność reaguje więc odruchem obronnym, czyli inercją**.

Tak widzę zarysy krajobrazu kultury wyłaniającego się na horyzoncie po-komunistycznej rzeczywistości, choć najnowsze

** Nic więc dziwnego, że nawet ci, co nie mają skłonności do katastroficznego widzenia świata, zaczynają wyrażać obawę o przyszłość kultury narodowej, poddawanej naciskowi dwu rozmywających ją tendencji: rozproszeniu, o którym była mowa, oraz zewnętrznej unifikacji związanej z działaniem „mocnych” środków masowego przekazu o światowym zasięgu.

Niewykluczone, że sama kultura narodowa należy do słownika pojęć przebrzmiałych, ale prawdzie tej też trzeba otwarcie spojrzeć w oczy.

wypadki kazały używać tego sformułowania z pewną ostrożnością. Rzecz jasna, kultura polska, niezależnie od swoich lokalnych uwarunkowań i historycznych doświadczeń, jest częścią kultury światowej i jej puls bił i bije w dwu rytmach. Wyłowienie jednego z nich jest zabiegiem ryzykownym i tak postępując fałszuje się niewątpliwie obraz jej organizmu. Ale, mam nadzieję, nie bez pożytku dla samej diagnozy.

Teresa WALAS

Sztuka grekokatolików

Moje odkrywanie złożoności kulturowej, religijnej, narodowościowej, rodzącej się III Rzeczpospolitej, rozpoczęło się od penetracji obszarów dzisiejszej południowo-wschodniej polaci Zamojszczyzny, zamieszkałej do 1947 r. przez grekokatolików. Tak się jednak złożyło, że więcej i częściej pisałem o prawosławiu. Nie tylko dla równowagi ducha, w poczuciu obowiązku, należałoby te zaległości nadrobić. Idealnym pretekstem okazała się międzynarodowa konferencja naukowa, którą pod hasłem „Sztuka cerkiewna w diecezji przemyskiej”, zorganizował w dniach 25-26 marca 1995 r. w Muzeum Zamku w Łańcucie jego pracownik Jarosław Giemza.

Pana Giemzę spotkałem na szlaku swoich wędrówek i w zasadzie jemu zawdzięczam, że odsłonił się przede mną świat z zewnątrz nieco zgrzebnym, natomiast bajecznie kolorowym wewnątrz, projektowanych nieraz z istic poetycką fantazją, ukraińskich i łotewskich cerkiewek południowo-wschodniej Polski.

Tuż po wojnie, w 1947 r. wywieziono z tego obszaru ok. 150 000 ludzi, w większości Ukraińców greckokatolickiego wyznania. Samą cerkiew unicką (słowa unicki używam wy-

łącznie ze względów stylistycznych, nie ma w tym złej woli czy chęci urażenia kogokolwiek), zdelegalizowano. Z ocalałych ok. 650 świątyń tego wyznania po wojnie, do dziś ostała się mniej więcej jedna trzecia. O tej jednej trzeciej rozprawiano głównie na sesji, choć nie brakło uwag o obiektach już nie istniejących, np. w Potyliczu, bądź zachowanych po drugiej stronie Bugu.

Pierwszy dzień sesji, poświęcony w zasadzie malarstwu ikonowemu, rozpoczęła b. interesującym wystąpieniem prof. Anna Różycka-Bryzek z Uniwersytetu Jagiellońskiego, kreśląc historię przenikania, wpływów malarstwa bizantyjskiego w sztuce polskiej. Posiadało ono pełne prawa obywatelstwa od czasów Jagiełły aż do baroku, nie budząc zastrzeżeń łacińskiego duchowieństwa. Polichromie bizantyjskie istniały w dormitorium Jagiełły i kaplicy świętokrzyskiej na Wawelu, w kolegiacie Wiślickiej i Sandomierskiej, na św. Krzyżu i w Lublinie, a nawet, do XVII w. w katedrze gnieźnieńskiej. W europejskim malarstwie sakralnym było zjawiskiem unikalnym, poza Sycylią, gdzie istniały z innych powodów mozaiki bizantyjskie, nigdzie indziej nie występującym. Nawet w okresie baroku, gdzie z zasady tępiono przejawy innego gustu, łacińscy biskupi chronili wschodnie malowidła, dzięki czemu możemy je oglądać w Polsce do dziś. Natomiast stosunek Cerkwi moskiewskiej do zachodniego malarstwa religijnego był wyraźnie wrogi, w czasach reform Nikona przejawy obcego gustu atakowano ostro, tępiono, paląc niejednokrotnie stopy „skażonych” ikon.

Osobna wzmianka należy się malarstwu halickiemu, należałoby powiedzieć ukraińskiemu, któremu zachodnie wpływy nadawały żywości, natomiast bizantyjskie – podniosłości i szlachetności. Jest ono zupełnie inne od konserwatywnych szkół południowych i północno-ruskich.

Niezwykle precyzyjną analizą wpływów bałkańskich w ikonach Ukrzyżowania z obszaru diecezji przemyskiej przeprowadził Piotr Kruk, także z Krakowa. Zofia Szanter równie szczegółowo omówiła etapy rozwoju muzyńskiej szkoły ikonopisów XVII stulecia. Muszyna, przypomnijmy, leżała w rusińskim kluczu włości biskupów krakowskich. Ukraińskiemu malarstwu sakralnemu poświęcił swoje wystąpienie wybitny znawca ikon Romuald Biskupski, na co dzień

pracownik Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku, przestrzegając przed manią wpływoлогии podczas badania. Postulował raczej szukanie oryginalności, odrębności nie tylko szkół, ale pojedynczych wizerunków. Wyniki swoich badań nad malarzami ikon w diecezji przemyskiej drugiej połowy XVI w. przedstawił pracownik Instytutu Ukrainoznawstwa we Lwowie, dr Włodimir Aleksandrowicz.

Interesujący referat nt. zwyczajów, wierzeń i obrzędów okresu adwentu i świąt Bożego Narodzenia w okolicach Kornia na Zamojszczyźnie wygłosił ks. Bogdan Stepan. Korczmin, obok Kalwarii Paławskiej k. Przemysła, Jarosławia, Łopienki w Bieszczadach, Leżajska i Chotyńca k. Radymna, należały do najważniejszych, najbardziej popularnych miejsc kultu Matki Bożej. Jak często na pograniczu, uroczystości religijne ściągały nie tylko grekokatolików, także łacinników z Zachodniej Ukrainy, nawet Słowacji. Właśnie przez Korczmin położony niedaleko Kornia miał przewozić Władysław Opolczyk wizerunek Matki Boskiej, późniejszej Częstochowskiej – miejsce to obrosło legendami, żywymi do wysiedlenia Ukraińców w 1947. Niedawno odkryto, że miejscowa cerkiew pochodzi prawdopodobnie z XVI w. a nie z XVII, jak opisywano w fachowej literaturze. Jeśli chodzi o dawną obrzędowość – trochę zachowało się jej w dzisiejszym klimacie Wigilii. Pierwotnie każda czynność, praca tego dnia miała swoje znaczenie tajemne, magiczne. Wigilia była odbiciem całego nowego roku, starano się więc zharmonizować wszelkie zadania rodzinne by przebiegały bez zakłóceń. Wieczera miała znamiona rytuału, zachowywano nawet pewną hierarchiczność rodzinną, kolejność spożywania potraw. W drugim, wspólnotowym dniu świąt (pierwszy, rodzinny spędzano tylko w swoich domach), chodzono z tzw. wertepem, czyli skrzynką, w której górnej części odbywało się lalkowe przedstawienie, natomiast dolna przeznaczona była na świece. W I części wertepowego dramatu występowały typowe postaci z dzisiejszej szopki: aniołowie, pastuszkowie. Druga, wyraźnie aktualna, satyryczna krytykowała podłych ludzi, niekorzystne dla wsi zjawiska.

Nie zabrakło wystąpień o charakterze *stricte* kultowym, religijnym: ks. Bogdan Prach przedstawił historię szczególnie ważnej dla grekokatolików ikony „Myłoserdia dweri” z cerkwi

jarosławskiej, natomiast ks. Juliusz Krawiecki stare (księża pod presją UB, urzędowe rejestry wyznawców) i nowe (konflikty na tle używania cerkwi pomiędzy rzymskimi i greckimi katolikami) problemy parafii, w której pełni posługę. Ikona jarosławska w bieżącym roku – czterystulecie powstania Kościoła grecko-katolickiego, zostanie uroczystie koronowana. Widzę tu próbę utworzenia ośrodka kultowego na wzór łacińskiej Częstochowy czy prawosławnej Grabarki, jego znaczenie dla integrowania się polskiej mniejszości ukraińskiej, dla krzepnięcia polskiej Cerkwi ukraińskobizantyjskiej może okazać się nie do przecenienia. Malkontentom czy „patriotom” – mówiąc prościej: nacjonalistom – należy uzmysłwić, że 300-500-tysięczna społeczność ukraińska w Polsce nie stanowi dla nikogo żadnego zagrożenia. Przeciwnie, uporządkowanie, rzetelne załatwienie spraw ukraińskich tutaj, pozwoli na podobne rozwiązanie spraw mniejszości polskiej na Ukrainie, która wciąż patrzy wyczekująco w naszą stronę. Wariant z upokarzaniem, ciemnieniem mniejszości, przerabialiśmy przed wojną, wiadomo czym się skończył.

Drugi dzień sesji zdominowały rozważania nad architekturą unickich cerkwi. Goście ze Lwowa, Jurij Łukomskij i Wasyl Petryk omówili architektoniczne założenie monasteru w Ławrowie oraz cerkiewną architekturę Przemysła w wiekach X-XVI. Paweł Sygowski z Lublina poświęcił godzinę na opuszczoną cerkiewkę w Bełżcu k. Tomaszowa Lub. Erudycyjny wykład nt. XVII-wiecznych polichromii ściany ikonostasu w Gorajcu k. Cieszanowa wygłosił organizator Konferencji – Jarosław Gienza. Świątynia ta zachowała sporo archaizmów, właśnie one oraz powiązania z najstarszymi na tym terenie cerkiewiami w Potyliczu (już nie istnieje) i Radrużu pozwoliły datować ją na lata 80. szesnastego stulecia. Należy więc do najstarszych, drewnianych w Polsce. Równie efektywne, bogate faktograficznie okazał się referat Eugeniusza Zawaleńia pt. „Cerkwie o kopułach brogowych Nadsania”. Najstarsze, widniejące np. na XV-wiecznych ikonach karpaczkich cerkwie posiadały właśnie ten typ kopuły (ostrosłup o podstawie kwadratu). Natomiast pierwsze świątynie ukraińskie miały formę trzech sześcianów, z których największy przykrywano ostrosłupem. Z rozwojem techniki budowlanej

zmniejszano kąt pochylenia kopuły dając coraz większą liczbę załamań.

Nie mogę pominąć wystąpienia Oksany Jurczyszyn ze Lwowa, która przedstawiła rozwój graficznych anteminsów od XVI w. (haftowane, malowane temperą) po wiek XVIII (drzeworyty, miedzioryty, itp.).

Oczywiście najżarliwiej dyskutowało się w kularach. Rozmowy odbywały się w mieszkaniu organizatora sesji przy zastosowaniu umiarkowanych dawek środków rozgrzewających (wystudzona marcowymi podmuchami sala balowa odbierała chęć do dyskusji nawet najżarliwszym miłośnikom sztuki cerkiewnej). No i nastrój: przewalające się stosy książek, dwa koty: Rozbójnik i Znajdek, znakomita herbata i żyrandol rzucający każdego na kolana: zarówno na zwykłym drucie wprowadzono do słoika chyba po śledziach marynowanych, przykrywał to wszystko strzęp doniczki, a poniżej majestatycznie chwiała się XIX-wieczna waga. Całość misternie spleciona konopnym sznurem.

Konferencja została przygotowana solidnie, zamkowemu muzeum w Łąncucie należą się słowa uznania, nie wiem tylko dlaczego zwalono i przygotowanie, i realizację imprezy na barki jednego człowieka. Podczas sesji można było obejrzeć wystawę ikon i przedmiotów kultu w Dziale Sztuki Cerkiewnej. Towarzyszyła jej wystawa fotografii i rzeźb emanujących niezwykłą metafizyką miejsca. Autor, Andrzej Stepan, nadał jej tytuł mówiący wszystko: „Ziemia Przeklęta”. Konferencja okazała się potrzebna najbardziej chyba samej Cerkwi, ukraińsko-bizantyjskiej, która mimo 400 lat istnienia, wychodzi po blisko półwieczu z podziemia, z katakumb, pełna nadziei ale nie wolna od obaw. W naszym, wszystkich mieszkańców III Rzeczypospolitej interesie leży, by ją w tym odrodzeniu jak najefektywniej wspomóc. Sto czy dwieście tysięcy grekokatolików tutaj mieszkających, ich kultura, sztuka, język – przecież najbliższy chyba polskiemu, powinny zająć należne im miejsca w szerokim obszarze kultury tego kraju.

Adam W. KULIK

Kto pamięta mur getta?

2 października 1940 roku gubernator Ludwig Fischer podpisał rozporządzenie o powołaniu Żydowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej w Warszawie. Dziesięć dni później, w uroczyste święto żydowskie Sądny Dzień, oficjalnie powiadomiono o decyzji utworzenia getta, prezesa gminy, Adama Czerniakowa. Do końca miesiąca na wyznaczony teren mieli przeprowadzić się wszyscy warszawscy Żydzi. Wolno im było zabrać ze sobą jedynie „bagaż ręczny i bieliznę pościelową”.

Mury, oddzielające od śródmieścia północno-zachodnią część miasta „zagrożającą zarazą”, zaczęto wznosić już wiosną. Stanęły w poprzek Siennej i Świętokrzyskiej, Pańskiej, Krochmalnej i wielu innych ulic. Przy budowie pracowali w większości Żydzi. Również koszt wydzielania zamkniętego obszaru w mieście ponieść miała gmina żydowska. Niemcy wznosili więzienie rękami ofiar.

Zbudowany z cegieł mur miał trzy metry wysokości. Ustawiono na nim dodatkowo jeszcze metr kolczastego drutu. Na tak zwaną „aryjską stronę” prowadziły 22 wyjścia. Potem ich liczbę zmniejszono do 15. Granice 307 hektarowego obszaru getta również kilkakrotnie ulegały zmianom. Zacieśniano mury.

W okresie największego zagęszczenia, wiosną 1941 roku w getcie przebywało około 450 tysięcy osób (osiem do dziesięciu na izbę). Głód był tam najbardziej rozpowszechnioną chorobą. Ratunkiem okazał się szmugiel – nielegalny handel żywności odbywający się głównie przez mur. Za opuszczenie granic dzielnicy zamkniętej groziła kara śmierci. Tak samo karano za pomoc w przekraczaniu muru lub ukrywaniu się po drugiej jego stronie. Mur odgradzał dwa światy tragicznej wojennej rzeczywistości.

Kto pamięta mur warszawskiego getta?

Chcę spisać jego okupacyjną codzienność. Opisać go tysiącami oczu tych, którzy nie zapomnieli. Czym był? Co znaczył? Jak go widziano? Jak wyglądał z bliska?

Szukam tych, którzy mieszkali w pobliżu muru, po jednej i po drugiej stronie. Tych, którzy przez mur przechodzili, którzy byli przez mur przerzucani. Tych, którzy tylko patrzyli na mur z rozpaczą, obojętnością lub ulgą, którzy go budowali lub rozbierali jego resztki po wojnie. Szukam tych, których ta sprawa dotyczy.

Kto pamięta własną historię związaną z murem warszawskiego getta? Chcę ją zapisać. Interesuje mnie każde świadectwo. Zbudujemy w miejsce muru symboliczne lapidarium pamięci.

Agata TUSZYŃSKA

00-953 Warszawa

Skrytka pocztowa 57

Książki

Co nas łączy, co nas dzieli

W komunistycznej Polsce do pierwszych osób, które zaczęły interesować się odbudową kontaktów z Niemcami, należeli katoliccy intelektualiści związani ze *Znakiem*, a pierwszym krajowym pismem, które próbowało inaczej spojrzeć na Niemcy, był *Tygodnik Powszechny*. Jedną z tych osób był redaktor *Tygodnika*, Mieczysław Pszon. Co skłoniło byłego działacza obozu narodowego do tego, że znalazł się wśród pierwszych, którzy pod koniec lat pięćdziesiątych podali rękę byłym wrogom? Mieczysław Pszon tłumaczy powody zmiany stosunku jego generacji do Niemców następująco: „Doszedłem (...) do wniosku, że sytuacja uległa całkowitej zmianie: zagrożenie ze strony Niemców przestało być aktualne. Trzeba więc wyzwoleć się z uprzedzeń, które są wprawdzie podbudowane okropną praktyką, niemniej pozostają uprzedzeniami. Przede wszystkim nie można bać się szukania kontaktów. Uzasadniłem to sobie także i w ten sposób, że doktrynę – wedle której Niemiec to najgorszy wróg można – jak rzadko czym – usprawiedliwić wasalną przynależnością Polski do Związku Sowieckiego. Doktryna taka mogła być instrumentem zniewolenia komunistycznego, a nie elementem sensownej polityki polskiej. Na współpracę Polski z Niemcami trzeba lat, ale warunki – tak mi się wydawało – są. I jest to jedyny sposób uwolnienia się od zależności sowieckiej”.

Wypowiedź ta pochodzi ze wspomnień Mieczysława Pszona, które zamykają książką pamiątkową na cześć byłego redaktora *Tygodnika Powszechnego*, składającą się z artykułów krążących wokół rozwoju stosunków polsko-niemieckich w ostatnich pięćdziesięciu latach¹. Zebrane w księdze wspom-

1. „Polacy i Niemcy pół wieku później. Książka pamiątkowa dla Mieczysława Pszona”. Wydawnictwo Znak, Kraków 1996, s. 551.

nienia Pszona są fascynującą lekturą, stanowiącą świadectwo życia człowieka, który mimo że wychowywał się i działał w nacjonalistycznym środowisku bez sympatii proniemieckich, uwolnił się od myślowych stereotypów i zmienił się w prekursora pojednania polsko-niemieckiego. To on razem z Horstem Teltschikiem przygotowywał jako pełnomocnik rządu Tadeusza Mazowieckiego historyczną wizytę kanclerza Helmuta Kohla jesienią 1989 roku, która otworzyła drogę do ostatecznej akceptacji przez Niemców granicy nad Odrą oraz traktatu o dobrym sąsiedztwie. W swoich wspomnieniach Pszon opisuje nie tylko lata powojenne oraz swoją wieloletnią odyseję po więzieniach stalinowskiej Polski, ale także podejmuje próbę określenia swojego – także typowego dla obozu narodowego – przedwojennego antysemityzmu. Wojna jednak spowodowała rewizję jego poglądów na temat Żydów. Toteż Pszon w swoich wspomnieniach powołuje się na Karla Jaspersa, który napisał, że przed Oświęcimiem antysemityzm był idiotyczną ideologią, ale po Oświęcimiu jest już zbrodnią. Analiza przedwojennego antysemityzmu jest u Pszona jednak niezbyt udana. Jerzy Turowicz w przedmowie do książki ostrzega czytelników przed tłumaczeniem polskiego antysemityzmu przez Pszona ponieważ „on w jakimś stopniu ten antysemityzm usprawiedliwia”. Poglądy Mieczysława Pszona na to, co określił jako „specjalnie trudną kwestię żydowską” spowodowały ostrą reakcję ze strony Henryka Grynberga. Autor „Żydowskiej Wojny” w opublikowanym przez *Tygodnik Powszechny* artykule² przekonująco dowodzi, że usprawiedliwienie polskiego antysemityzmu przez Pszona są niczym innym jak posługiwaniem się starymi stereotypami. Grynberg zarzuca Pszonowi, że tłumacząc problemy współżycia Polaków i Żydów sugeruje on, jakoby Żydzi byli „destrukcyjnym elementem” w Polsce, zapominając o systematycznej dyskryminacji żydowskich obywateli. Niestety, Mieczysław Pszon nie mógł już odpowiedzieć na zarzuty Grynberga, nie doczekał się też wydania swojej książki.

Ta otwartość w stosunku do Niemiec, będąca jednocześnie próbą uwolnienia się od ideologii sowieckiej, miała potem w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych duży wpływ na powojenne pokolenie, które wiedziało już przed przełomem roku 1989, że ważnym warunkiem dla zakoń-

2. Henryk Grynberg, „O destrukcyjnych elementach w Polsce”, *Tygodnik Powszechny*, 17 grudnia 1995.

czenia obłężenia Europy Środkowej przez Armię Sowiecką jest zjednoczenie Niemiec. Kamieniami milowymi na tej drodze były pierwsze kontakty *Tygodnika Powszechnego*, środowiska *Znaku* oraz Kościoła z odwiedzającymi Polskę Niemcami już pod koniec lat pięćdziesiątych. Do tych pierwszych gości należeli przedstawiciele organizacji *Pax Christi* oraz *Znaki Pokuty*. Pierwszy rozdział książki jest próbą przybliżenia czytelnikowi obrazu tamtych kontaktów. Kontakty polskiej inteligencji katolickiej nie ograniczały się do partnerów z RFN. „Księga pamiątkowa” przypomina początki ważnego ekumenicznego przedsięwzięcia „Akcji Znaków Pokuty”, które mimo podziału Niemiec działało jednocześnie w NRD i RFN. Dzięki temu przedsięwzięciu dość regularnie młodzi Niemcy ze wschodu i zachodu przyjeżdżali do pracy na terenie byłych obozów koncentracyjnych oraz w instytucjach charytatywnych. Warto podkreślić, że cały czas Mieczysław Pszon i jego przyjaciele jednakowo traktowali partnerów z NRD i z RFN. Nie można powiedzieć tego o dużej części Polaków, u których do dnia dzisiejszego obserwuje się antypatie w stosunku do wschodnich Niemców. Jedną z zasług „Księgi pamiątkowej” jest przypomnienie faktu, iż dialog polsko-niemiecki nie ograniczał się do spotkań z przedstawicielami demokratycznej republiki bońskiej i przypomnienie istnienia w NRD środowiska, które nie ufało komunistycznemu brataniu się polskich i niemieckich aparatczyków i dążyło do odciążenia pojednania polsko-niemieckiego od balastu ideologicznego. Niektórzy z nich, jak na przykład dwaj autorzy „Księgi pamiątkowej”, Ludwig Mehlhorn oraz Konrad Weiss, odegrali jako działacze ruchu opozycyjnego ważną rolę przy zmianie ustroju w NRD.

Pierwszym politycznym efektem kontaktów środowisk związanych z Kościołami był (wspomniany przez Petera Pühode) w 1965 słynny list Niemieckiego Kościoła Ewangelickiego oraz zbiorowy list polskich biskupów z historycznym zwrotem „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. List polskich biskupów – jak słusznie zauważył Andrzej Hajnicz w swoim esej dla „Księgi pamiątkowej” – wywarł „ogromny wpływ na społeczeństwo może właśnie dlatego, że oba narody nie były jeszcze przygotowane na to wezwanie do pojednania”. Ten kamień milowy jest obecny w wielu pracach zebranych w „Księdze pamiątkowej”. List polskich biskupów był pierwszym oficjalnym przyznaniem się Polaków do krzywdy wyrządzonej niemieckim cywilom. Był on krokiem w kierunku

ku likwidowania narodowego mitu o Polakach jako „wiecznie niewinnych ofiarach”.

List biskupów zapoczątkował długą i bolesną dyskusję na temat udziału Polaków przy wypędzaniu Niemców. Dyskusja ta jest też obecna w „Księdze pamiątkowej”. Jerzy Holzer zbliża się do problemu wypędzenia z trzech perspektyw: historycznej, politycznej i moralnej. To zróżnicowane podejście umożliwia mu odgraniczenie politycznych i historycznych powodów wypędzenia (*Vertreibung*) od moralnej oceny polskich zbrodni przeciwko Niemcom: „Jakkolwiek bylibyśmy w stanie zrozumieć i nawet usprawiedliwić *Vertreibung* w kategoriach historycznych i politycznych, trudno je zaakceptować w kategoriach moralnych. Przypomnijmy bowiem ów zespół wartości, od dekalogu poczynając, który swoisty jest dla cywilizacji śródziemnomorskiej. W kategoriach moralnych nie do przyjęcia jest zasada odpłaty złem za zło (...) ani zasada odpowiedzialności zbiorowej (...)”.

Artur Hajnicz natomiast próbuje ocenić wypędzenie, różnicując pomiędzy trzema poziomami odpowiedzialności za dramat wypędzenia. Poziomem pierwszym jest odpowiedzialność sprawcza, która spada na III Rzeszę. Odpowiedzialność decyzyjna, będąca drugim poziomem według Hajnicza, spada na aliantów, którzy w Jaltie i Poczdamie uzgodnili przesunięcie na zachód terytorium i ludności polskiej. Trzeci poziom, to odpowiedzialność wykonawcza, która nie tylko obciąża komunistyczną władzę, ale także część społeczeństwa, biorącego udział w przestępstwach wobec niemieckiej ludności cywilnej.

To złożone podejście do polsko-niemieckiej historii można odnaleźć w przemówieniu Władysława Bartoszewskiego przed Bundestagiem i Bundesratem z okazji pięćdziesiątej rocznicy zakończenia drugiej wojny światowej w Europie. Potępienie gwałtownego wypędzenia Niemców przez byłego ministra spraw zagranicznych było jednym z najważniejszych wydarzeń ostatnich pięciu lat w stosunkach polsko-niemieckich. Otwarte rozliczenie się ze wspólną historią jest ważnym krokiem, ponieważ jeżeli – jak pisze Holzer – „nie nazwiemy zła złem (a dobra dobrem), pozwolimy następnym pokoleniom, aby – powołując się na nas – kontynuowały zło bez poczucia moralnej odpowiedzialności albo – potępiając nas – zatraciły zdolność rozumienia źródeł zła”.

Jak widać Polacy i Niemcy przeszli długą drogę w kierunku pojednania, która w oczach sąsiadów oceniana jest jako wzór dla innych narodów. Przy każdej okazji byli

wrogowie podkreślają zbieżność interesów w zasadniczych sprawach polityki międzynarodowej. Czy można jednak zaobserwować jakieś zasadnicze deficyty w naszych wzajemnych stosunkach? Bardzo ciekawą odpowiedź na to pytanie usłyszałem kilka tygodni temu z ust byłego wysokiego polskiego dyplomaty, który przed 1989 rokiem był związany z solidarnościowo-opozycyjnym środowiskiem, a dzisiaj zajmuje się naukowo stosunkami polsko-niemieckimi. Najbardziej przeraża go dzisiejszy stan dialogu intelektualnego między Polakami a Niemcami. W jego oczach dialog ten był przed 1989 rokiem co prawda ograniczony do mniejszej grupy ludzi, ale za to bardziej intensywny niż w ciągu ostatnich kilku lat. Spotkania Polaków z Niemcami przekształcają się w płytkie banały, przy których powtarza się ciągle te same wypowiedzi. A tematów do dialogu jest wystarczająco dużo. Na przykład ciągle rozmawiamy na temat terminów poszerzenia NATO i Unii Europejskiej, a mało zastanawiamy się co będzie po wstąpieniu do Unii. Jakie będą konsekwencje członkostwa? Co się zmieni dla naszych krajów? Doświadczenia ostatnich dekad pokazały, że intelektualny dialog może przygotować obydwie kraje do nowych przełomów i związanych z nimi problemów. Istniejąca stagnacja jest może spowodowana małym zainteresowaniem młodej generacji dla sąsiada. Niebezpieczna wydaje się też różnica między nastawieniem elit politycznych do sąsiadów a nastrojami przeciętnych obywateli, co w przypadku Niemców może spowodować negatywną reakcję dużej części społeczeństwa na popieranie przez niemiecki rząd federalny europejskich aspiracji Polski.

We właściwym momencie ukazała się w „Bibliotece Więzi” książka, której celem jest pogłębienie stojącego w miejscu dialogu Polaków i Niemców. Inicjatorzy antologii krótkich esejów „Polacy i Niemcy. 100 kluczowych pojęć”³ nie mają zamiaru wygładzać różnic między narodami, tylko chcą zainicjować trzeźwą rozmowę na temat tego, co Polaków i Niemców łączy a co dzieli. Książka ta jest próbą przedstawienia niemieckich i polskich tradycji duchowych z różnych punktów widzenia tych samych zagadnień. „Kluczowe pojęcia” składają się z kilkudziesięciu krótkich artykułów,

3. „Polacy i Niemcy. 100 kluczowych pojęć”. Opracowali: Ewa Kobylńska, Andreas Lawaty i Rüdiger Stephan, Biblioteka Więzi, Warszawa 1996, s. 491.

których tematyka sięga konfrontacji z najstarszą historią (Krzyżacy, sarmatyzm, Napoleon, Bismarck), aż do problemów pojednania po drugiej wojnie światowej. Wśród artykułów na temat tradycji duchowych znaleźć można eseje na temat polskiego mesjanizmu i niemieckiego romantyzmu. Antologia uwzględnia też tematy, które w dialogu polsko-niemieckim są często pomijane, jak np. rozważania na temat „niemieckiego śmiechu” czy też polskiego humoru, bez których jednak nie da się zrozumieć mentalności sąsiada.

Lista autorów „Kluczowych pojęć” jest imponująca. Szkoda jednak, że wydawcy nie zaktualizowali informacji biograficznych o autorach, co w niektórych wypadkach było konieczne. Czytając tę książkę czytelnik polski znajdzie nie tylko nazwiska znanych niemieckich protagonistów polsko-niemieckiego dialogu, które figurują również w „Księdze pamiątkowej dla Mieczysława Pszona”, ale i krótkie eseje autorstwa wybitnych niemieckich historyków, nie znanych polskiemu czytelnikowi, jak na przykład Heinricha Augusta Winklera, Heiko Haumanna i Dana Dinera. Szkoda jednak, że wydawcy nie wykorzystali ponad trzyletniego opóźnienia przy wydaniu polskiego tłumaczenia, aby uwzględnić najnowszy rozwój stosunków polsko-niemieckich. Dialog na temat przyszłości naszego sąsiedztwa, ważna refleksja o dalszym rozwoju integracji europejskiej oraz jej wpływu na nasze kraje, nie stanowią silnej strony „Kluczowych pojęć”. Pod tym względem ciekawsza jest „Księga pamiątkowa dla Mieczysława Pszona”. Mimo, że i w niej nie znajdziemy wielu ciekawych wypowiedzi na temat przyszłości naszego sąsiedztwa, to jednak można polecić trzy pod tym względem ciekawe wypowiedzi w „Księdze pamiątkowej”. Obok krótkiego artykułu Gerharda Bartodzieja na temat problemów mniejszości niemieckiej w Polsce oraz odpowiedzi Adama Krzemińskiego na pytanie o proniemieckie lobby w Polsce, szczególnie ciekawe są rozważania Jürgena Wahla na temat polskich iluzji o procesie rozszerzania Unii Europejskiej na Wschód.

„Księga pamiątkowa dla Mieczysława Pszona oraz „100 kluczowych pojęć” są (mimo zastrzeżeń) ważnymi wydarzeniami wydawniczymi. Stanowią próbę ożywienia obecnej stagnacji w dialogu między Polakami i Niemcami, na temat tego, co nas łączy i dzieli.

Basil KERSKI

W poszukiwaniu tożsamości

Z benedyktyńską cierpliwością i niewątpliwym talentem Hanna Krall próbuje odtworzyć atmosferę nie istniejących już miasteczek, w których współżyli ze sobą, raz gorzej raz lepiej, Polacy i Żydzi, biedni i nieco zamożniejsi, dobrzy i źli, lokalni głupcy i lokalni mędrcy. W jej opowieściach, wbrew innym przekazom-opracowaniom historycznym, zdjęciom, statystyce i przedwojennej publicystyce – tamten, zaginiony świat pięknieje, staje się urokliwy i niezmiennie wzruszający. Bardziej przypomina poetycki świat Chagalla niż realny świat zafowanych i pachnących biedą miasteczek. Przez pamięć o zamordowanych chce się wierzyć, że rację ma Hanna Krall. Nie tylko ona zresztą, ale wszyscy, którzy ocalili z Holocaustu, tak właśnie chcą pamiętać własną i przodków przeszłość. Hanna Krall z umiejętnością archeologa odtwarza z fragmentów wspomnień świat modlących się chasydów z Siedlec, piekarzy z Dubna wyrabiających najlepszą macę (z pewnością bez atestacji zamorskiego rabina), czy oprawiaczy tory z Węgrowa. Jej poetyckie reportaże z życia autentycznych osób, niekiedy ukrytych za inicjałami, są jednocześnie elegią na cześć tych czterystu polskich miast, w których przez setki lat żyli polscy Żydzi, a które obecnie są wpisane w izraelskie Księgi Pamięci.

W Polsce nie ma już prawie Żydów i coraz mniej ich materialnych śladów. Nie tylko dlatego, że dawne miasteczka zmieniają się i unowocześniają: również dlatego, że rozmyślnie lub ze zwykłej głupoty niszczy się ślady obecności Żydów, jakby się chciało wytrzeć z pamięci zbiorowej ich wielowiekową obecność na polskiej ziemi. W opowiadaniu „Ulica Bronsztajna, ulica Górna”, z tomu „Na cudzym weselu”, Hanna Krall opisuje przebieg wizyty w Sochaczewie kilkunastu ocalałych Żydów, którzy w 1991 roku, po raz ostatni, chcieli zobaczyć swoje rodzinne miasto. Przyjechali z daleka: z Izraela, z Kanady i ze Stanów Zjednoczonych, wiedzeni tęsknotą do małej ojczyzny. I spotkali się z obojętnością. Nikt ich nie obrażał i nikt nie cieszył się z ich przyjazdu. Nikt ich nie rozpoznał i nikt nie okazał ciekawości ich powojennymi losami. Po ich odejście przewodniczący

Miejskiej Rady miał powiedzieć: „Może i głupio wyszło z tymi ulicami. Chociaż Bożniczą mogliśmy im pozostawić. Zadnego domu tam nie ma, żaden człowiek przy niej nie mieszka, niechby już ją sobie mieli...”. Ale nie mają i nie tylko w Sochaczewie. Jakże często nie mają nawet tablic upamiętniających ich niegdysiejszą obecność i wojenną zagładę.

Opowieści Hanny Krall nie są oskarżeniem Polaków, nie występuje ona w roli samozwańczego sędziego. Po prostu chce przypomnieć, czym była ostatnia wojna dla Żydów, na czym polegała wyjątkowość ich losu, bez względu na stan socjalny i stopień asymilacji. Z okrucich spisanych przez nią wspomnień wyłania się barbarzyński świat, w którym przestały funkcjonować dotychczasowe reguły i w którym zwykły, ludzki odruch życzliwości, stawał się aktem bohaterstwa. Walka o przetrwanie najbliższych i własne, czasem przede wszystkim własne, prowadzona wbrew logice, a często i nadziei, była zmaganiem się z hitlerowską siłą a nierzadko i z polską obojętnością. Żydzi w swojej walce o życie mieli niewielu sojuszników, ale mieli; po latach, o nich starają się przede wszystkim pamiętać.

W książkach Hanny Krall wiele jest opowieści o Polakach, którzy ratowali, pomagali i którzy teraz nie zapominają o Holokauście i jego skutkach. W cytowanym opowiadaniu jest i taka opowieść: „W Przeworsku zbudowano na żydowskim cmentarzu dworzec autobusowy. Kości, które wykopał spychacz pochowano w masowym grobie, resztę zalano tonami betonu. Miejscowy kamieniarz, Jan Sasaki, wybrał wtedy najładniejszy ze swoich kamieni. Wyrył napis: „Pamięci Żydów...” Ulokował na wózku dwukołowym. Sam jeden zawiózł na autobusowy dworzec. Ustawił, pomodlił się i wrócił do domu”.

Opowieści Hanny Krall nie ograniczają się do odtworzenia przedwojennej atmosfery małych ojczyzn ani opisu przeżyć wojennych. Są również, a może przede wszystkim, opisem poszukiwań tożsamości przez ocalałych z Holokaustu, a także przez ich potomków, choć ci urodzili się już podczas pokoju.

Po wojnie, większość Żydów, zresztą nie tylko Żydów, chciała za wszelką cenę rozpocząć normalne życie, zdobyć swoją część szczęścia i spokoju. Znaczyło to zapomnieć o obozach, apelach i odorze palonych ciał, zapomnieć o kryjówkach, upokorzeniach i strachu, zapomnieć o głodzie,

zapomnieć o rodzinie, której i tak już nie było, o grobach i obojętności. Każdy z osobna kształtował swoją nową osobowość. Jedni wyjeżdżali do Izraela, inni uciekali z Europy do Ameryki w obawie przed powtórzeniem się Holocaustu, bądź przed komunizmem. Jeszcze inni pozostawali w Polsce. Część z nich z pełnym przekonaniem włączyła się w budowę nowego ustroju, który miał być zaprzeczeniem wszystkiego, czego zaznali w ostatnich latach. Ich marzenia okazały się ideologiczną iluzją. Dla wielu Polaków pozostali przede wszystkim Żydami, niechcianymi i niepotrzebnymi mieszkańcami polskiej ziemi. Ich aktywność w partii komunistycznej tylko pogłębiała wrogość, w najlepszym przypadku – obojętność. Niechęć do komunizmu splatała się z niechęcią do Żydów, obciążając ich wszystkich, bez względu na poglądy polityczne i społeczną aktywność, odpowiedzialnością za wszystko, co w Polsce wydarzyło się od 1945 roku. Wiele ofiar Holocaustu stało się ofiarami komunizmu, a później i niektórych partii działających w wolnej Polsce. Okazało się, że antysemityzm przeżył Holocaust i że dla wielu Żyd jest, jaki był, głównym nieszczęściem Polski. Ale byli i komuniści, którzy z ofiar przekształcili się w katów. Ten wątek jest niestety u Hanny Krall najsłabszy. Jej bohaterowie nie umieją, czy też nie chcą wiarygodnie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego pozostali ślepi i głusi na cierpienia współobywateli, zwłaszcza tych, którzy w czasie wojny okazywali pomoc i życzliwość. Przekształcenie się ofiary w kata i ponownie kata w ofiarę czeka jeszcze na opisanie.

Znacznie ciekawszy i bardziej przekonujący jest proces poszukiwania własnej tożsamości wskutek ustąpienia wojennej amnezji. Zjawisko dość zresztą powszechne. Ludzie, którzy przez lata milczeli, nagle zaczynają opowiadać o sowieckich łagrach; wielki malarz słoweński, Zoran Music, od połowy lat siedemdziesiątych zaczyna w swojej twórczości powracać do czasu swojego pobytu w Dachau, tj. do człowieczej męki i śmierci; Jorge Semprun, w niedawno wydanej książce również powraca do Buchenwaldu, w którym przebywał półtora roku. Tłumaczy dlaczego, mimo bezsennych nocy, nie był w stanie opisać śmierci przyjaciół i współtowarzyszy, bo każdy opis wydawał mu się błahy w porównaniu z tym, co zapamiętał. I tę listę można by ciągnąć. Zasługą Hanny Krall jest to, że opowiada o ludziach skromnych, których życie nie różniłoby się niczym od tysięcy im podobnych, gdyby nie Holocaust. Korzystając z wojennych

papierów (lub nie) wtapiali się w polską, powojenną rzeczywistość i rozpoczynali nową walkę, tym razem o normalne życie, o swoją część ziemskiego życia: podejmowali pracę lub studia, zakładali rodziny, cieszyli się z narodzin potomków, którym nadawali polskie imiona, wystawali w kolejkach, czekali na mieszkania i żyliby w miarę normalnie, gdyby nie powracające koszmary nocne. W końcu przeszłość ich dopadła. Nie tylko z powodu politycznych rozgrywek i ujawniającego się antysemityzmu. Odezwała się ich własna pamięć. Wróciły wspomnienia o dzieciństwie, rodzicach i przyjaciółkach. Wrócił strach i koszmary obozowe. Teraźniejszość zderzyła się ze wspomnieniami i pojawiło się nieuchronne pytanie: kim właściwie się jest i kim powinno się być, jeśli nie chce się wyrzec części samego siebie. Takie samo pytanie zaczęły sobie zadawać żydowskie dzieci, które polscy rodzice wychowywali jak własne, lecz „w ostatniej chwili pragną (im) powiedzieć jak było, lecz mówią niewyraźnie, o niejasnych sprawach i odchodzą w połowie słowa. Niektórzy zostawiają równie spóźniony i nie wysłany list czy strzęp notatek. Z takim strzępem i posłowiem przychodzą pięćdziesięcioletnie żydowskie dzieci do Żydowskiego Instytutu”. (Z opowiadania „Niepamięć” z tomu „Dowody na istnienie”). Rozpoczyna się żmudne odtwarzanie własnej historii, niekiedy zakończone odnalezieniem bliskich krewnych, przeważnie prowadzące donikąd. W trakcie poszukiwań powraca to samo natrętne pytanie: kim właściwie jestem? Chce się pamiętać o żydowskiej matce a jednocześnie nie chce się wyrzekać matki chrześcijańskiej. Przez pamięć o Holokauście chce się pamiętać o żydowskich przodkach, choć się ich nie znało, równocześnie nie chce się i nie jest się zdolnym do przekreślenia całego swojego powojennego życia i odrzucenia nowej rodziny. Dylematy, które z reguły pozostają nie rozstrzygnięte. Przywróceniu pamięci towarzyszy powrót do wojennych przeżyć, a to oznacza dla zainteresowanych, jak i dla najbliższych, koniec stabilizacji i spokojnego życia. Z reguły zaczynają się koszmary, choroby i wyrzuty sumienia, że się samemu przeżyło.

Czy można pozostać obojętnym na te zmagania z przeszłością? Zdecydowanie nie – odpowiada Hanna Krall w swoich książkach. (Ogółem opublikowała 10 pozycji, przy czym „Zdażyć przed Panem Bogiem” miało w Polsce i na całym świecie 22 wydania). Powinniśmy się interesować losami Żydów, bo zbyt blisko i zbyt głęboko są związani z naszym

własnym losem. Trudno często ustalić, co było polską, a co żydowską historią, bo była po prostu wspólna. „Dawid, cadyk z Lelowa, nauczał: ‘ktokolwiek, człowiek czy lud, nie dostąpił poznania własnych błędów, ten nie dostąpi zbawienia. W takiej mierze możemy być zbawieni, w jakiej poznamy sami siebie’” (z opowiadania: „Zbawienie”, z tomu: „Dowody na istnienie”). Święte słowa. Dlatego właśnie musimy pamiętać o Żydach żyjących i zamordowanych podczas Holokaustu. Ich duchy żyją wśród nas. Są częścią naszej kultury i historii, i powinny stać się częścią naszej pamięci. Duchy pomordowanych nie znikłyby nawet wówczas, gdyby zabrakło ostatniego żydowskiego cmentarza, ostatniej uliczki, o dziwnie szeleszczącej nazwie. Ten obowiązek pamięci, to również problem naszej własnej tożsamości.

Paryż, czerwiec 1996 roku

Grażyna POMIAN

Być Francuzem, nie będąc Francuzem

Czytelnik empiryczny to ty, ja, każdy,
kto czyta jakiś tekst. Czytelnik empiryczny
czyta na wiele sposobów...

Umberto ECO, tłum. J. Jarniewicz

Powieść Makine'a „Le testament français”^{*} weszła do czołówek bestsellerów francuskich w listopadzie 1995 i utrzymuje się w niej nadal. Bez ryzyka pomyłki spodziewać się można, że osiągnie światowe nakłady na miarę „Doktora Żiwago” czy „Mistrza i Małgorzaty”. Osobliwość *le miracle*

^{*} Andrei Makine: „Le testament français”. Paris 1995, Mercure de France, s. 308, (1), Prix Goncourt 1995, Prix Médicis 1995.

Makine polega nie tylko na równoczesnym przyznaniu mu dwu prestiżowych nagród ale i – przede wszystkim – na tym, że otrzymał je Rosjanin, dotąd poniżej czterdziestki, po zaledwie ośmiu latach pobytu we Francji i tyluż latach starań o uzyskanie obywatelstwa francuskiego, co już po wydaniu powieści osiągnął. W wywiadach odmawia odpowiedzi na pytanie, dlaczego opuścił Rosję. Píše rzekomo powieść, która to wyjaśni.

„Le testament français” mieści się wygodnie w ramach tradycyjnej, rosyjskiej prozy fabularnej. Doczytać się w nim łatwo wpływów Czechowa i Tołstoja, autor przyznaje się otwarcie do wpływu Dostojewskiego. Fruwają na kartach powieści symboliczne motyle Nabokowa, ciszę wieczoru w stepach przerywa gwizd lokomotywy z „Doktora Żiwago”. Ale raczej Flaubert jest literackim patronem powieści! I z najwyższym szacunkiem przywoływany Proust, którego cień odwiedza „*Au Ratafia de Neuilly*”. Wzruszają wypróbowane na milionach czytelników rekwizyty: album z fotografiami dawnych elegantek utrwalonych w uśmiechu po wymówieniu „*petite pomme*”, „syberyjska walizka” z ładunkiem starych gazet i wycinków będących wygodnymi punktami wyjścia wieczornych opowieści, torba znaleziona na Pont Neuf, odłamek spod Verdun, pamiątka po kimś, kto co prawda uszedł z życiem z okopów, ale – jak Apollinaire – wyniósł z nich śmiertelną chorobę.

Ujawnione dotąd dane życiorysowe Makine’a pokrywają się na ogół z kolejami losu narratora, z którym autor identyfikuje się w końcowych rozdziałach powieści. Urodził się w Nowogrodzie w 1957 r., szkołę średnią i studia uniwersyteckie (z romanistyki) ukończył w Sowietach, opuścił Rosję legalnie, by rozpocząć niełatwy żywot emigranta. Otarł się o finał Radia Swoboda w Monachium, a na paryski Gare de l’Est dojechał jako 28-latek. Nagrody 1995 zastały go na mansardzie Montmartre w zapchanym książkami pokoiku. Brązowa kurtka z prążkowanego materiału welwetu staje się mundurem jego licznych młodych entuzjastów.

W trzech częściach powieści wątki biograficzne i historyczne przeplatają się zręcznie, prowadząc – jak w *roman policier* – do rewelacji zakończenia w tytułowym „testamencie”.

Bohaterką powieści jest Charlotte Lemonnier (ur. w 1903), córka lekarza, Norberta i młodszej o 20 lat od niego Albertine. Osiedlili się oni na Syberii w r. 1905 i na zawsze

już w Rosji pozostali, z rzadka odwiedzając rodzinne Neuilly s/Seine. Babka narratora jest więc 100% Francuzką, on sam, formalnie, tylko ćwierć-Francuzem.

W lipcu 1914 11-letnia Charlotte wyrusza w odwiedzin do Paryża, by utkwic tam na czas wojny. Wraca dobrowolnie w 1921 w ekipie Czerwonego Krzyża – i odnajduje matkę, która wita ją okrzykiem: „Przez wszystkie te lata bałam się jednego: że wrócisz!” (s. 81). Czemu więc wróciła? – „by dzielić się cierpieniem”, „żyć pragnieniem położenia końca cierpieniom”, – „żyć na krawędzi przepaści”. Francja jawi się we wspomnieniach jak Atlantyda, skamieniała we wspomnieniach *Belle Epoque*, Rosja – krajem, do którego wjeżdża się łatwo – na zawsze (s. 82). Za diagnozą tą stoją doświadczenia z okresu Rewolucji i okresu stalinowskiego, z całym repertuarem przeżyć więziennych, łagrowych, głodu i poniewierki, gwałtów. I przesiedleń, w wyniku których Charlotte znalazła się ostatecznie nad Wołgą w pobliżu „Bojarska”, w starym zapuszczonym domu z balkonem otwartym na nieskończoność stepów. Opisy tego widoku stwarzają klimat powieści: pochylona nad robotką babka snuje dzieciom opowieści o Francji – „Atlantydzie”, recytuje wiersze Baudelaire’a i Nerval’a i uczy, jak być Francuzem. Skutecznie. Szkolni koledzy narratora obrażają go wzgardliwym przezwiskiem „Francouz! Francouz!”.

Z ojczyzną babki łączy narratora przede wszystkim język i literatura. Jest on od dzieciństwa dwujęzyczny. Francuski jest dla niego oczywistym środkiem porozumiewania z rodziną: *dialecte familial, notre patois demestique*. Poza gronem rodzinnym mówiono z otoczeniem po rosyjsku – narrator był Alioszą a babka Szurą Norbertowną. Czyta się dużo i wyłącznie po francusku. Na kartach książki odżywają moje własne lektury: Jules Verne, Daudet i echa patetycznych wierszy Bérangera i Victora Hugo. Narrator widzi Rosję *en français*, w oderwaniu od tła. Jest Francuzem, nie będąc Francuzem. Bo rzecz w tym, że istotnie nim nie jest. Przekornie nasuwa się pamięci nieboszczyk Łysenko, który lansował w latach 1950-ych głośne teorie o dziedziczności i potęgze wpływów otoczenia.

„Jak być Francuzem?” – sam siebie zapytuje narrator i odpowiada: nie traktować Francji jako gabinetu osobliwości, prowadzić normalne życie i odczuwać *je ne sais quoi de français*, esencję bycia Francuzem, co nie da się ująć w słowa: *le soufflé français*.

Czytelnika polskiego wiele może w tym bestsellerze francuskim zainteresować i skłonić do snucia analogii. Nie tylko to, że pisząc w obcym języku zdobywa się uznanie i związane z tym laury. „Polak potrafi”. Więc nie tylko o język tu chodzi. Charlotte przesyłając „wnukowi” staromodny „testament” przekazuje mu raczej odpowiednik angielskiego *heritage* niż decyduje spadkowe (*last will*). A więc: wypróbować dziedzictwo Francji-Atlantydy z przełomu stuleci raczej, niż Francji Mitterranda. Konfrontacja z dniem dzisiejszym wypada surowo i boleśnie. Nie świadczy to o pro-rosyjskości narratora: stanowisko jego jest potwierdzeniem szczelności izolacji Rosji od Zachodu, nie tylko w okresie stalinowskim, ale i „pod Gorbaczowem”, aż po przełamania barier.

Makine traktuje ten temat w „Le testament” marginesowo, rozwijając go zapewne szerzej we wcześniejszej swojej powieści („La fille d'un Héros de l'Union Soviétique”, 1990), do której nie miałam dostępu w Portugalii.

Co decyduje o poczytności książki we Francji? Poza, oczywiście, biografią autora. Myślę, że urok dobrej prozy, poprawna ale nie kolokwialna francuzczyzna – i opisy przyrody. Tym ostatnim powieść zawdzięcza tytuły recenzji: „Goncourt des steppes” (*Le Monde*, 2 XII 1995), „In grandmother's steppes” (*The European*, 3 IV 1996). Wreszcie – staroświeckość Charlotte i swada z jaką snuje opowieści o wizycie cara Mikołaja w 1896, menu bankietu w Cherbourg, powodzi w Paryżu w 1910 i śmierci prez. Faure'a w objęciach kochanki. Ostrzegam: mówi się raczej o miłości niż seksie a heroiną powieści jest red. Giedroycia i moja prawie rówieśniczka.

30 IV 1996

Feijó (Portugalia)

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

„Dzienniki” Karola Irzykowskiego

Zachowane Dzienniki Karola Irzykowskiego składają się z czterech części, bardzo różniących się rozmiarami i charakterem. Najobszerniejsza jest część pierwsza: zapiski z lat 1891-1897. Zaczynając prowadzić Dziennik Irzykowski miał lat 18. Notował przede wszystkim pomysły literackie, projekty, własne wiersze, próby dialogów ale także rozgrywki szachowe. Przepisywał obszernie fragmenty cudzych utworów w języku niemieckim – był wówczas studentem germanistyki we Lwowie. Właśnie charakter części pierwszej sprawił, że Stefan Kisielewski, któremu córki Irzykowskiego powierzyły wkrótce po roku 1956 sprawę wydania, uznał za możliwe podpisanie z wydawnictwem Czytelnik, umowy na wydanie wyboru Dzienników. Ojciec Kisielewskiego, Zygmunt, był kolegą Irzykowskiego w redakcji *Robotnika* i obie rodziny łączyła przed wojną przyjaźń; Irzykowski bywał u Kisielewskich w domu, Kisiel odwiedzał Irzykowskiego.

W roku 1960 Stefan Kisielewski powierzył mi dokonanie wyboru z zachowaniem warunków podpisanej przez niego umowy i dość arbitralnie ustaloną objętością przyszłej książki. Każdy wybór jest amputacją ale starałem się postępować jak ogrodnik, który zmuszony do zmniejszenia powierzchni ogrodu stara się zachować przynajmniej jeden lub dwa egzemplarze każdej rośliny. Bardzo chciałbym doczekać wydania pełnego tekstu i sądzę, że dokonany przeze mnie wybór stanowi przekonującą do tego zachętę.

Już w roku 61 – chcąc zamieścić jak najwięcej w zakresłonych umową wydawniczą zbyt ciasnych ramach – proponowałem by część drugą: „Dziennik o Basi” wydać w osobnej książce wraz z „Trenami” Kochanowskiego i esejem Irzykowskiego „Nurt uczucia w Trenach”, z tomu „Słoń wśród porcelany” (1934), „Dziennik o Basi” jest prowadzonym codziennie zapisem trzech miesięcy umierania chorej na wodną puchlinę córeczki. „Dziennik o Basi” był kontynuowany jeszcze przez siedem lat po jej śmierci. „Nurt uczucia w Trenach” jest szczególnym świadectwem, jak wybitne dzieło literackie pomaga porządkować najcięższe doświadczenia

osobiste a zarazem, jak doświadczenia pozwalają dopiero w pełni rozumieć literaturę. Nie wątpię, że tak skomponowana książka wejdzie prędzej czy później do kanonu literatury polskiej.

Międzywojenne dwudziestolecie było okresem największej aktywności pisarskiej Irzykowskiego. Wszystko, co zdążył wykończyć, publikował bez żadnych przeszkód. Zachowany dziennik z lat 1932-39 stanowi raczej margines Jego twórczości. Pewne fragmenty wydały mi się zbyt skrótowe i przez to niezrozumiałe mimo wielokrotnej, uważnej lektury i pełnej znajomości wszystkich utworów Irzykowskiego, dlatego je opuszczałem. Natomiast wydawnictwo skorzystało z formuły wyboru, by bezapelacyjnie usunąć nieżyczliwe opinie o paru pisarzach, mniej zresztą o Iwaszkiewiczu a głównie o Julianie Przybosiu, który odmawiając solidarności z opozycyjnymi zachowaniami swych kolegów, był wówczas pupilem władz, mimo iż w roku 1958 na wiadomość o zamordowaniu Imre Nagy'ego zwrócił legitymację partyjną. Bezradny wobec wydawnictwa, dla równowagi usunąłem z własnej woli jakieś trzy nieprzychylnie zdania na temat Antoniego Słonimskiego, który w tym okresie nie miał możliwości udzielenia publicznej odpowiedzi. Ale ogłoszony ostatecznie tekst nie zaciera ani krytycznego stosunku Irzykowskiego do Przybosia, ani głębokiej urazy, jaką żywił wobec Słonimskiego. Antoni Słonimski, zaprzyjaźniony z Boyem, po wydaniu „Beniaminka” ogłosił zjadliwy felieton. Irzykowski poczuł się bezbronny i boleśnie zraniony a Kisiel, który jako młody człowiek był świadkiem jego reakcji, do końca życia niezbyt lubił Słonimskiego, co jedynie w bardzo skromnym stopniu było odzwieczniane. W wydaniu Czytelnika zostały usunięte opinie a nie analizy, zdania i akapity, a nie całe partie. Zasadnicze poglądy Irzykowskiego nie uległy z całą pewnością deformacji. W otwierającej książkę przedmowie, Stefan Kisielewski zwrócił uwagę czytelników, że „wydawca usunął pewne w ten czy w inny sposób wątpliwe czy drastyczniejsze fragmenty” a redaktorka wydawnictwa w podpisanej nocy, mniej więcej rzetelnie opisała, co zostało opuszczone. Nota „Od Redakcji” nie wspomina o charakterze cięć, dokonanych przez instytucjonalną cenzurę polityczną dopiero w części czwartej, obejmującej okres okupacji hitlerowskiej do połowy powstania warszawskiego. Jest to część szczególnie zajmująca, także dla szerszej publiczności, nie tylko osób zainteresowanych literaturą i życiem literackim. Po raz pierwszy Irzykowski

łączy swe stałe zainteresowania intelektualne z doskonałymi opisami życia codziennego. W dziennikach wojennych ani jedno zdanie nie zasługiwało na opuszczenie. Irzykowski, odczuwając dotkliwie obecność okupantów niemieckich w ostatnich miesiącach wojny, zdawał sobie dobrze sprawę z ponurych perspektyw na przyszłość. Mimo brutalnych ingerencji cenzury, czytelnik wydania z roku 1964 nie mógł mieć wątpliwości na temat braku wszelkiego entuzjazmu Irzykowskiego wobec tego, co miało nastąpić. Karta tytułowa „Notatek z życia, obserwacji i motywów” zawierała informację: Wyboru dokonał Andrzej Dobosz. Wstępem opatrzył Stefan Kisielewski. Tak więc uważam, że obaj firmowaliśmy to wydanie. W ciągu następnych dziesięcioleci, do ostatnich miesięcy Jego życia, spotkałem Stefana Kisielewskiego kilkadziesiąt razy, w Warszawie i w Paryżu. Bywałem u Niego w domu i odbywaliśmy długie spacery. Słyszałem od Niego rozmaite złośliwości ale nigdy nie powiedział mi jednego złego zdania o moim wyborze. W roku 1985 Kisielewski rozmawiając z Wojciechem Skalmowskim już od paru lat podpisywał teksty w *Kulturze* własnym nazwiskiem a możliwość wydawania poza cenzurą zmuszała oficjalnych wydawców krajowych do znacznej ustępliwości. Ale sam Kisiel debiutował w Instytucie Literackim pod pseudonimem dopiero w r. 67. W początkach lat 60-tych myśleliśmy przede wszystkim o zaprzepaszczonych na zawsze rękopisach i wydawanie tego co można, choćby w części, wydawało się roztropne.

Andrzej DOBOSZ

Bolszewizm i Buła

Pan Jan Chodakowski, dyrektor zasłużonego londyńskiego wydawnictwa „Puls” i redaktor nie ukazującego się już (niestety!) czasopisma pod tymże tytułem, jest z wykształcenia architektem ale z temperamentu historykiem-szperaczem i jego znakomita rubryka „Sow-Show” we wspomnianym

piśmie zawierała zawsze jakąś smaczną niespodziankę z gatunku „a o tym wszyscy jakoś zapomnieli...”. Wznowiona przezeń przed kilku tygodniami książka Jana Parandowskiego (1895-1978) o początkach reżymu bolszewickiego w Rosji* jest też taką niespodzianką. Jak czytamy we wstępie „Od wydawcy”: „... próżno szukać [jej] w najdokładniejszych nawet biografiach twórczości Jana Parandowskiego. Że książki tej, napisanej we Lwowie w ciągu dwóch letnich miesięcy roku 1919 [i w tymże roku wydanej w Stanisławowie] nie wznawiały państwowe wydawnictwa PRL-u – to oczywiste, nigdy jednak nie ukazała się także ani w drugim obiegu, ani po zniesieniu cenzury. Milczy o niej krytyka literacka, w szczególności znawcy pisarza, milczy sowietologia. [...] Egzemplarz [...], który stał się podstawą niniejszej edycji, pochodzi z Biblioteki Uniwersyteckiej we Wrocławiu [...] obok okrągłej pieczęci Biblioteki Uniwersyteckiej widnieje [na nim] pieczęćka podłużna: DRUKI WYŁĄCZONE. Zesłanie niewygodnej książki do działu prohibitów przypuszczalnie (i paradoksalnie) oszczędziło autorowi niejednego kłopotu w minionych latach”.

Z tegoż wstępu dowiadujemy się nieco szczegółów o okolicznościach jej powstania. Pierwszą wojnę światową późniejszy autor „Króla życia” i „Alchemii słowa” spędził – jak podają nader ogólnikowo biografie pisarza – „internowany w Rosji”; z książki wynika, że mieszkał głównie w Saratowie i stamtąd też obserwował rozwój wypadków 1917-go roku. Jako lwowianin był wówczas obywatelem austriackim, co dawało pewną ochronę przed samowolą czerezwyczajki i co niewątpliwie pomogło mu w wyjeździe stamtąd. Tę jedną z pierwszych w polskim piśmiennictwie relację o źródłach i istocie przewrotu bolszewickiego napisał, ponieważ – jak sam powiada w „Przedmowie” – „od pierwszej chwili mego powrotu do kraju zauważyłem, że mówi się o bolszewizmie bardzo wiele, ale o tym, czym jest naprawdę, wie się bardzo mało”.

W tej chwili wie się o tym dużo, więc nie ma sensu streszczanie w tym omówieniu wszystkich obserwacji Parandowskiego, warto jednak podkreślić trafność większości jego uogólnień. Książka składa się z dwóch części zatytułowanych „Bolszewizm w podziemiach” i „Bolszewizm u władzy”. Już

* Jan Parandowski, „Bolszewizm i bolszewicy w Rosji”, (2-e wyd.) Puls Publications Ltd., Londyn 1996, 228 str., ISBN 1 85917 053 6.

pierwsze zdania pierwszej części określają bardzo wyraźnie stanowisko autora: „Bolszewizm jest objawem specyficznie rosyjskim. Wyrósł, rozwinął się i wybujał na gruncie rosyjskim, a chociaż widzimy go nieraz i daleko poza granicami Rosji, to przecież nie traci on nigdy swej łączności z pniem rodzinnym. Rosyjski jest bolszewizm takim, jakim go zrobiła Rosja, która na tle teorii socjalistycznych i komunistycznych wypracowanych na Zachodzie, wyhodowała ruch potworny, wszystko niszczący, bezużyteczny”. Mimo, że w dalszych rozdziałach znajdujemy trochę stereotypowych ogólników o „duszy rosyjskiej” (tudzież niezbyt fortunne demonizowanie roli Żydów w tych wydarzeniach), sądy autora oparte są raczej na rzeczowej ocenie ówczesnej sytuacji społecznej i historycznej Rosji, niż na „etnopsychologicznej” mitologii. Parandowski silnie podkreśla wyobcowanie nader cienkiej warstwy wykształconych Rosjan (w tym także utopijnych rewolucjonistów) od głównego trzonu ludności, przeważnie mas chłopskich o bardzo niskim poziomie kulturalnym. Podkreśla też brak zdolności ówczesnego społeczeństwa rosyjskiego do samoorganizacji i jego bierność – obie cechy wyhodowane przez stulecia autokratycznego etatyzmu. Naruszenie tej tradycyjnej struktury przez wojnę i rewolucję marcową spowodowało chaos, z którego skorzystali bolszewicy – jedyna grupa mająca jasny program (= absolutna władza ze wszelką cenę!).

Pisząc swą książkę w półtora roku po szturmie bolszewików na Pałac Zimowy i na rok przed bitwą o Warszawę, Parandowski miał wrażenie, iż pisze o potwornym, ale przejściowym wybryku historycznym, który nie może długo trwać. Niemniej poświęcił owej „efemerydzie” (która miała go później dopaść i trzymać w swym uścisku *per procura* aż do śmierci) dużo uwagi i refleksji. Jego dziełko ma wartość nie tylko zabytku literackiego i zasługuje na dyskusję także i dzisiaj, zwłaszcza mocno w nim podkreślona destruktywna siła nihilizmu, ignorancji i karierowiczostwa, którą Parandowski uważał za *spiritus movens* bolszewizmu. Dzisiejsza sytuacja Rosji jest naturalnie odmienna od tej sprzed 80-ciu lat – ale czy osiemdziesiąt lat (i to jakich!) wystarcza, by radykalnie „przeorać duszę społeczeństwa” to problem, na który różnie zapatrywać się można. W każdym razie późniejszy „olimpijczyk” – rzekomo zupełnie nie orientujący się w sprawach politycznych – wykazał tą książką, że i na współczesność potrafił patrzeć bystro i trafnie. Ta refleksja

nad bolszewizmem powstała prawie równocześnie ze słynnym z niejasności metafizycznym twierdzeniem Heideggera: *Das Nichts nichtet* (= „Nicość unicestwia”) i właśnie jej „zakres tematyczny” ukazuje, w jakiej to dziedzinie zdanie to nabiera konkretnego choć przerażającego sensu.

Tu jako recenzent przesiądem się na niższego, ale należącego do tegoż gatunku konia. Jest nim satyryczno-groteskowa powieść (!?) Ławrynowicza**, napisana już po upadku polskiej mutacji bolszewizmu, ale wciąż się nim jeszcze pasąca. W tzw. *blurb*'ie, czyli zachwalającej książkę notce na okładce, czytamy: „Kapitan Car” to w jakimś sensie groteska służąca zabawie, a także teatr z dużymi kukiełkami (czy kukłami?), lub po prostu dobrze napisana, z wyobraźnią, artystyczna satyra na wojsko, wykpiwająca w nim chamstwo i absurd. Ideologiczne szaleństwo kapitana Cara, smutno-komiczne, tkwiące głęboko w realiach dziejów tego świata, ukazane jest w sposób mistrzowski, jak w najlepszych sztukach współczesnego teatru. Kojarzy mi się z M. Ghelderode”. (Podpisane: Józef Kurylak). Zachęcony tym peanem przeczytałem tę rzeczywiście zabawną miejscami książeczkę, ale z autorem „Wędrówki mistrza Kościoła” kojarzyła mi się raczej słabo; jeszcze zaś mniej z Michailem Bułhakowem, którego z kolei przywołuje sam Ławrynowicz w zamieszczonym na końcu książki wywiadzie. Omawiana powieść jest w istocie ciągiem groteskowych szkiców, opisujących przygdy postaci o nazwisku „Buła Jan, magister filozofii”, która w 1977 r. trafia na półroczny kurs we wrocławskiej Szkole Wojsk Zmechanizowanych, zachowaniem swym doprowadza kilku podoficerów i dowódcę do szaleństwa (dosłownie), po czym znika w niejasno-magicznych okolicznościach. U spodu książki wyczuwa się niezdecydowanie autora, czy ma to być uwspółcześniony Szwejk, czy też raczej polska wersja Aleksandra Zinowiewa z lekkim ukłonem w kierunku Marqueza i Rushdiego. Na wszelki wypadek oba te kierunki „znajdują swój wyraz”: wątek wojskowy to szereg konfrontacji Buły z niższym establishmentem wojskowym, a wątek satyry politycznej to groteskowa miłość tytułowego kpt. Cara do Leonida Breżniewa, kulminująca w fantasmagorycznej scenie śmierci tego ostatniego; z boku drobniejsze cuda, zjawy senne i fantazje, całkowicie dowolne i raczej nieinteresujące.

** Marek Ławrynowicz, „Kapitan Car” (Biblioteka Magazynu Literackiego, t. IV), Wyd. WKMS, W-wa 1996, s. 166, ISBN 83 85665 23 4.

Książkę odkłada się z poczuciem, że coś tu zostało zmarnowane i to nie całkiem z winy autora. Jego język jest soczysty (i mam tu na myśli nie tylko słowa na ch..., d..., i p...), dialogi zgrabne, pewne pomysły całkiem zabawne – ale całość zdecydowanie chybiona. Podejrzewam, że nawet tutaj mamy jeszcze do czynienia z dalekim echem owej unicestwiającej nicości, o której była mowa powyżej. Autor przeżył sporą część swego życia w PRL-u, był w PRL-owskim wojsku – i chciałby się za to jakoś odegrać, chociażby pisząc satyrę. A to – zupełnie nie wychodzi. Kogóż bowiem może bawić wyśmiewanie Breżniewa z przyległościami dzisiaj?! Komunizm był groźnym błazeństwem, lecz z chwilą gdy wyparowała groza, pozostało tylko błazeństwo – jedyne zjawisko na świecie absolutnie odporne na kpinę.

M. BROŃSKI

Nadestane nowości wydawnicze

Prawda i fałsz o Kolekcji im. Jana Pawła II. Str. 240, il. Wyd. Stowarzyszenie Przyjaciół Muzeum Kolekcji im. Jana Pawła II. Warszawa 1996.

GOMBROWICZ (Witold). Testament. Rozmowy z Dominique de Roux. Str. 173. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1996.

JURKSZUS-TOMASZEWSKA (Jadwiga). Kronika pięćdziesięciu lat. Życie kulturalne polskiej emigracji w Kanadzie. 1940-1990. Str. 378. Wyd. Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy, Toronto 1995.

HEYDENKORN (Benedykt). Rodowód i pierwszy okres Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Str. 106. Wyd. The Canadian Polish Research Institut, Toronto 1995.

KOWZAN (Tadeusz), RIMEIKIENE (Anna). Z dziejów jednego rodu (Kowzanowe herbu Trąby) w powstaniu styczniowym na Ziemi Wileńskiej. Str. 63. Nakł. Autora, Wilno-Caen 1996.

LIPSKI (Leo). Piotruś. Str. 168. Wyd. ODN, Olsztyn 1995.

KALBA (Myrosław). „Nachtigal”. Ukraiński batalion 1941 r. Str. 132. Nakł. autora, Detroit-Lwów 1995.

SUPRUNIUK (Miroslaw Adam). Kultura. Bibliografia przedruków wydawnictw Instytutu Literackiego w Paryżu w niezależnych oficynach wydawniczych w Polsce w latach 1977-1990. Str. 229. Wyd. Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Pa-

- ryżu i Oficyna Wydawnicza PO-MOST, Warszawa 1995.
- JULIUSZ (Kazimierz). *Sąd grobów*. Poema z 1940 roku w 2 pieśniach z prologiem. Str. 55. Nakł. autora, Łódź 1995.
- JULIUSZ (Kazimierz). *Wysiedleńce*. 1942 r. Str. 52. Nakł. autora, Łódź 1995.
- JULIUSZ (Kazimierz). *Marsylianka*. Dramat liryczny 1942 r. Str. 53. Nakł. autora, Łódź 1996.
- JOYCE (James). *Tułacze*. Str. 142. Wyd. Zielona Sowa. Kraków 1995.
- JOYCE (James). *Utwory poetyckie*. Str. 218. Wyd. Zielona Sowa, Kraków 1995.
- SURWIŁO (Jerzy). *Scena polska nad Wilią*. 30 lat Polskiego Teatru w Wilnie (przy b. Pałacu Kultury Kolejarzy) 1965-1995. Str. 89 i il. Wyd. Drukarnia „Efekt”, Warszawa.
- PALIJ (Michael). *The Ukrainian-Polish Defensive Alliance 1919-1921. An Aspect of the Ukrainian Revolution*. Str. 391. Canadian Institute of Ukrainian Studies Press, Edmonton-Toronto; 1995.
- SWIANIEWICZ (Stanisław). *Dzieciństwo i młodość*. Str. 107. Il. Wyd. nakładem J. J. Swianiewicza, Warszawa 1996.
- DĄBROWSKA (Maria). *Dzienniki powojenne 1945-1965*. t. I. Opr. T. Drewnowski. Str. 520. Wyd. Czytelnik, Warszawa 1996.
- Ansichten*. Jahrbuch des Deutschen Polen-Instituts Darmstadt. 7-1995/96. Str. 279. Wyd. Harrassowitz Verlag, Wiesbaden.
- ROUBA (Napoleon). *Przewodnik po Litwie i Białejrusi*. Str. 215. Wyd. „Kuriera Litewskiego”. Nakł. Edmunda Nowickiego, Wilno. Drukarnia Wydawnictwa „Stella Maris”, Gdańsk-Oliwa, 1995.
- BILICA (Krzysztof). *Słownik wyrazów własnych*. 1001 aforyzmów, gnom, kalamburów, maksym, mi-
- nibajek, neologizmów, paradoksów, sentencji i innych małych form literackich. Str. 172. Wyd. Gutenberg-Print, Warszawa 1995.
- CHIAROMONTE (Nicola). *Granie duszy*. Str. 408. Wyd. Czytelnik, Warszawa 1996.
- CZARNIK (Oskar S.). *Ideowe i literackie wybory „Robotnika” w latach 1918-1939*. Str. 449. Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1996.
- Kara śmierci w starożytnym Rzymie*. Red. Henryka Kowalskiego i Marka Kuryłowicza. Str. 165. Wyd. Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1996.
- PĘKALA (Teresa). *Secesja. Konkretyzacje i interpretacje*. Str. 76, il. Wyd. Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1995.
- PARANDOWSKI (Jan). *Bolszewizm i bolszewicy w Rosji*. Str. 225. Wyd. PULS, Londyn 1996.
- TABORSKA (Halina). *Współczesna sztuka publiczna*. Dzieła i problemy. Str. 446. Wydawnictwo Sejmove, Warszawa 1996.
- Katyń. Dokumenty zbrodni*. Tom 1. Jeńcy nie wypowiedzianej wojny – sierpień 1939 – marzec 1940. Str. 547. Wydawnictwo „Trio”, Warszawa 1995.
- Próg istnienia*. Zdziękowane pokolenie. Red. nauk. J. J. Jadacki i B. Markiewicz. Str. 216. Wyd. Polskie Towarzystwo Filozoficzne, Warszawa 1995.
- GOMBROWICZ (Witold). *Wspomnienia polskie, Wędrowki po Argentynie*. Str. 320. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1996.
- KOZIK (Jacek). *Ślad po marzeniu*. Str. 71. Wyd. TIKKUN, Warszawa 1995.
- BIENIEK (Horst). *Gliwickie dzieciństwo*. Str. 88. Wydawnictwo Miniatura, Kraków 1995.
- HELLER (Michał). *Rosja na rasputie 1990-1995*. *Głazami histori-*

- ka. Str. 495. Wyd. MIK, Moskwa 1996.
- ODOJEWSKI (Włodzimierz). *Zmierzch świata*. Str. 260. Wyd. Czytelnik, Warszawa 1995.
- ODOJEWSKI (Włodzimierz). *Zasypie wszystko, zawieje....* Str. 662. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1995.
- ABRAMOW-NEWERLY (Jarosław). *Kładka przez Atlanty*. Str. 319. Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1995.
- MIASKOWSKI (Kasper). *Zbiór rymów*. Str. 494. Wyd. Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa 1995.
- SZAŁAGAN (Alicja). *Maria Kuncewiczowa*. Monografia dokumentacyjna 1895-1989. Str. 479. Wyd. Instytut Badań Literackich, Warszawa 1995.
- GOMBROWICZ (Witold). *Moi et mon double*. Coll. Quarto. Str. 1390, il. Ed. Gallimard, 1996.
- SOCHOŃ (Jan) ks. *Modlitwa z muzyką*. Str. 84. Wyd. Palabra, Warszawa 1996.
- KUK (Leszek). *Orientacja słowiańska w myśli politycznej Wielkiej Emigracji (do wybuchu wojny krymskiej)*. Geneza, uwarunkowania, podstawowe koncepcje. Str. 258. Wyd. Uniwersytet im. Mikołaja Kopernika, Toruń 1996.
- BUKOWSKA-GORGONI (Christina). *Causae Polonae Coram Sacra Romana Rota XV-XVII saec.* Str. 671. Wyd. Pontificium Institutum Studiorum Ecclesiasticorum, Rzym 1995.
- Dłubak. Fotografie 1947-1950*. Katalog. Wyd. Muzeum Sztuki, Łódź 5.5.-3.9.1995.
- DERDOWSKI (Miroslaw Adam). *Przekleństwo mowie*. O twórczości Bronisława Przyłuskiego. Str. 145. Wydawnictwo Uczelniane WSP, Bydgoszcz 1996.
- MAREK (Edmond). *Nicolas Copernic*. Humaniste et homme de foi. Str. 103. Wyd. Club Culturel „Polonia-Nord”, Lille 1996.
- Fotografia portretowa w Niemczech 1850-1918*. Katalog. Str. 35. Muzeum Sztuki, Łódź 1996.
- Nowa sztuka w Wielkiej Brytanii*. Katalog. Str. 78. Muzeum Sztuki, Łódź 3.10-26.11.1995.
- Maria Ewa Łunkiewicz-Rogoyska (1895-1967). *W setną rocznicę śmierci*. Katalog. Str. 88. Muzeum Sztuki, Łódź 13.12.1995-24.03.1996.
- Mariusz Kruk. *Obiekty i Instalacje*. Katalog. Str. 129. Muzeum Sztuki Łódź 12.4.1996-25.5.1996.
- Rozbudowa Sejmu RP w rejonie ulic Matejki i Wiejskiej. Studium programowo-przestrzenne*. Wyd. Dom i Miasto, Warszawa 1996.
- PIASECKI (Sergiusz). *Bogom nocy równi*. Str. 398. Wyd. PULS, Londyn 1995.
- PRUS (Bolesław). *Placówka*. Str. 223. Wyd. PULS, Londyn 1996.
- ROBERTSON (Patrick). *Co, gdzie, kiedy po raz pierwszy*. Leksykon Shella. Str. 683. Wyd. PULS, Londyn 1996.
- OLSZAŃSKI (Tadeusz). *Mój brat cię zabije! O wojnie w Jugosławii*. Str. 116. wyd. TRIO, Warszawa 1995.
- SOBIECH (Kazimierz). *Sześć Księżyców*. Str. 71. Wyd. WICI, Chicago 1996.
- BOROWY (Wacław). *Wspomnienia*. Str. 191. Wydawnictwo Książkowe Twój Styl, Warszawa, 1996.
- MOSZKOWICZ (Bronisław). *Na spotkanie rzeczywistości*. Str. 78. Wyd. POLONICA, Sztokholm 1996.
- URBAN (Kazimierz). *Kościół prawosławny w Polsce 1945-1970*. Rys historyczny. Str. 412. Zakład Wydawniczy „NOMOS”, Kraków 1996.

- MROŻEK (Sławomir). *L'Arbre*. Str. 187. Tłum. z polskiego A. Koziomor. Wyd. Les Editions Noir sur Blanc, Montricher 1996.
- WOJTKIEWICZ (Alexandra). *Lan-drynki*. Str. 31. Instytut Wydawniczy „Świadectwo” Bydgoszcz 1995.
- D'Ivanov a Neuvecelle. *Entretiens avec Jean Neuvecelle recueillis par Raphaël Aubert et Urs Gfeller*. Wstęp Georges Nivat. Str. 326. Les Editions Noir sur Blanc, Montricher 1996.
- KARPIŃSKI (Wojciech). *Książki zbójeckie*. Str. 418, il. Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1996.
- BACCIARELLI (Aleksander). *Myśli w czasie bałaganu*. Str. 130. Wyd. WITEX, Warszawa 1996.
- SŁODKOWSKA (Elżbieta). *Biblioteki w Królestwie Polskim 1815-1830*. Str. 259. Seria: Z Dziejów Kultury Czytelniczej w Polsce, t. 11. Wyd. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1996.
- BEAUVOIS (Daniel). *Walka o ziemię*. Szlachta polska na Ukrainie prawobrzeżnej pomiędzy caratem a ludem ukraińskim 1863-1914. Przekład z francuskiego K. Rutkowski. Str. 302. Wyd. Pogranicze, Sejny 1996.
- MICHNIK (Adam). *Misliti savremenu demokratiju*. Eseji, pisma, intervjui. Oprac. Biserka Rajčić. Str. 164. Wyd. Radio B92, Beograd 1995.
- AJGI (Gennadij). *Tutaj*. Eseje i wiersze. Wybór, przekład i posłowie W. Woroszyński. Str. 156. Wyd. Pogranicze, Sejny 1995.
- KARAHASAN (Dževad). *Sarajewska Sevdalinka*. Str. 118. Wyd. Pogranicze, Sejny 1995.
- KRASNOGRUDA. Nr 5, wiosna 1996, Sejny.
- BERGER (Wiesław Adam). *Za późno*. Str. 51. Wyd. Stowarzyszenie
- Pisarzy Polskich, Oddział w Katowicach, EGO, Katowice 1996.
- WAT (Aleksander). *Ucieczka Lotha*. Str. 184. Wyd. Czytelnik, Warszawa 1996.
- ZAORSKA (Barbara). *Śladami lekarzy – polskich uchodźców popowstaniowych w XIX wieku*. Str. 286. Wydawnictwa Medyczne i Oświatowe Borgis Ltd., Warszawa 1996.
- Katalog rękopisów Biblioteki Polskiej w Paryżu*. Tom VI. Archiwum Czartoryskich. Hôtel Lambert. Sygnatury 760-1135. Opracował Janusz Pezda. Str. 236. Wyd. Biblioteka Polska w Paryżu, Biblioteka Narodowa w Warszawie. 1996.
- Katalog rękopisów Biblioteki Polskiej w Paryżu*. Tom II. Rękopisy nr 432-545. Oprac. Czesław Chowaniec i Irena Gałęzowska. Uzupeł. Marek Prokop. Str. 246. Nakładem Biblioteki Polskiej w Paryżu, Paryż 1994.
- Katalog rękopisów Biblioteki Polskiej w Paryżu*. Tom I. Rękopisy nr 1-431. Indeks. Oprac. Czesław Chowaniec i Irena Gałęzowska. Str. 38. Nakładem Biblioteki Polskiej w Paryżu, Paryż 1995.
- Autour des associations artistiques polonaises en France*. Colloque-exposition-concert. Paris, 30 mai – 3 juin 1996. Katalog.
- MIŁOSZ (Czesław). *Legendsy nowoczesności*. Eseje okupacyjne. Listy-eseje Jerzego Andrzejewskiego i Czesława Miłosza. Str. 300. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1996.
- CZECZOT (Jan). *Śpiewki o dawnych Litwinach do roku 1434*. Str. 281. Wyd. Lietuvos Rašytojų Sąjungos Leidykla, Vilnius 1994.
- KUCZYŃSKI (Waldemar). *Agonia systemu*. Szkice z niedawnej przeszłości. Str. 284. Wyd. Presspublica, Warszawa 1996.

POLSKA I WSCHODNI SĄSIEDZI

1.5.96

W Wilnie powstał Instytut Polski. Mieści się on tymczasowo w b. siedzibie konsulatu generalnego przy ulicy Švitrigailos 6. Mimo, że placówka nie posiada budżetu i etatów, rozpoczęła już swoją działalność.

6.5.96

Na zaproszenie Polskiego PEN Clubu ma przybyć w najbliższym czasie do Polski wybitny pisarz białoruski Wasyl Bykau. Wygłosi odczyty w Krakowie i Warszawie o współczesnej literaturze białoruskiej.

7.5.96

Zmarł w Poznaniu w wieku 84 lat Aleksander Rogalski, wybitny publicysta, historyk i krytyk literatury.

14.5.96

Profesor Tadeusz Chrzanowski obchodził 70-lecie urodzin. Wybitny historyk sztuki, wykładowca na KUL, UJ i ASP. W związku z tą rocznicą otrzymał medal od Stowarzyszenia Historyków Sztuki.

16.5.96

Odbyła się I Przemyska Wiosna Poetycka zorganizowana staraniem Wydziału Kultury Urzędu Miasta, Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Klubu „Niedźwiadek”. Do Przemyśla zjechało szereg wybitnych poetów, tłumaczy literatury i krytyków.

20.5.96

Polski PEN Club zorganizował uroczysty wieczór poświęcony wybitnemu poecie litewskiemu Balysowi Sruodze w stulecie urodzin. W czasie wieczoru przemawiali Algis Kaleda z Uniwersytetu Wileńskiego i Kornelijus Platelis z Litewskiego PEN Clubu oraz prof. Mieczysław Jackiewicz. Fragmenty „Lasu Bogów” Balysa Sruogi czytał Andrzej Szczepkowski.

22.5.96

Poznańskie Wydawnictwo „Kurpisz” zaprzestało wydawania ogólnopolskiego dwutygodnika literackiego *Nowy Nurt*. Jest to dotkliwa strata. *Nowy Nurt* był interesującym pismem skupiającym młode talenty i osiągnął imponujący nakład, jak na tego rodzaju wydawnictwo, 5 tysięcy egzemplarzy. Redakcja *Nowego Nurtu* zamierza kontynuować swoją pracę i jest w poszukiwaniu sponsora. Miejmy nadzieję, że taki się znajdzie.

24.5.96

Zmarł w Krakowie w wieku 75 lat Marek Rostworowski, wybitny historyk sztuki i muzeolog. W latach 1991-92 był ministrem kultury i sztuki RP.

28.5.96

Zmarł w Warszawie w wieku 86 lat Stefan Jędrzychowski, jeden z czołowych działaczy komunistycznych, którego kariera polityczna zaczęła się przed wojną na Uniwersytecie Stefana Bato-rego w Wilnie.

2.6.96

W 400-lecie Unii Brzeskiej papież ustanowił metropolię greckokatolicką w Polsce. Arcybiskupem metropolii został bp. Jan Martyniak. W skład metropolii wchodzi archidiecezja przemysko-warszawska i wrocławsko-gdańska. ■ IV Zjazd Stowarzyszenia Pisarzy Polskich wybrał nowe władze: prezesem został Marian Grześczak, wiceprezesami Julia Hartwig, Janusz Odrowąż-Pieniążek i Iwona Smolka. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich liczy obecnie 845 członków.

9.6.96

W Hajnówce zakończył się Festiwal Muzyki Cerkiewnej, na którym wystąpiło 29 zespołów chóralnych z 12 krajów świata.

14.6.96

Ruch Stu i i Narodowy Ruch Ukrainy są inicjatorami szeregu spotkań i dyskusji polityków polskich i ukraińskich. Efektem tych prac jest wspólny dokument „Strategiczne partnerstwo Polski i Ukrainy” podpisany przez wielu wybitnych polityków polskich i ukraińskich. Ponadto powstało Forum Polsko-Ukraińskie w Warszawie i Forum Ukraińsko-Polskie w Kijowie z inicjatywy przewodniczących parlamentarnych komisji spraw zagranicznych Polski i Ukrainy. Wstępne posiedzenie odbyło się 14-go czerwca, a następne ma się odbyć w czasie wizyty prezydenta Kuczmy w Warszawie.

17.6.96

W Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie została otwarta wystawa „Wnętrze – Józef Czapski”. Wystawa ta była prezentowana uprzednio w Muzeum Narodowym w Krakowie w dniach 3.4.–19.5. br.

24.6.96

W Pałacu Staszyca w Warszawie staraniem Wydawnictwa „Wokół Nas”, Wydawnictwa Polsko-Niemieckiego, PiW-u i Towarzystwa Demokratyczno-Społecznego odbyła się promocja książki Jana Józefa Lipskiego: „Powiedzieć sobie wszystko... Eseje o sąsiedztwie polsko-niemieckim” oraz promocja książki zbiorowej „Jan Józef. Spotkania i spojrzenia. Książka o Janie

Józefie Lipskim”. Ponadto nastąpiło wręczenie nagród im. J.J. Lipskiego za prace magisterskie „95”. Spotkanie było prowadzone przez Jerzego Jedlickiego.

ZACHÓD – EMIGRACJA

22.5.96

Zmarł w Londynie w wieku 88 lat Aleksander Blum. Szef oddziału operacyjnego 5 Karpackiej Dywizji Piechoty w 2 Korpusie w czasie wojny. Po wojnie profesor Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie, autor szeregu książek oraz opracowań historycznych.

30.5.96

Zmarł w Bolonii w wieku 77 lat Ryszard Kazimierz Lewański, b. żołnierz Drugiego Korpusu, historyk, profesor polonistyki uniwersytetu w Udine, autor wielu prac o stosunkach polsko-włoskich.

1.6.96

Po trzech latach remontu, Bogusław Sonik, kończący swą kadencję dyrektor Instytutu Polskiego w Paryżu, dokonał uroczystego otwarcia Instytutu. B. Sonik był pierwszym dyrektorem Instytutu po zmianach politycznych w Polsce. W 1993 roku poważną część Instytutu zniszczył pożar, ograniczając jego bardzo aktywną działalność. Budynek przy ul. Jean Goujon został generalnie przebudowany i zmodyfikowany. Otwarcie Instytutu było połączone z koncertem krakowskiej „Grupy Centrum” oraz wernisażem wystawy krakowskich artystów pt. „Impact. Art d'avant-garde a Cracovie a partir de 1945”, wśród innych prezentowano prace J. Beresia, T. Brzozowskiego, M. Jaremy, T. Kantora, J. Nowosielskiego, J. Sterna, M. Deskur, Ł. Skąpskiego. Ponadto w czerwcu odbyła się seria koncertów, w których wystąpili: St. Soyka i Xavier Placidós oraz z serii „Młodzi artyści z Krakowa” – S. Łabanowski, E. Pyrek i S. Cierpik. Nową salę kinową zainaugurował pokaz filmu Jana Jakuba Kolskiego pt. „Grający z talerza”.

1.6.96

Znana powszechnie instytucja Aide à l'Eglise en Détresse w swoim biuletynie podaje sprawozdanie ze swej działalności za rok 1995. Ogólna pomoc udzielona Kościołom na świecie wynosi 65.622.360 dolarów. Z tego Europa Wschodnia otrzymała 28.534.149 dolarów. Podajemy ważniejsze pozycje: Białoruś – 939.931; Bułgaria – 226.840; Estonia – 40.376; Gruzja – 87.936; Węgry – 2.649.335; Kazachstan i Azja Centralna – 397.708; Łotwa – 133.414; Litwa – 615.752; Polska – 6.201.230; Czechy – 1.497.062; Rumunia – 1.564.471; Słowacja – 2.698.777; Ukraina

– 3.888.945; Rosja – 4.765.383 (obejmuje to dotacje dla Kościoła prawosławnego i katolickiego).

2.6.96

Została zawarta umowa między prezesem Radia Wolna Europa – Radia Swoboda a naczelnym dyrektorem Archiwów Państwowych w Warszawie o przekazaniu przez RWE archiwum programowej Rozgłośni Polskiej. Archiwum ma być przekazane w ciągu roku.

18.6.96

Francuskie Stowarzyszenie Krytyki Teatralnej i Muzycznej uznało Andrzeja Seweryna za najlepszego aktora teatralnego w sezonie 1995/1996. Nagroda została przyznana za tytułową rolę w sztuce Hugo von Hofmannsthal „Trudny człowiek”.

19.6.96

W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego miała miejsce prezentacja książki „Les vérités des uns et celles des autres. Points de vue de juifs et de chrétiens sur la Shoah en Pologne” wydanej przez Editions du Cerf pod kierownictwem Daniela Tolleta. Poprzednio 11 czerwca miał miejsce odczyt Aliny Witkowskiej prof. IBL PAN na temat „Mickiewicz po 200 latach: przemiany legendy”.

22.6.96

W Muzeum Polskim w Rapperswilu została otwarta wystawa prezentująca malarstwo polskie na przełomie wieków, która zgromadziła ok. 90 obrazów najwybitniejszych malarzy polskich tego okresu. Wystawa została przygotowana przez Muzeum Narodowe w Warszawie i Zamek Królewski w Warszawie.

27.6.96

W Bibliotece Polskiej w Paryżu staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego odbył się odczyt dyrektora Biblioteki Narodowej w Warszawie prof. Adama Manikowskiego na temat „Rzeczpospolita Szlachecka a absolutystyczna Europa”.

Listy do Redakcji

Poznań, 11 czerwca 1996 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W nr 11/95 *Kultury* ukazało się omówienie książki poświęconej stosunkom polsko-ukraińskim w latach 1989-1993¹, której jestem współautorem. Autorem omówienia jest p. Bogumiła Berdychowska, były dyrektor Biura do Spraw Mniejszości Narodowych przy Ministerstwie Kultury i Sztuki. Książka ukazała się w r. 1994, a nie w r. 1995, jak podaje p. Berdychowska. Ma to duże znaczenie, gdyż autorzy zakończyli omawianie stosunków polsko-ukraińskich na r. 1993, poza stosunkami politycznymi, które doprowadzili w zasadzie do połowy roku 1994.

Jestem bardzo zobowiązany autorce omówienia za wskazanie uchybień, usterek i błędów, których nie uniknęli autorzy książki. Muszę jednak wskazać na pewne momenty, z którymi nie mogę się zgodzić.

Niezależnie od autora, już po korekcie, Wydawnictwo wydrukowało błędnie, że 20% głosujących w referendum opowiedziało się za niepodległością Ukrainy. W naszym tekście była mowa o ponad 90% głosujących.

W nr 4/94 *Biuletynu Ukraińskiego* Ośrodka Studiów Wschodnich zamieszczone zostało omówienie ustawy z dnia 3 lutego 1994 r. o tworzeniu lokalnych organów władzy i samorządu, z którego wynika, że przewodniczący rad wszystkich szczebli są wybierani w głosowaniu powszechnym².

Na pewno uchybieniem jest brak wzmianki na temat spotkania parlamentarzystów Polski i Ukrainy, w dniach 4-5 maja 1990 r. w Jabłonnej k. Warszawy. Jednak pisząc o zapoczątkowaniu spotkań polskich i ukraińskich mężów stanu miałem na myśli przede wszystkim premierów i prezydentów obu krajów. Cytowane na s. 84 książki dane dot. polskich audycji radiowych na Ukrainie zaczerpnąłem z urzędowego źródła, jakim jest

1. Władysław Gill, Norbert Gill, „Stosunki Polski z Ukrainą w latach 1989-1993”, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń-Poznań 1994, s. 123.

2. Ośrodek Studiów Wschodnich *Biuletyn Ukraiński* nr 4, kwiecień 1994, s. 12.

Notatka Departamentu Konsularnego i Wychodźstwa MSZ z dnia 4 lutego 1994 r., otrzymana ze „Wspólnoty Polskiej”. Dane dot. polskich audycji radiowych we Lwowie potwierdzili później Marek A. Koprowski w artykule pt. „Tu Polskie Radio Lwów”, zamieszczonym w *Nowych Kontrastach*³.

Nie mogłem doczytać się stwierdzenia, jakoby N. Gill uważał, iż temat polsko-ukraińskich stosunków kulturalnych wyczerpuje działalność kulturalna mniejszości ukraińskiej w Polsce. Przeczy temu treść, choć skromna, rozdziału III, jak i tekst aneksu nr 5.

Wymieniając materiały, które były podstawą opracowania książki autorka omówienia pominęła, nie wiem dlaczego, takie pozycje, jak *Biuletyn Ukraiński* Ośrodka Studiów Wschodnich, publikacje zamieszczone w *Kulturze* w latach 1992-93 oraz udostępnione autorom książki materiały Ministerstw: Współpracy Gospodarczej z Zagranicą, Kultury i Sztuki oraz Spraw Zagranicznych.

Pani B. Berdychowska ograniczyła się w swoim omówieniu tylko do wyszczególnienia negatywnych stron książki. Chciałbym w tym miejscu nawiązać do stylu w jakim zakończyła swoje omówienie ww.i zacytować pewien aforyzm: „Kiedy mówisz o kimś źle nie zapomnij na końcu pochwalić”⁴. Pragnę zaznaczyć, że autorzy nie oczekują żadnych pochwał. Sądzę jednak, że książka obok minusów ma niewątpliwie plusy, a te nie zostały uwypuklone.

Mimo niekwestionowanych zasług p. Berdychowskiej dla sprawy stosunków polsko-ukraińskich wydaje mi się, że nie powinna Ona w recenzji ujmować tak „subtelnych” określeń, jak np. „autorzy zdają się nie mieć świadomości”, „Kuriozalne jest stwierdzenie”, „Tu ręce opadają”. Określenia takie, wynikające, jak sądzę, z temperamentu p. Berdychowskiej, nie powinny być stosowane w tak poważnym czasopiśmie, jakim jest *Kultura*.

Autorzy na pewno nie mieli dostępu do tego typu materiałów, jakimi dysponowała i z pewnością jeszcze dysponuje p. B. Berdychowska. Sądzę jednak, że sytuacja ta nie dyskwalifikuje ich i nie uniemożliwia im napisania książki na wspomniany temat, a taką możliwość jednoznacznie wyklucza autorka omówienia.

Z wyrazami szacunku

Władysław GILL

3. Marek A. Koprowski, „Tu Polskie Radio Lwów”, *Nowe Kontrasty* nr 3, marzec 1996, s. 18-20.

4. Antoni Regulski, „Kolacja u Pascala”, Poznań 1985, s. 61.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie brak publicystycznych i prywatnych głosów utrzymujących, że polska emigracja polityczna „umarła na niepodległość” w roku 1989, a to co pozostało może najwyżej pretendować do miana diaspory zarobkowej. Jednocześnie trudno oprzeć się wrażeniu, że niektóre ugrupowania partyjne — może nawet większość polskich polityków? — minimalizują polityczne znaczenie wielomilionowej rzeszy polskich emigrantów. Czy zatem istotnie rola emigracji politycznej skończyła się z odzyskaniem niepodległości i czy polska emigracja ma zaniechać samodzielnej działalności politycznej, jest sprawą dyskusyjną.

Prawdą jest, że główny cel emigracji niepodległościowej osiągnięty w latach 1989-1990, miał paradoksalnie ujemne konsekwencje dla tej formacji. Nie wszyscy jednak dzielą pogląd, że rola emigracji politycznej bezpowrotnie wygasła. Odzyskana niepodległość i wstąpienie Polski na drogę demokracji wymagają dalszej wytrwałej pracy dla ich utrzymania. Zobowiązuje to również Polaków osiedlonych za granicą. Rozwój wydarzeń politycznych w Polsce potwierdza tę konieczność i stwarza nowe wyzwania.

Zadania jakie wyłaniają się przed polską emigracją w aktualnej sytuacji politycznej, zdają się głównie dotyczyć działalności opiniotwórczej, zarówno w Polsce jak i poza jej granicami. Być może najważniejsze jest kształtowanie pozytywnej opinii społeczeństw krajów osiedlenia, odnośnie spraw i interesów polskich. Przydatna w tej akcji byłaby pomoc ze strony polskich przedstawicielstw i placówek dyplomatycznych, niemniej dotychczasowe doświadczenia w tym zakresie są raczej negatywne, należy zatem liczyć głównie na własne siły. Zadaniem równie ważnym wydaje się akcja mająca wywrzeć wpływ na opinię w Polsce, zwłaszcza odnośnie treści nowej konstytucji i kształtu systemu ustrojowo-prawnego Polski. Trzecim celem powinno być bezkompromisowe przeciwstawianie się wszystkim zjawiskom i procesom mogącym zagrozić demokracji lub niepodległości RP.

Aby sprostać powyższym zadaniom potrzebny jest nowy, inny od dotychczasowych, typ politycznych organizacji emigracyjnych. Organizacji nie uwikłanych w konflikty wewnętrzne, walkę o dotacje i ich podział, jałową działalność towarzysko-zarobkową. Odpowiednimi wydają się polityczne kluby dyskusyjne lub grupy opiniotwórcze, z konieczności mniej liczne, z potrzeby bardziej elitarne aniżeli organizacje starego modelu. Organizacje te powinny stosować nowoczesne metody pracy i mieć wewnętrzną strukturę opartą o bardziej swobodne formy kierowania ich działalnością. Jednakże organizowanie, oraz

długotrwałe prowadzenie skutecznej działalności polityczno-opiniotwórczej w warunkach diaspory, nie jest łatwym przedsięwzięciem. Historia emigracji usiana jest szkieletami efemerycznych organizacji. Jedynie wyraźnie określona motywacja i uporczywa praca, zwłaszcza liderów organizacji, może zapewnić trwałość zakładanego klubu lub grupy.

Oprócz działalności politycznej, dodatkowym zadaniem powinna być rekonstrukcja powiązań pomiędzy polskimi organizacjami poszczególnych krajów osiedlenia, a także budowa sieci kontaktów ze środowiskami politycznymi w Polsce, oraz stałe wykorzystywanie tej komunikacji.

Głównym moim zamiarem jest zachęta do wznowienia działalności politycznej emigracji. Jest to bardzo trudne i odpowiedzialne zadanie. Może jednak dlatego, będzie to wyzwanie które przyciągnie do pracy politycznej młodą emigrację polską. W równej mierze dotyczy to ambitnych działaczy starszego pokolenia. Nie wystarczy powoływać się na aktualnie prowadzoną pracę społeczną i jej sukcesy. Można bowiem ograniczyć się do organizowania klubowych herbatek lub spotkań z interesującymi prelegentami — działalności także potrzebnej i pożytecznej — ale wówczas nie mamy pretensji do miana emigracji politycznej. *Tertium non datur!*

Łączę wyrazy szacunku i uścisk dłoni

dr Zygmunt STANKIEWICZ

Unionville, 15 kwietnia 1996

Szanowny Panie Redaktorze,

Poniższe uwagi proszę traktować jako odpowiedź na list p. A. Ehrenkreutza (zeszyt 577 *Kultury*) w sprawie kontrowersji wokół autorstwa i nazewnictwa międzywojennej reformy szkolnictwa. Pragnę przypomnieć, że jeszcze w ubiegłym roku przelałem na Pańskie ręce pierwotną wersję mojej odpowiedzi w tej sprawie. Wówczas odmówił mi Pan jej publikacji, uważając, że jest to temat dla pism specjalistycznych. W zawartych tam rozważaniach podkreśliłem m.in. brak wiarygodności Wacława Jędrzejewicza jako świadka prac nad reformą i promotora zasług starszego brata Janusza, a przy tym i własnych. Zwróciłem przede wszystkim uwagę na usilnie propagowane, choć niczym nie poparte zapewnienia Wacława o istnieniu tzw. „listów tokijskich”, które mniej wyrobionym historykom posłużyły później za swoisty aksjomat przy budowaniu januszowo-jędrzejewiczowskiej teorii reform. W

szczegółności zaś zwróciłem uwagę na mało poważne zabiegi Wacława Jędrzejewicza, mające na celu zupełne zatarcie wybitnych zasług współtwórcy reformy, jakim był niewątpliwie Kazimierz Pieracki. W przypisach do „Wspomnień” Wacław Jędrzejewicz okroił życiorys K. Pierackiego do banalnego wymiaru „nauczyciela”, że posłuży się jednym tu tylko przykładem. Nie zafałszowany biogram tego wybitnego reformatora (który był też kadrowym legionistą i jednym z przywódców podziemnej oświaty) znaleźć można w Polskim Słowniku Biograficznym. Zwróciłem również uwagę, że Kazimierz Pieracki nie mógł się bronić przed publicznymi atakami Wacława Jędrzejewicza, gdyż kilkadziesiąt lat wcześniej został zamordowany w Oświęcimiu. Cytując koronnych świadków oraz rekonstruuując chronologię związanych z reformą faktów starałem się wykazać, że również i roszczenia Janusza Jędrzejewicza (niewątpliwie zasłużonego reformatora, choć chorobliwie ambitnego człowieka) miały po części charakter czysto tytułarny. Na marginesie moich rozważań zarzuciłem p. Ehrenkreutzowi, że w swojej polemice źródła jędrzejewiczowskie (czy nie miał on dostępu do źródeł bardziej niezależnych?) świadomie poddał starannej selekcji.

Niestety, jak już wspominałem powyżej, uwagi moje uznał Pan Redaktor za nie nadające się do druku, informując mnie jedynie, że list mój przekazany został p. Ehrenkreutzowi. Prof. Piotr Wandycz, który lansował tzw. „reformę Jędrzejewiczów” i któremu przelałem szereg liczących się dokumentów, nawet przyrzekł nie zająć żadnego stanowiska.

Pragnąc tę polemikę ostatecznie zakończyć, skoncentruję się obecnie na wypowiedziach znawców tematyki reform. Otoż prof. Stanisław Mauersberg, którego Wacław Jędrzejewicz zwykł obszernie cytować, w liście do mnie stwierdził: „W pismach rzeczoznawców nie spotyka się błędnych określeń typu ‘reforma Jędrzejewiczów’, czy ‘ustawa Jędrzejewiczów’, tak mogą pisać tylko ignoranci, bowiem Wacław Jędrzejewicz nie uczestniczył w pracach nad reformą (...)”. Dodał następnie, że „nowy ustrój szkolny i znakomite programy nauczania zostały opracowane pod bezpośrednim kierownictwem K. Pierackiego”. Nawiązując do braku precyzji w nazewnictwie reformy, prof. Mauersberg doszukał się interesujących analogii historycznych stwierdzając: „Jest oczywiste, że w określeniu ‘reforma szkolna Jędrzejewicza’ rola K. Pierackiego jest zagubiona, tak jak w nazwie ‘reforma szkolna Wielopolskiego’ zagubiono rolę Józefa Korzeniowskiego, który nad tą reformą pracował”. W innym liście prof. Marian Walczak (redaktor naczelny *Przeglądu Historyczno-Oświatowego*) zapewnił mnie, że z treścią merytoryczną (mojego sprostowania do *Kultury* W.M.S.) w pełni się zgadza”. Kopie powyższych listów są Panu Redaktorowi znane. Natomiast odmiennego zdania był sam Wacław Jędrzejewicz,

który w 1972 roku, w wydanych pod jego redakcją pamiętnikach brata Janusza „W służbie idei” (gdzie użył sobie miejsca na własny, obszerny rozdział dotyczący reform), domagał się publicznie uznania swojej historycznej roli, cytując: „Reforma szkolna w Polsce jest związana z nazwiskiem nas obu: mego brata jako inicjatora i twórcy i moim, jako jego kontynuatora”.

W marcu br., będąc w Warszawie, miałem okazję nawiązania bezpośredniego kontaktu z grupą historyków specjalizujących się w zagadnieniach historii oświaty i wychowania. Spotkanie nasze odbyło się w gmachu PAN-u i wzięło w nim udział około dziesięciu osób. Warto jest więc przytoczyć niektóre opinie tego środowiska. Przede wszystkim odniosłem wrażenie, że moje stanowisko kwestionujące januszowo-jędrzejewiczowską terminologię reform (o Waławie jako reformatorze nikt tu nawet nie wspomniał) zostało przyjęte z dużym zrozumieniem. Zastanawialiśmy się raczej jakie były główne przyczyny „zagubienia” reformatorskiej roli Kazimierza Pierackiego. Prof. Józef Miąso wyraził opinię, że terminologii jędrzejewiczowskiej w odniesieniu do reform używano w minionej przeszłości głównie w znaczeniu pejoratywnym, aby tę reformę zdyskredytować. Z drugiej zaś strony, odwołując się do jednej ze swoich publikacji, prof. Miąso stwierdził z naciskiem, że „faktycznym twórcą ustawy z 11 marca 1932 r. był wiceminister Kazimierz Pieracki”. Moi rozmówcy zgodnie ponadto podkreślali, że poważnym utrudnieniem dla badaczy tematu reform jest brak bazy archiwalnej, która w czasie ostatniej wojny uległa całkowitemu zniszczeniu. W związku z tym ktoś słusznie zauważył, że łatwiej jest badać okres kołłątajowskiej Komisji Edukacji Narodowej, aniżeli nie tak odległą w czasie międzywojenną reformę szkolnictwa. Polemiczny list p. Ehrenkreutza skomentowano mniej więcej tak: dla historyków z listu tego wynika jedynie, że jego autor uczęszczał do przedwojennej szkoły.

Kończąc pozwolę sobie zacytować prof. Mauersberga, który w 1982 roku tak oto pisał na użytek masowego odbiorcy: „reforma, przygotowana przez ministra oświaty Janusza Jędrzejewicza przy współudziale wiceministra Kazimierza Pierackiego i zespołu ich współpracowników, znalazła wyraz w ustawie sejmowej o ustroju szkolnictwa z 11 marca 1932 roku”. Prawie że identyczne wypowiedzi znaleźć można w pracach innych historyków, że wymienię tu tylko Ługowskiego, Falskiego, Araszkiewicza czy Bartnicką. Istnieje ponadto pewna liczba pozycji pamiętnikarskich, które dobitnie poświadczają, że rzeczowa strona reformy była przede wszystkim dziełem Kazimierza Pierackiego. Natomiast w spopularyzowanej wersji historii (niestychanie ważnej jeśli chodzi o kształtowanie świadomości ogółu) dominuje niestety przerażająca ignorancja.

Częściową odpowiedzialnością za ten stan rzeczy obarczyć należy Wacława Jędrzejewicza.

Zważywszy na powyższe fakty trudno jest tu w ogóle mówić o „reformie Jędrzejewiczów” czy też o „reformie Jędrzejewicza”, gdyż w rzeczywistości była to „reforma (Janusza) Jędrzejewicza-Pierackiego”. Podobne zastrzeżenia dotyczą tzw. „ustaw jędrzejewiczowskich”, bowiem autorem ustawy był Kazimierz Pieracki i on też (obok Janusza Jędrzejewicza) bronił jej treści w wielu bardzo burzliwych wystąpieniach sejmowych. Okres obecny, będący okresem porządkowania najnowszej historii Polski, daje niepowtarzalną szansę, aby ostatecznie uściślić związane z reformą nazewnictwo.

Będę Panu Redaktorowi bardzo wdzięczny za udostępnienie mojego listu czytelnikom *Kultury*.

Z poważaniem

dr W.M. SZCZYGIELSKI

Wydawnictwo Instytut Literaire
21, avenue de Polignac, 16^e arrondissement, Paris
Tél. 01 47 27 11 11 - 01 47 27 11 12
Fax 01 47 27 11 13
E-mail: diffusion@il.fr
Site Internet: <http://www.institut-litteraire.fr>
Biblioteka Polska, Instytut Literaire
21, avenue de Polignac, 16^e arrondissement, Paris
Tél. 01 47 27 11 11 - 01 47 27 11 12
Fax 01 47 27 11 13
E-mail: diffusion@il.fr
Site Internet: <http://www.institut-litteraire.fr>

KRONIKA KULTURALNA

Teresa Walas:	<i>Kultura polska po komunizmie</i>	168
Adam W. Kulik:	<i>Sztuka grekokatolików</i>	182
Agata Tuszyńska:	<i>Kto pamięta mur getta?</i>	187

KSIAŻKI

Basil Kerski:	<i>Co nas łączy, co nas dzieli</i>	189
Grażyna Pomian:	<i>W poszukiwaniu tożsamości</i>	194
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Być Francuzem, nie będąc Francu-</i> <i>zem</i>	199
Andrzej Dobosz:	<i>„Dzienniki” Karola Iżykowskiego</i>	203
M. Broński:	<i>Bolszewizm i Bula</i>	205
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	209
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	213
Wł. Gill, Z. Stankiewicz, W.M. Szczygielski:	<i>Listy do Redakcji</i>	217

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 3^{ème} trimestre 1996.

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon (33-1) 39-62-19-04
Fax: (33-1) 39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA

Egz. poj. Prenumerata

Ceny na rok 1996

	Egz. poj.	1/2-roczna	roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszk, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 171-46 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33. PG-KONTO 614 87 10-4.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618, tel.: (312) 489-2554; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302, tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2386	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 493

JACEK KRAWCZYK – JANUSZ SZYMAŃSKI

BIBLIOGRAFIA

ZESZYTY HISTORYCZNE Nr 1-110
(1962-1994)

Str. 240

Cena F. 100,00



Tom 494 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO SZESNASTY

zawiera opracowania: Cz. Brzoza: *Zapomniana armia. Polskie oddziały wartownicze w Europie (1945-1951)*; A. Paczkowski: *Cenzura 1946-1949: Statystyka działalności*; T. Mianowicz: *Stan wyższej konieczności*; N. Kłosowska-Wohlman: *Dwa lata więzienia*; A. Kobylński: „*Mamusiu – czy to Ruscy?*”; P. Wandycz: *Nowe książki*; T. Wyrwa: *Historycy o agresji 17 września 1939*; E. Halicz: *Zachód a granice Polski 1920-1940*; K.A. Kuczyński: *Uchodźcy polscy w Rumunii*; W. Zajewski: *Dyplomacja Prus, Austrii i Rosji wobec Konstytucji 3-go maja 1791*; A. Stach: *Polski „Urząd Gaucka”*; P. Wandycz: *Konfederacja polsko-czechosłowacka: dokumenty*; T. Wyrwa: *Audycje radiowe nadawane z Londynu*; J. Kleszczyński: *Świadkowie historii: Wiesław Domaniewski; Mord katyński w dokumentach SOE*; P. Daszkiewicz: *Pamiętki polskie w zbiorach manuskryptów Narodowego Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu oraz obszerny dział LISTÓW DO REDAKCJI.*

Str. 240

Cena F. 90,00